

Pajzderska Helena Janina
JAK CIEN

I.

Na zachodnim brzegu Afryki sen miewa takie kaprysy, jak najkapryśniejsza europejsku kokietka.

Nawet ci biali, którzy dobrze znoszą klimat podrównikowy, skarżą się na tyranie makowego bóstwa.

Raz, prześladuje ono swoją ofiarę prawie od chwili wstania z łóżka, napada ją znienacka przy pracy, przy jedzeniu, podczas rozmowy; klei jej powieki wtedy, kiedy właśnie najbardziej potrzebowałyby być otwarte; to znów pierzcha hen, za góry i lasy, i nie widać go po całych tygodniach.

Ta druga ostateczność jest, bodaj, przykrzejszą od pierwszej. Dotknięty nią nieszczęśliwiec, napróżno wzdycha do tej chwili błogiego

zapomnienia, jakiego po całodziennych kłopotach ułomna ludzkość zwykła szukać na łonie poduszki (o ile go na dnie butelki nie szuka).

Zmęczony tem odrębnem, tropikalnem znużeniem, które z końcem dnia mści się tu na Europejczyku za każdy fizyczny czy umysłowy wysiłek i wsącza mu w krew i w mózg nieopisaną jakąś apatyę, zniechęcającą ciało do wszelkiego ruchu, a wyobraźnię do wszelkiej myśli; wyczerpany bezsennością ubiegłych nocy, kładzie się on, pewny, że jeżeli kiedy, to dzisiaj zaśnie chyba jak kamień. Tu już do pewnego stopnia stał się kamieniem przez martwość, w jaką zapadł.

Z ludzkich przywilejów pozostała mu tylko jakaś głucho drażniąca samowiedza, której radby się pozbyć co prędzej. Spuszcza więc troskliwie moskiturę, wypuszcza zabłąkane pod nią owady i przymyka oczy.

Lecz sen się nie zjawia. Nie otula członków w swe rozkoszne powijaki i nie potrząsa nad głową kalejdoskopem swych fantastycznych widzeń.

Przeciwnie — wypoczynek przywraca mięskom elastyczność, a cisza nocna sprowadza do serca prometeuszowego sępa: tęsknotę.

Człowiek staje się niespokojnym; duszno mu pod muślinowym namiotem; ogarnia go nerwowe rozdrażnienie, jak odczynnik nerwowego

rozdrażnienia, i ostatecznie zrywa się z łóżka, chwyta za książkę lub ucieka na werendę. Tak go zastaje świt, a z nimienne zatrudnienia, do których jak jest usposobiony po podobnie przemęczonej nocy, odgadnąć łatwo.

Niepełna ta sylwetka morfeuszowych rządów pod równikiem nie jest, dziękować Panu Bogu, naszkicowaną z własnego doświadczenia. Osobiście należałam do szczęśliwych wyjątków, odsypiających sumiennie europejską porcję godzin snu na dobę, z tą tylko różnicą, że w Afryce sen mój stał się nadzwyczaj czujnym, co, zważywszy na trafiające się tu nocne najścia wędrownych mrówek w skromnej liczbie kilkunastu milionów, lub odwiedziny długich na ćwierć łokcia stonogów, wielkich jak pięć tarantul i podejrzanej niewinności wężyków, mogło się raczej poczytywać za wielce pożyteczny nabytek.

Wskutek tej czujności, bardzo często, zwłaszcza w jasne, księżycowe noce, budziłam się nagle, aby usłyszeć przyczynę mego ocknięcia: przeciągłe, żałosne wycie psa.

Wśród pomieszanych szmerów, brzęków, syków, grzechotów i łopotów, jakimi drga noc ekwatorialna, niezdolna nigdy zapanować w pełni nad potężnym, wrzącym bezustannie życiem dziewiczej przyrody, wycie to podnosiło się, jak samotna, bolesna, bratniego echa wzywająca skarga. Szło z daleka, gdzieś z głębi busza () i konało pod memi

oknami. Było to bardzo nieprzyjemne i bardzo dziwne.

Wprawdzie właściwością psów jest ulżyć od czasu do czasu swym psim uczuciom takim nocnym wyciem, — ale drugą, bardziej jeszcze charakterystyczną właściwością jest trzymanie się ludzkich siedzib.

Tymczasem dokoła domu i gospodarskich zabudowań, na przestrzeni pięciuset hektarów, jakie zajmowała plantacya, żywy duch nie mieszkał. Życie i cywilizacya ogniskowały się w owym właśnie domu i budynkach, — po za niemi była pustka i dzicz. Również oprócz małej pokojowej psiny, pilnującej swego wygodnego posłania i dalekiej od lamentów przy księżycu, SantaMaria (nazwa plantacyi) nie posiadała żadnego czworonożnego stróża.

Krajowcy, Bubisi, dochodzący z gór ze zwierzyną, będącą, oprócz kur, jedynem świeżem mięsem na Fernando Poo, gdzie zabicie wołu należy do uroczystych wydarzeń, zapisywanych w kronikach wyspy, przyprowadzali z sobą czasem swe szkaradne psiska, żółte, chude, niezgrabne, o grubych nogach i wielkich sterczących uszach, — ale te nie odstępowały swych panów, dorównywających im pod względem brzydoty, głupoty i niechlujstwa — i nie było wypadku, aby się który zabłąkał.

Nie mając jednak na razie innego wytłómaczenia, przyjąłam możliwość wyjątku, potwierdzającego zasadę, i powiedziałam sobie, że musi to być wła

śnie taki bubiski pies, który, straciwszy z oczu właściciela, nie miał dosyć rozumu, żeby samemu trafić do jego zagrody; nie mówiąc już o węchu, którego gdyby choć odrobinę posiadał, musiałby o kilka mil poczuć tę niezapomnianą, woń bubiskiej chaty, wytwarzającą dokoła, niby sui generis podwórko, tak gęstą atmosferę, że cud zawieszenia siekiery w powietrzu z pewnością mógłby się był tam praktykować...

Sympatya moja dla Bubisów i ich psów była bardzo umiarkowaną. Myślę, że najbardziej negrofilskie serce w bliższym zetknięciu z tem plemieniem ostygnąć trochę musi; musi stracić swe poglądy a la BeecherStowe wobec tych wstrętnych, brudem niby drugą skórą porośłych postaci, tych istot bezdusznych, będących rzeczywiście czemś pośrednim między człowiekiem a małpą, o których dziki, niewzruszony konserwatyzm rozbić się muszą wszelkie zapędy cywilizacyi, pragnącej innem niż wódczanem płynąć korytem.

Nie ubolewałam też zbytnio nad losem ich wyjącego przyjaciela; życzyłam mu tylko ze względu na siebie, aby w ten lub w ów sposób żale jego kres znalazły, i przestały mnie niepokoić po nocach.

Pewnego razu, na krótko przed zachodem słońca, wyszłam na przechadzkę, kierując swe kroki w nieznaną mi jeszcze stronę plantacyi. Po skwarnym, dusznym dniu, wieczór zapowia

dał się śliczny w łagodnych blaskach wczesnego księżyca, który gdzieś z po za owiniętych w opary morskich przestrzeni gór kameruńskich,

wystąpił ze swą bledziutką, niepełną jeszcze twarzą i chowając się za nadpływającą różową chmurkę, niby onieśmielony patrzył na roztoczoną wprost niego gloryę słońca, co, jak pogardliwy mocarz, wdziawało swe purpurą podbite i złotem lamowane fiolety, aby zstąpić z nich po królewsku na skraj widnokregu. Świeży powiew od morza biegł z suchym chrzęstem po wierzchołkach palm, zostawiając po sobie nadzwyczajną, przejrzystość atmosfery.

Przedemną niby wspaniałe wrota, zamykające wnętrze wyspy, stał szeryf Fernadoposki, wysławiony przez podróżników z piękności i oryginalności swych kształtów: Clarence Peak. Złośliwi twierdzą, iż te zachwyty zawdzięcza on osobliwej budowie wierzchołka, wydymającego się jak mała kopuła na dwóch regularnie i krągło opadających bokach, co razem wzięte nadaje tej trzeciej z rzędu w Afryce pod względem wysokości górze, podobieństwo kobiecej piersi, podobieństwo, trzeba przyznać, bardziej ludzające niż naprzykład tatrzańskiego Giewontu do śpiącego rycerza.

Jakby jedna cecha analogii więcej, piękna "Klarencyja" jest bardzo wstydlivą i zazwyczaj zazdrośnie kryje swe wdzięki w chmurach; owego dnia

przecież "z bezczelnością posągów" odsłoniła granatowe łono, spuściwszy niby bieliznę, mleczone zwoje niby na głowy stojących u jej stóp smukłych olbrzymich ceib ().

Wyrazistość, z jaką ta potężna, górska pierś podnosiła ku niebu swój skalisty, nagi czubek, była tak wielka, że mogło się rozróżnić jasne kanty przerywających go rozpadlin i mocniejszy czarny prawie granat

nagromadzonego w ich głębiach powietrza, podczas gdy strzępione kontury skłonów przedstawiały delikatną rzeźbę porastających je dziewiczych lasów. Mgła opadała coraz niżej, równym, matowym rąbkiem; w paru miejscach tylko niby niewidzialną podciągniętą ręką, zarzucała przezroczysty feston na jakiś wystający taras zieleni.

Szłam ananasową drogą, ciągnącą się przez kilka hektarów pomiędzy dwoma szeregami tych brzydkich knahów, podobnych do pęków pogiętych, zardzewiałych szpad, wśród których niby berła złociste, nabijane rubinami, połyskiwały gęsto dojrzewające owoce.

Mimowoli, patrząc na nie, uśmiechnęłam się.

Przypomniały mi się moje europejskie pojęcia, czerpane z podróźniczych książek, o cudownej, upa

jającej woni pól ananasowych. Tutaj, brodziłam prawie wśród tych przechwalonych owoców i doprawdy oprócz lekkiego zapachu wilgotnej wegetacji i parującej ziemi nic innego dowąchać się nie mogłam...

A jednak, z obu stron, po za rysunkami ananasów tłoczyła się cała armia Cerery, gniotąc się wzajemnie i płacząc ze sobą, jakby w namiętanych nutach pulsującego w niej nadmiaru płodności.

Młode drzewka Papai, rozgałęziające się u samej góry nakształt podartych parasoli dźwigały na swych wątych, fujarkowatych pniach setki zielonych jeszcze melonów; bananowe grona, oderwane własnym ciężarem, walały się u stóp omotanych w lijany łodyg; chropowate anony, połyskujące, jakby zielonym lakierem pociągnięte adwokaty, bladozłociste gujawy, czerwone, nieco terpentyną przy rozgryzieniu zalatujące mangusy, wszystko to tworzyło istną orgię owoców skazanych na to, aby się zmarnowały i zgniły. Czarni lekceważą je sobie, a biali, zwłaszcza hiszpanie, wiecznie widmem febry prześladowani, boją się ich jeść na wiarę podręczników higienicznych, przesadzających zwykle zdrowotne niebezpieczeństwa stron tropikalnych.

Wielkie, szafirowe, brunatne, żółte i zielone motyle, te żywe kwiaty powietrza drżały tu i owdzie na liściach i wążach traw, a nademną, jakby z fan

tanstycznej piaseczniczki sypał się pył drobniutkich komarków, sandflajami zwanych, nieznoszącej plagi afrykańskiej, zdolnej najcierpliwszego człowieka doprowadzić do pasy.

Siedząc lub leżąc, niepodobna było im się opędzić, ale gdy się uda, można sobie z nich drwić, są bowiem tak delikatne i maleńkie, że je najłżejszy ruch powietrza unosi.

Szłam pogrążona w myślach, aż do miejsca, gdzie tak zwana ananasowa droga urywała się raptem, zatarasowana nieprzebitą ścianą buszu.

Podniosłam głowę, machinalnie zabierając się do odwrotu, gdy wtem, trochę na lewo pomiędzy dwoma obumarłymi palmami, zamienionymi w bluszczowe stożkowate kolumny, spostrzegłam jakieś przerzedzenie, niby ślad zaniedbanej dróżki.

Przechadzka moja była bezcelową, a dla bezcelowych kroków każdy nowy szlak jest magnesem. Mimowoli więc prawie postąpiłam w tę stronę i znalazłam się w wąskim tunelu zbitej roślinności, rozstępującej się jednak regularnie pod prostym kątem do drogi, którą właśnie przebyłam, co utwierdziło mnie jeszcze bardziej w przekonaniu o zrobionem tu ręką ludzką przejściu.

Posuwałam się wolno, rozchylając wystające gałęzie i potykając się o korzenie ukryte pod zarastającą ścieżkę paprociami. Paprocie były trochę zmięte, a wprawne w rozróżnianiu śladów oko mo

gło poznać, że nie człowiek, lecz zwierzę jakieś musiało się wtedy często przemykać.

Światło, uciekające już z odkrytych przestrzeni, tutaj za ledwie szary półcień zostawiło po sobie. Wkrótce przecież poczęło się rozjaśniać, a jednocześnie buchnął mi w twarz dziwnie ostry, pomarańczowy zapach. Tunel kończył się, doprowadziwszy mnie na obszerną, osobliwszego wyglądu, jak na afrykański gąszcz, polanę. Na wstępie stało duże, mandarynkowe drzewo (wielka rzadkość na Fernando Poo), uginające się literalnie pod ciężarem owoców, których takie mnóstwo leżało dokoła, że chcąc przejść, musiałam deptać po nich.

Roje ogromnych, błękitnych much. uczujących na tych wybornych pomarańczkach, zerwały się wystraszone, otaczając mnie na chwilę szumiącą, jak górski potok chmarą. Uskoczyłam szybko w bok i potrafiłam o sterczący, ostry przedmiot.

Spojrzałam. Był to szczątek rozwalonego, bambusowego płotu. Przegniłe jego wiązania chwiały się od doznanego wstrząśnienia, jakby zdziwione, że śmiano ich smutną ruinę naruszyć; ale dalej nieco stał drugi lepiej zachowany kawałek, z którego regularnych, starannych kratek wnieść mogłam, że za czasów swej całości był to najładniejszy płot na całym Fernando Poo.

Byłam zdziwiona; a w miarę jak ten i ów szczegół podpadał mi pod oczy, zdziwienie moje rosło. Że tu był niegdyś ogród, lub troskliwie utrzymywany dziedziniec zdawało się pewnem.

Grunt, choć wysoko chwastem pokryty, twardy był, jakby ubijany; w symetrycznych odstępach rosące kępy szkarłatnych hibiskusów, drzewek trandżipani, osypanych bladioróżowem, woń wanilii wydającym kwieciem, akacyi sensitidy, o koralowych, delikatnych kiściach, zdziczałych róż, balsamin i innych krzewów, mówiły wyraźnie o istnieniu tu niegdyś pięknych kłębów; wreszcie krąg młodych aloesów z wysoką kokosową palmą pośrodku wykluczał zupełnie przypuszczenie przypadkowości.

Minąwszy krzaki, zasłaniające mi dalszy widok, przystanęłam nagle, znalazłszy się nawprost zrujnowanego domu, a raczej czegoś, co jak trup wypadkiem zakonserwowany, który rozpada się przy pierwszym zetknięciu z powietrzem, potrzebowało jednego bodaj silniejszego pchnięcia, aby zamienić się w niekształtny stos zbutwiałych desek i potrzaskanych palów. Niedawno pracowały tu na wyścigi podrównikowe ulewy, wichry, wilgoć i mrówki.

Budowany, jak zwykle w hojukach, na wysokich, smolonych słupach, prawym węglem tylko wystawał nad ziemią, podczas gdy środkowa część zapadała się tak głęboko, że niska trawa przed domem

rosnąca dotykała podłogi werendy, a lewy bok leżał jak podcięty na chwastach.

Kilka spróchniałych palów wysuwało się spodem jak piszczele tego smutnego skieletu. Termyty toczyły go nawskróś. Gliniane ich tunele, podobne do szarych tasiemek obrywały gęsto ściany z desek, noszące jeszcze ślady olejnego malowania, kreśląc na nich, w dziwacznych hieroglifach nieubłagany wyrok zniszczenia.

Środkowe schody z krajowego machoniu, złamane na dwoje zapewne wskutek nacisku zapadającej się budowli, sterczały jedną połową nad ziemią, szczerząc swe zbutwiałe stopnie i baryerki w sposób nasuwający mimowoli myśl o trupiej szczęce, druga zaś połowa, zupełnie przegniła, leżała opodal.

Tornada zerwały większą część dachu i strzepy smolonego filcu wisiały nad ziejącą z wnętrza głuchą pustką.

Coś nad wyraz przygnębiającego wiało z tego rumowiska, które nawet w tym ostatecznym upadku zachowało nieomylnie ślady umiejętnej, europejskiej ręki, za sprawą której było niegdyś pięknym, mieszkalnym domem. Rozmiary były harmonijne, okna i drzwi, z których tylko czarne, pajęczyną zasnuwane otwory pozostały, wysokie były, kształtne, tu i owdzie resztki biegnącej dokoła werendy galeryjki ukazywały misterne wyrzynania.

Patrzyłam i patrzyłam; idąc wzrokiem z jednego szczegółu na drugi, odgadując smutne dzieje trudów i nadziei ludzkich, strawionych i w

niwecz obróconych jak te ruiny, które w swoim czasie musiały być ich siedliskiem, aż spostrzegłam coś, co szarpało poprostu moim kobiecym sercem. Oto, w rozwalonej części domu, której przednia ściana odpadła zbutwiawszy, pośrodku wnętrza pełnego próchna, śmieci i porostów, przewrócony bokiem leżał dziecinny wózek z budką, strzępami jakiejś przegniłej materyi pokrytą.

Wyglądał tak żałośnie ze swemi małemi kołami w powietrzu, z tą podartą budką, a zarazem tak dziwną, tak nie na swoim miejscu! Jakąż tu wszystko rażąco stanowiło sprzeczność z różaną jutrzenką życia, ze srebrzystym śmiechem wesołości, z urokiem złotowłosej główki, z tem wszystkim, co się zwykło widzieć, czego się zwykło szukać dokoła dziecięcego wózka!

Pod wpływem wrażenia, jakie mną owładnęło, posunęłam się szybko w tę stronę — gdy wtem, pod wózkiem poruszyło się coś z chrapliwym mruknięciem.

W dziewiczej puszczy człowiek skłonny jest do pewnej nieufności względem wszelkich, niewytłómaczonych na razie szmerów i odgłosów; cofnęłam się więc roztropnie o kilka kroków, nie mogąc przecież zdobyć się na zupełny odwrót, przytrzy

mywana nieprzepartą ciekawością, która mnie do tych zwalisk wabiła. A gdy tak stała zdaleka, zobaczyłam, jak z pomiędzy desek, na trzeszczącą głucho werendę wyszedł wielki, ciemny pies i, stanąwszy na rozkraczonych nogach, z wyciągniętym chudym pyskiem i nawpół podniesionym ogonem, wpatrzył się we mnie zaczerwienionemi ślepiami, mrużąc gniewnie.

Po chwili, widząc, że się nie ruszam, spuścił się z wolna na dół, obszedł mnie dokoła, wpatrzony we mnie wciąż temi rozpaczliwie brzydkimi oczami starego, wygłodzonego psa, które przecież resztką dawnej inteligencji zdawały się mówić: "dotąd dobrze, ale nie dalej", a wymiarkowawszy snąć, że ostrzeżenie to wzięłam do serca, zawrócił i zwiesiwszy ogon, powlókł się ociężale ku domowi.

Miałam czas przyjrzeć mu się, bardzo dokładnie.

Musiał to być niegdyś piękny duńczyk, jak świadczyła potężna budowa jego kadłuba i pyszny, szeroki łeb o krótkim pysku i obciętych uszach.

Teraz był straszny!

Stalowa ongi szerść zrudziała, powyszarpywana miejscami, pozlepiana błotem i krwią, jeżyła się na zapadniętych bokach; na grzbiecie kości łopatkowe sterczały jak cztery pięście pod wyłysiałą skórą. Od oczu, wzdłuż wynędzniałego pyska biegły dwie bruzdy głębokie, jak te, które łyzy żłobią

na policzkach starców; po całym ciele pełno miał przyschniętych ran i szram — i utykał trochę na jedną nogę.

Podczas, gdym mu się tak przypatrywała, zdjęta litością i wstrętem, pies wdrapał się na werendę i stanął znów nawprost mnie w poprzedniej postawie; tylko teraz podniósł łeb w górę i patrząc przez szkielec dachu ku blademu księżycowi, zawył przeciągle.

Wzdrygnęłam się.

Poznałam to wycie; to samo, które mnie po nocach budziło.

I czy to wskutek zapadającego coraz szybciej zmroku, czy tej ponurej skargi; wydało mi się, że cała ta pustka budzi się nagle do jakiegoś

fantastycznego życia, że lada chwila tajemnicze echa wyjdą z głębi i widma mgławce zaczną się wieszać na filcowych łachmanach dachu, podobnych do skrzydeł nietoperzy i przechadzać po chybotliwych deskach.

Wrażenie to było tak silne, że nie oglądając się już, zawróciłam i jak można najspieszniej przedostałam się przez zarośla, ścigana powtarzającem się coraz donośniej wyciem.

Dopiero na ananasowej drodze odetchnęłam swobodniej.

Byłam już blisko domu, w wielkiej alei drzew mangusowych, gdy w ciemności, jaka w niej pano

wała, zabieliła się jakaś postać, idąca ku mnie i uprzejmy głos pozdrowił mnie po angielsku:

— Dobry wieczór pani!

Poznałam głos znajomego portugalczyka. Dom Luiza Lino.

Dom Luiz był najdawniejszym białym mieszkańcem na Fernando Poo, unikatem, który w ciągu dwudziestoletniego pobytu na wyspie, ani razu changetripu () nie odbył. Klimat służył mu wybornie; nie słyszano, aby kiedykolwiek miał febrę, a twarz jego, pomimo pięćdziesięciu kilku lat, jakie sobie liczył, jaśniała rzadką tutaj czerstwością i pogodą.

Był właścicielem plantacyjki na zachodnim brzegu i faktoryi w mieście Santa Isabel, a jedna i druga przynosiły mu dochody, aż nadto wystarczające jego skromnym wymaganiom.

Wszyscy go lubili i szanowali; był to też człowiek nadzwyczaj sympatyczny.

Spokojny, uprzejmy, zawsze chętny do oddania przysługi, nikomu nie bruździł, nikomu nie zazdrościł i konkurencyi nie robił, bo i nie chodziło mu wcale o zrobienie majątku, co już czyniło go wprost białym krukiem pomiędzy nadbrzeżnymi europej

czykami. Ci ostatni, o ile nie należą do szczupłej garstki podróżników i eksploatatorów, robią tu wrażenie ludzi, żyjących jak na popasie, opanowanych wyłącznie gorączką zysku i żądających od każdej chwili, od każdego niemal poruszenia swego, żeby im się sto za sto opłacało. Są to giełdziarze przyrody.

I ponieważ jest to naturalnem i słusznem. Każdy z nich zostawił w kraju rodzinę i przyjaciół; każdy ma przed sobą jakiś cel życiowy, nic wspólnego z Afryką nie mający, do którego potrzeba mu pieniędzy; każdy wzdycha za tą Europą, którą dobrowolnie porzucił, jak za ziemią obiecaną, uważając egzystencję tutaj za coś przejściowego, z czego trzeba wycisnąć, co się tylko da i... odrzucić co prędzej.

Dom Luiz nie miał takich podniet. O ile terażniejszość jego była spokojną, o tyle przeszłość burzliwą.

Jako dwudziestoletni młodzieniec, uniesiony zazdrością, zabił kochankę, która go zdradzała i swego szczęśliwego rywala, poczem oddał się sam w ręce sprawiedliwości.

Ale nie było mu przeznaczonem odcierpieć karę ludzkiego wyroku.

Okręt, który go wiozł, jako zesłańca na wyspę SaoThome. rozbił się około Zielonego Przylądka i Dom Luiz był jednym z przerażająco małej liczby

ocalonych, którzy — rzec można — cudem, na wątej łódce, uniknęli zagłady i dostali się na pokład przepływającego tamtędy angielskiego okrętu. Ten dążył do Ameryki i Dom Luiz zawędrował na nim do La Plata, gdzie lat kilka był farmerem, uganiając się po preryach z arkanem za dzikimi wołami i w twardych zapasach z naturą zagłuszając echa przeszłości, jej bóle i wyrzuty.

Szczyście mu służyło. Dorobił się pięknego majątku. Wtedy rzucił Amerykę i udał się do Indyj, gdzie gwiazda fortuny przyświecała mu jeszcze jaśniej i Dom Luiz ani się spostrzegł, jak został milionerem. Spostrzegłszy — powiedział sobie: Dosyć!

Znudzony gonitwą za złotem, które dla jego namiętnej, marzycielskiej duszy nigdy zbyt wielkiego uroku nie miało, zaczął podróżować dla przyjemności. Zwiedził Chiny, Japonię, Australię, Przylądek Dobrej Nadziei, Wyspę Św. Heleny, aż zawadził o FernandoPoo.

Ta zielona Afrodyta Atlantyku oczarowała go. Jej urocze zatoki, jej ciche lasy i te, straż nad nimi trzymające góry, wpięte jak grzebień skalny i połyskliwy w warkocz zieleni, znęciły ku sobie przesyconego ciągłą zmianą wędrowca.

Miał dopiero trzydzieści sześć lat, ale w duszy czuł się bardzo starym. Nic go już nie zaciekawiało, do niczego nie dążył, za niczem nie tęsknił... Z tylu burz, z tylu wrażeń pozostało mu tylko

wielkie znużenie fizyczne i niesmak wewnętrzny...

Może to było tajemne nurtowanie nieuświadczonych wyrzutów sumienia?...

Któż zgadnie?

Wszystkie oceany świata nie zmyją śladów krwi ludzkiej z rąk uczciwych, które się nią w szale zbryzgały.

Był to Dom Luiz, i oto co postanowił:

Cały majątek, jaki mu jeszcze pozostał, a była to piękna summa kilkakrotnie stu tysięcy dolarów, przesłał bezimiennie do Portugalii na cele dobroczynne, zostawiając sobie tylko tyle, ile potrzeba było na kupno owej plantacyjki w ślicznej zatoce Wenery i na pierwsze wydatki osiedlin. Znalazłszy się znów na dorobku, z własnej woli pracował wytrwale, przywiązując się stopniowo do tej ziemi, na której już kości swoje złożyć zamierzał, — a świadomość spełnionego pięknego czynu przyniosła mu prędzysze uspokojenie ducha, niż tyloletnie poszukiwanie źródeł Lety po świecie.

Z czasem nawet, on, samotny odludek, zatęsknił do towarzystwa — i wtedy to założył faktoryę w mieście, aby mieć jakiś powód do mieszkania tam.

Odtąd porę deszczową spędzał w SantaIsabel, a porę suchą na plantacji, spokojny o przyszłość, zadowolony z terażniejszości. Dla tego ocalonego zesłańca, którego się ojczyzna wyparła, każdy biały — hiszpan czy anglik — był rodakiem i mógł liczyć na jego pomoc.

Wiedziano o tem i korzystano gorliwie z przywileju, a czasem i nadużywano go, ale Dom Luiz nie zniechęcał się tem. Wyrobiła się w nim ta pogodna pobłażliwość, jaką daje wszechstronne zapoznanie się z naturą ludzką i to pod różnymi stopniami szerokości geograficznej; jaką dają rozległe horyzonty egzystencji, którą przepaliły różne słońca i osmagały różne wichry.

Lata biegły.

Włosy Dom Luiza traciły swój fioletowy połysk czarnych kędziorów, ale usta jego coraz młodszym zakwitały uśmiechem.

Stał się on żywą kroniką wyspy. Pamiętał dokładnie, jakiego roku, miesiąca i dnia oraz jakim parowcem który z białych przybył do FernandoPoo; odjeżdżających odprowadzał na pokład; wracających witał; umarłym towarzyszył na miejsce wiecznego spoczynku i o ich samotnych grobach pamiętał; chorym skracał nieznośne godziny zgnębienia opowiadaniem, których niewyczerpane źródło we własnych wspomnieniach posiadał.

A opowiadał dziwne cuda. z prostotą i werwą człowieka, któremu chodzi nie o upieczenie przy ogniu narracji grzanki własnej chwalby, lecz jedynie o rozrywkę słuchacza.

Takim był ów exmorderca i exzesłaniec, którego w alei mangusowej spotkałam.

— Wracam od państwa. — rzekł po angielsku,

zrównawszy się ze mną — ale niestety zastałem dom pusty. Chłopak powiedział mi, że mami () poszła na spacer.

— Na szczęście "mami" nadeszła w sam czas, aby rzadkiego gościa zawrócić! — rzekłam, podając mu rękę. — Od wieków nie widziałam pana!

— Byłem u siebie, na plantacyi i teraz prosto stamtąd przybywam. Zaczęliśmy wolno iść ku domowi.

W odstępy pomiędzy drzewami wchodziły jasne, księżycowe smugi i kładły się na czarnej, liśćmi i spadłym owocem zasłanej ziemi, a dokoła niby oderwane od nich płatki, migały świetlane owady swym zygzakowatym, cichym lotem.

— Późną porę pani sobie obrała na przechadzkę — zauważył mój towarzysz. — Czy nie stało się co złego? Wydajesz mi się pani jakoś nieswoją!

Wstąpiliśmy właśnie w taką księżycową, smugę i mógł mnie widzieć dokładnie, tak jak ja widziałam jego ściągłą, krótkim, siwiejącym zarostem objętą twarz, spokojne badawcze oczy i łagodnie z pod bujnego wąsa uśmiechające się usta.

— Nie — rzekłam z wahaniem, wstydząc się przyznać do wrażenia, z którego w istocie nie otrząsnęłam się jeszcze. Ale wrodzona skłonność

() "Mami" — pani w żargonie musagorskim. (Przyp. aut.)

do podziału myśli z drugimi przemogła i po chwili opowiedziałam mu w krótkości moją przygodę.

Dom Luiz słuchał uważnie, a gdym skończyła, uśmiechnął się znowu, tym razem bardo smutnie.

— A! — rzekł zwolna. — Then you have seen the plantation dog all the same! (Więc także widziałas pani psa z plantacyi!).

— Psa z plantacyi! — powtórzyłam. — To biedne zwierzę ma zatem swój przydomek?... Sądziłam, że nikt tu nawet nie wie o jego istnieniu.

Wyglądał tak dziko.

— O, przeciwnie!... Znają go wszyscy... Przesądni czarni utrzymują nawet, że kto go pierwszy raz przy pełnym księżycu zobaczy, tego wkrótce spotka nieszczęście... Ale popełniam idyotyczną niezręczność wspominając o tem, bo pani właśnie znajdujesz się w tem położeniu. Roześmiałam się.

— Byłoby jeszcze niezręczniejsz, gdybyś pan o tem przemilczał — rzekłam żartobliwie. — Znaczyłoby to, że stawiasz mnie pan na równi z czarnymi i przesądnymi. Nie! nie lękam się wcale przepowiedni; wyznaję jednak że mi dziwnie żal tego psa, i że przemyśliwam nad sposobem, jakby go znieść do domu i zaopiekować się nim, żeby nie był tak głodny i zbiedzony.

Dom Luiz potrząsnął głową.

— To się pani nie uda — rzeki. — Próbowałem tego kilkakrotnie, gdy był jeszcze mniej dziki, przez litość nad nim. a głównie przez pamięć jego dawnych właścicieli. Dogadzałem mu, żywiłem samem mięsem — pomyśl pani, psa żywić samem mięsem na FernandoPoo — uciekał zawsze! Zabrałem go więc na plantacyę, myśląc, że przecież stamtąd morzem wpław się nie puści; ale gdzie tam! — znalazł sobie jakąś drogę

przez busz i po kilku tygodniach zobaczono go znowu w tych stronach, wynędzniałego straszliwie od wałęsania się po polach. Naturalnie, dałem za wygraną; teraz zaś zdziaczał już tak, iż dostąpić do niego nie można.

— A czemże się żywi? — zapytałam, zapominając, iż Dom Luiz nie był obowiązany do tak ścisłego wglądania w jego bezdomne, psie losy.

— Kradnie — odpowiedział mój towarzysz krótko, a po chwili dodał:

— Te rany i szramy, któremi tak jest pokiereszowany, to pamiątki doraźnych kar za jego nielegalne czyny. Biedne psisko!

Umilkliśmy oboje.

Byliśmy już prawie pod domem, gdy odezwałam się pierwsza:

— To, co mi pan o tym psie mówisz, moje własne wrażenia i ten jego przydomek, każą mi się domyślać, że w tem wszystkim tkwi jakaś legenda. Otóż musisz mi ją pan koniecznie opowiedzieć.

Portugalczyk westchnął zlekka.

— Nie żadna to legenda — odparł powoli — ale prawdziwa i tak smutna, jak tylko prawda smutną być może, historia. Wolałbym, żebyś pani nie nalegała na mnie o to. Pod równikiem nie dobrze jest denerwować się, zwłaszcza młodym damom.

— Mniejsza z tem! — podchwyciłam żywo. — Zresztą, powinieneś pan wiedzieć, że kobiety nic tak nie zdenerwuje, jak jeżeli się jej woli zadość nie stanie. Oto jesteśmy już na werendzie! Wieczór zapowiada się cudowny i niema jeszcze siódmej. Hamakosze odniosą pana bezpiecznie do miasta, choćby po północy. Zjemy sobie naprzód spokojne chop (), a potem wrócimy znów tutaj na czarną kawę. Niema rady; musisz pan być dzisiaj moją Seherezadą.

— Que mujer quiere Dios lo quiere (co kobieta chce, Bóg chce) — rzekł z uśmiechem Dom Luiz, który lubił często błysnąć hiszpańszczyzną; w rozmowie jednak używał zawsze języka angielskiego, chociaż tamten, jako bardziej do jego ojczystej mowy zbliżony, miłszym mu być był powinien. Ale ulegał w tem zapewne wprost owemu hipnotycznemu urokowi, jaki potęga Anglii wywiera w koloniach.

) "Chop" (czytaj: "czop"), wyraz żargonowy, powszechnie przyjęty w koloniach, tak przez białych, jak i przez czarnych, a oznaczający obiad, śniadanie i wszelkiego rodzaju posiłek. (Przyp. aut.)

W niemieckich, francuskich i hiszpańskich koloniach wszyscy inteligentniejsi czarni mówią po angielsku; wszystko, co europejskie, przychodzi w pojęciu murzyna "from England", a najwyższym gatunkiem białego jest "an Englishman". Biali sami mimowiednie idą za tym prądem. Niech w towarzystwie, złożonem z przedstawicieli kilku narodowości, znajdzie się jeden tylko Anglik, ogólna rozmowa będzie się toczyła po angielsku. Wszyscy będą sobie wyłamywali języki, aby się stać zrozumiałymi dla syna Albionu, który też, świadom tej przewagi, nigdy nie pomyśli o nauczeniu się kilku chociaż słów cudzoziemskich, ale natomiast każdego, bodaj z kraju Eskimosów przybysza, zagadnie wielkobrytańską mową, uważając przypuszczenie, że ta mowa mogłaby mu być obcą, za herezję.

I tak ze wszystkim. Pieniądz angielski jest uniwersalnym; na każdym innym traci się zawsze nie mając waluty w złocie, naprzykład w dwudziestofrankówkach; marki, posety, liry nie mają wcale obiegu po za

obrębem posiadłości odnośnych krajów; tylko o funty szterlingi wszyscy wszędzie się ubiegają, płacąc je po nad europejskie kursa. Anglia może być dumna.. Nie nadaremnie ze wszech stron fale do jej stóp biegną poddańczo — jest ona prawdziwą królową mórz i dalekich lądów. Obiad nie trwał długo. Przez ten czas jednak

księżyc wzbil się wysoko i. gdyśmy znów wyszli na werendę, zastaliśmy ją już całą białą, jakby roztopionem srebrem oblaną. Podróżnikowa noc na pełni, jest jedną z tych nocy, których raz zaznawszy, już się za nimi tęskni przez całe życie.

Usiedliśmy na płóciennych, składanych, fotelach; Dom Luiz. ulegając mojej prośbie, zapalił cygaro i, popijając małemi łykami czarną kawę, tak rozpoczął:

II.

"Przed dziesięcioma laty, w pierwszej połowie grudnia, angielskim parowozem "Luclaba" przybył na FernandoPoo młody cudzoziemiec. Byłem wtedy na pokładzie, żegnając jedyne oprócz mnie portugalczyka na wyspie — Dom Lauzeana Diaz da Cuhna, który odpływał do Kalabaru, a stamtąd miał udać się do Europy, aby tu już więcej nie wrócić... Byłem trochę smutny. Lubiłem bardzo Dom Lauzeana, z którym nieraz przegawędziliśmy długie wieczory. Oporto było naszym rodzinnem miastem — i teraz, odprowadzając go, myślałem, czy też jeszcze kiedy zdarzy mi się spotkać z kimś. coby znał tę

ulicę, na której, dzieckiem będąc, z rodzicami mieszkałem...

Wyszedłem na dunetę (górny pokład), aby nie przeszkadzać Dom Lauzeanowi w załatwieniu ostatnich rozporządzeń. Tam po raz pierwszy zobaczyłem tego, czyje niewesołe dzieje mają być przedmiotem mojej opowieści. Stał przy baryerze z rękami w tył założonemi, przypatrując się z wielkim zajęciem wyspie. Pozycja ta uwydatniała jego piękną, ale trochę wątlą budowę, zdradzającą nerwowy temperament.

Zwrócony był do mnie profilem, którego linie szlachetne i myślące odrazu mnie ujęły; cerę miał jasną, oko błękitne, wyraziste; włosy, o ile się z pod kasku wysuwały, bujne, złotawej, jak i wąsy, barwy.

Wyglądał bardzo spokojnie; ledwo jednak spojrzałem na niego, odgadłem, iż nie stał on w charakterze obojętnego widza, i z tym brzegiem, ku któremu patrzył, wiąza go jakieś nadzieje, jakieś oczekiwania... Me uśmiechał się ustami, ale cała jego twarz zdawała się być oświetloną jakimś wewnętrznym uśmiechem młodej i pełnej ufności duszy...

Bo też, rzeczywiście, po długiej, smutnej monotonii afrykańskich wybrzeży SantaIsabel. ze swymi białymi domami, co patrzą w błękitną zatokę z wysokości upiętego w liany wzgórza, wyblyska z morza, jak piękne zjawisko, do którego wędrowiec —

jeżeli tu w dodatku jest cel jego podróży — radosne musi wyciągnąć ramiona. Nieraz zastanawiałem się, jakim sposobem coś tak brzydkiego i brudnego zbliska, może tak ślicznie i czysto wyglądać zdaleka; i zawsze widok tych kilku nadbrzeżnych, pięknych budynków, nasuwał mi porównanie do spróchniałej, szkaradnej szczęki, w której przypadkiem parę przednich zębów zdrowo się zachowało.

Teraz jednak nie myślałem o tem. Zainteresował mnie ten nieznajomy i raptem — żal mi się go zrobiło: może dla tego, że byłem rozdrażniony odjazdem Dom Lauzeana, a może dla tego, że widział już tylu, którzy tu tak samo, pełni nadziei, zdrowia i młodości przybywali, a wracali znękanymi, przedwczesnymi starcami, lub — nie wracali wcale.

Zapomniałem nadmienić, że młody, duński pies, rzadkiej piękności, siedział obok swego pana i przyglądał się również wyspie z wielką uwagą, pokręcając ogonem, jakby dla wyrażenia swego uznania.

Nagle, obcy przybysz odwrócił się i czy to, że spotkał mój wzrok utkwiony w nim z życzliwą ciekawością, czy że nikogo więcej na dunecie nie było — postąpił ku mnie, uchylając kasku i ukazując czoło szerokie, inteligentne, nadzwyczajnej białości.

— Przepraszam — rzekł po angielsku, ale cudzoziemskim akcentem. — Widziałem pana. przybywającego szalupą z brzegu. Czy pan mieszka na wyspie?...

Odpowiedziałem twierdząco, pytając nawzajem, w czym mógłbym mu być użytecznym.

— Dziękuję panu! — rzekł. — Nie znam tu nikogo i chciałbym wiedzieć, czy znajdę jakiś hotel... jakąś gospodę — poprawił się prędko, jak gdyby jemu samemu wyraz "hotel" zabrzmiał niezrozumiale na tym dzikim brzegu — gospodę, gdzie mógłbym czasowo zamieszkać?

Naturalnie objaśniłem go, że nic podobnego w całej SantaIsabel niema, i co zatem idzie, ofiarowałem mu swój dom, dopóki się nie rozpatrzy i coś lepszego nie znajdzie. W zakończeniu powiedziałem mu moje nazwisko. Cudzoziemiec okazał się prawie wzruszony tą prostą rzeczą. Bez niepotrzebnych omówień (za co byłem mu wdzięcznym) przyjął moją propozycję, dziękując za nią w słowach, znamionujących szczerą, uczuciową naturę, a jednocześnie sięgnął żywo do bocznej kieszeni swego białego żakieta, w której tkwił elegancki portfelik i ruchem wytwornego salonowca podał mi swoją kartę. Kilkotygodniowa żegluga po dzikich wodach nie zdążyła go widać jeszcze opłukać z europejskich przyzwyczajzeń.

Uśmiechnąłem się w duszy. Mnie bardziej może niż komu innemu, te dawne, odległe echa dziwnemi się wydawały.

Na karcie wystylizowane było nazwisko:

Nils Gabriel Oskar Aderskiöld

— nic więcej; nie potrzebowałem jednak wielkiej domyślności, aby odgadnąć, iż mam do czynienia ze szwedem.

Powiedziałem mu, że go muszę zostawić, dodając, w jakim celu przybyłem na pokład i dodając, że wkrótce będę mu służył. Spytałem jeszcze, czy ma dużo pakunków, aby w takim razie posłać ludzi moich, czekających z gigiem u portu po serfbot. Odrzekł, że z sobą ma tylko mały kuferek, ale że następnym parowcem spodziewa się dużego carga.

Odszedłem więc, a on, założywszy znowu ręce w tył, zaczął w dalszym ciągu przypatrywać się wyspie z jakimś bardziej jeszcze słonecznym wyrazem w swej pięknej twarzy.

W pół godziny potem byliśmy na brzegu. Przy południowym chopie dowiedziałem się, że mój gość przybył tu jako plantator.

Zachęcony cudami, jakie w Europie o korzyściach plantowania kakao opowiadają — wybierał się w zaatlantycką podróż, niepewny jeszcze, gdzie się osiedli, czy w Zachodnich Indyach, czy w Meksyku, czy na której z wysp Zatoki Gwinejskiej. Te ostatnie, jako mniej znane i mniej eksploatowane, nęciły go bardziej. Przypadek zrządził, że w trakcie tego bawiąc w Liverpoolu. poznał się z Don Anzelmem Garullą, o którym pani musiała słyszeć, jako o dawnym Nababie wyspy.

Garulla wtedy marzył już tylko o tem, aby w jakikolwiek sposób, naturalnie z zyskiem, pozbyć się swoich olbrzymich posiadłości. Nudy fernandoposkie dojadły mu do zbytku; majątku dorobił się już wielkiego, i plantacje były mu kulą u nogi; ilekroć bowiem chciał sobie pohulać trochę w Europie, musiał być przygotowanym na ogromne straty; bo szanowni panowie plenipotenci nie tylko zapuszczali pola, lecz nadto

okradali go z gorączkowym pośpiechem ludzi, nie mających czasu na bawienie się w drobne malwersacje.

Straciwszy nadzieję znalezienia nabywcy na całość. Garulla pragnął ją rozparcelować i w tym stanie rzeczy spotkał się z naszym szwedem, którego będę nazywać Dom Oskarem, jak go tu wszyscy, nawet Anglicy nazywali.

Samo się przez się rozumie, iż go już nie popuścił. Powiedział mu — co zresztą było zupełną prawdą — że FernandoPoo jest ziemią obiecaną dla kakao; że znalezienie już produkującej plantacji jest rzeczą trudną i kosztowną, a zaprowadzenie jej samemu wymaga trzechletnich co najmniej wkładów i trudów, zanim pierwszy dochód się otrzyma; że on jednak mógłby odegrać rolę Opatrzności względem Dom Oskara, odstępując mu kilkadziesiąt bodaj hektarów już dorosłego kakao za bajecznie niską cenę dziesięciu funtów szterlingów za hektar.

Powiedział mu dalej, iż rząd wprawdzie sprzedaje grunt po dolarze za hektar, ale naprzód jest to grunt dziewiczy, którego przysposobienie pod uprawę tanią tę bardzo drogą czyni, a powtóre on (Dom Oskar), jako cudzoziemiec, mógłby nabyć tylko pięć hektarów, co jest za mało, aby się na tem osiedlać było warto, musiałyby więc i tak kupować resztę z drugiej ręki. Uprzedził go wreszcie, iż sprzedając po tak niskiej cenie plantację, obowiązuje się tylko dać mu samo pole kakaowe, bez domu i budynków gospodarskich, co Dom Oskar uznał za słuszne.

Rozchodziło się tylko o przestrzeń. Garulla, sprytny człowiek, nie chciał sprzedać mniej niż trzydzieści hektarów; szwed zaś — jak mi się do tego

otwarcie przyznał — nie był w możności zaryzykowania tak poważnej summy.

Stanęło wreszcie na tem, że Dom Oskar kupił dziesięć hektarów kakao i dziesięć hektarów dziewiczego buszu, wszystko razem za sto dwadzieścia funtów.

Słuchałem go w milczeniu, nie wiedząc, czy mam mu chwalić, czy ganić tego kupionego w worku kota. Że go w ten sposób kupił, nie dziwiłem się wcale.

Garulla, jako największy producent kakao na wyspie, miał rozległe stosunki w Liverpoolu i nie trudno mu było o poręczycieli, mogących zaspokoić

bardzo nawet ostrożnego kupca. Cena również, jak na produkujące kilkoletnie kakao, była w istocie umiarkowaną. Cała rzecz tkwiła w tem, jakie to było owo kakao? Znałem wybornie plantacje Garulli i wiedziałem, z jak różnej wartości pól się składały. Zapytałem więc Don Oskara, czy nie może mnie objaśnić, jakie jest położenie nabytych przez niego gruntów? W odpowiedzi pokazał mi kontrakt kupna z kopią planu całej posiadłości, na której własność jego oznaczona była niebieskim ołówkiem. Stanowił ją ostry klin, przylegający jednym bokiem do plantacji misjonarzy hiszpańskich, a drugim do ananasowej, znanej pani drogi i zamknięty odnogą rzeki Rio del Consul. Poznałem mistrza Garullę. Nie skłamał on ani na włos Don Oskarowi, a przecież oszukał go brzydko. Pozbył się parszywej owcy swych plantacji tak zręcznie, iż niepodobna mu było dowieść, aby w czemkolwiek uchybił zobowiązaniom kontraktu. Kontrakt opiewał: dziesięć hektarów

dorosłego, produkującego kakao i dziesięć takich hektarów było w tym klinie; zapomniano tylko dodać jedno maleńkie objaśnienie: a mianowicie, że nieumiejętnie, w zbyt wielkich odstępach sadzone drzewka, nie mogły dojść do zetknięcia się ze sobą koronami, co — jak pani wiadomo — jest pierwszym warunkiem porządnej plantacji; a stąd potrzebowwały

ustawicznego oczyszczania, zużywając tak wielką ilość rąk, iż Garulla zaniedbał je ostatecznie, bo mu się ta. cała historia nie opłacała. Właśnie na kilka dni przedtem, wracając od misjonarzy, widziałem z żalem, jak te biedne drzewa marniały w wyniszczających uściskach lianów na posłaniu paproci.

Nie udzieliłem tych moich spostrzeżeń Don Oskarowi. Spóźniona przestroga zamienia się najczęściej w niedźwiedzią przysługę. Po cóż miałem rozczarowywać go naprzód, osłabiać energię, którą i tak klimat nadwątli, a której tu więcej niż gdziekolwiek było mu potrzeba. Toż dzięki opatrnościowemu wystąpieniu Garulli, czekało go życie twardej walki z bardzo wątpliwym rezultatem.

Coraz więcej żal mi się robiło tego młodzieńca, bo dziwnie młodzieńczo wyglądał, — chociaż, jak się ze zdziwieniem dowiedziałem, liczył już trzydziesty czwarty rok życia. Na palcu jego pięknej, delikatnej ręki, połyskiwała ślubna obrączka.

Było w nim coś tak pańskiego, tak wykwintnego, że ta natura, której żywiołem zdawała się być atmosfera najwyższej cywilizacji, nie zdoła nagiąć się do tutejszych pierwotnych warunków.

Zauważyłem, że mój afrykański stół niebardzo mu smakował. Przymuszał się widocznie, aby przełknąć mętą, pieprzną zupę z antylopy i inne potrawy, a gdy postawiono cynową wazę palmoil

chop'u (), do którego wziąłem się z apetytem znacznym, Don Oskar zakrztusił się pierwszym kąskiem i przeprosił mnie, że tego jeść nie będzie.

Nie był to jedyny objaw, jego małego uzdolnienia do brzegowego życia. Pani to chyba wiesz najlepiej, jak utrzymanie porządku przy murzyńskiej służbie jest niesłychanie trudną rzeczą. Co do mnie, w zasadzie lubię czystą jak łąza szklanę, ale w praktyce wolę wypić z brudniejszej trochę, niż psuć sobie krew ciągłym zrządzeniem na chłopaka, który mi ją podaje. Gość mój był dalekim od podobnych, nawskroś afrykańskich poglądów; dalszym niż którykolwiek z innych nowicyuszów, z jakimi miałem do czynienia. Mężczyźni wogóle nie są tak drażliwi na te rzeczy. Obserwując zaś ciągle Don Oskara, zauważyłem, iż ukradkiem wycierał swoje talerze i tumbler i z pewną odrazą, której zapewne sam był nieświadomy, rozglądał się po moich, co prawda, niezle zakurzonych kątach.

— Biedaku! — myślałem — co ty tu poczniesz?... jak wytrwasz?...

Po jedzeniu, Don Oskar z łatwą do zrozumienia

niecierpliwością chciał iść obejrzeć swoją posiadłość, ale odradziłem mu, aby się nie narażał na zbyt palące promienie słońca, obiecując zaprowadzić go tam osobiście nad wieczorem, i zostawiwszy go przy jakiejś angielskiej książce, którą zdjął z półki w dwóch palcach i okurzył starannie nim się do jej czytania zabrał — poszedłem do mojej faktoryi. Tam czatował już na mnie Don Mariano Fenollera, plenipotent Garulli. Wieść o przybyciu nowego białego rozeszła się w jednej chwili po mieście, choć nikt jeszcze nie wiedział, kto on był i po co przyjechał. Don Mariano jednak miał swoje domysły w tym względzie, bo poskoczył ku mnie zadyszany, pytając, czyby to nie był przypadkiem młody szwed, który od jego pryncypała plantację kupił. Szkoda, że pani nie знаła Don Mariana. Było to chodzące antidotum na czarną melancholię, najpocieszniesz i najruchliwsza figurka, jaką kiedykolwiek Pan Bóg w przystępie dobrego humoru stworzył. Mały, chudy, wiecznie spocony od gimnastycznych ćwiczeń, jakie ze swymi muskularni wyprawiał, chodził w sposób przypominający skoki polnego konika; puszczał się pędem i stawał raptem, kiedy się tego najmniej spodziewać było można; w rozmowie zaś tak się krzywił, kręcił, wypręzał

i kurczył, że najlepsi jego znajomi nie wiedzieli dokładnie, jak właściwie wyglądał Don Mariano.

Na moją twierdzącą odpowiedź, schwycił się naprzód obu dłońmi za głowę i wyrwał sobie trochę włosów, — a mógł sobie na to marnotrawstwo pozwalać, bo czuprynę miał nader gęstą i rozwichrzoną, — następnie porwał mnie za ręce i skacząc przedemną, oraz wyginając się najdziwaczniej, zaczął mleć językiem we właściwy sobie sposób, to jest urywanemi zdaniem, które napozór żadnego związku z sobą nie miały. Obeznany przez częste stosunki z Don Marianem z tego rodzaju krasomówstwem, wymiarkowałem, że biedak jest w ogromnym kłopotcie, iż przed kilkoma dniami otrzymał hiszpańskim parowcem list od Garulli (którego, nawiasem mówiąc, bał się, jak ognia, choć go bez żadnej bojaźni okradał), że list ten zawierał wiadomość o sprzedaży plantacji i polecenie, aby ją bezwzględnie jak najstaranniej oczyszczono, gdyż nowy właściciel już jest w drodze; że on, Don Mariano. biorąc to ostrzeżenie za zwykłą zachętę do pośpiechu, niewiele sobie zeń robił, a teraz, zaskoczony niezbitą rzeczywistością, błaga mnie, abym jakim cudem wstrzymał nowonabywcę przez parę dni od zwiedzenia plantacji. On już od południa stu ludzi z kotłasami spędził na pole i ma nadzieję, że pojutrze kakao będzie wyglądało, jak panna młoda!

Ile w tem wszystkim było wykrzykników, deklamacyi, szusowatego patosu, ile najosobliwszych zaklęć i porównań, w rodzaju owej panny młodej, naprózno siliłbym się powtórzyć.

Nie byłoby mnie to przecież rozczuliło aż do posiłkowania jego niedbalstwa, gdyby nie wzgląd na mego gościa, któremu w ten sposób

choć pierwsze przykre wrażenie oszczędzonym być mogło, dopóki biegiem czasu nie przekonałby go, że jest kakao i kakao na świecie.

Rzekłem więc Don Marianowi, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, nie tając, dla jakiego powodu to uczynię i że mi to przyjdzie z niemałą trudnością, bo Don Oskar już się był na plantację wyrwał. Ale samo niebo zdawało się chcieć przyjąć udział w spisku. Właśnie przemyślałem nad jakim niewinnym fortelem, gdy lunął deszcz gwałtowny i trwał aż do późnego wieczora.

Za powrotem do domu, zastałem młodego szweda bardzo zniecierpliwionego tą niespodzianą przeszkodą. Pies siedział przed nim na tylnych łapach, a on mówił coś do niego po szwedzku; zapewne opowiadał mu o doznanym zawodzie, bo wskazywał to na kask, to na szumiące za oknami strugi, to na drzwi, — pies zaś żywo z nim widocznie współczując odwracał się ku szybom i szczekał gniewnie na

zachmurzone niebo, a potem patrzył wymownie w oczy swemu panu i na pociechę lizał go po ręku.

Obydwaj byli tak sobą zajęci, że mogłem swobodnie obserwować ich z progu.

Po chwili Don Oskar spostrzegł mnie; uśmiechnął się i głaszcząc szeroki łeb pięknego zwierzęcia, rzekł:

— Zabawnym się panu wydawać muszę, że się psu memu zwierzam z irytacji na tę przeklętą ulewę, która tak nie w porę przyszła. Jedyne to będzie powiernik mój na długo; musimy więc rozumieć się wzajemnie. A takiego drugiego psa, jak mój Vero, nie ma na świecie!

Z czasem miałem się przekonać, że nie była to czcza pochwała zaślepionego właściciela. Widziałem dużo mądrych i przywiązanych psów na świecie; ale stworzenia tak inteligentnego i któreby, że tak powiem, po ludzku umiało objawiać swoje uczucia, nie byłbym sobie nawet wyobraził.

Wieczór zeszedł nam na pogawędce. Don Oskar mówił dużo, ale już nie o sobie. To, co usłyszałem rano, miało być na czas długi kresem jego osobistych wynurzeń. Natura to była szczerą jak złoto, a jednocześnie powściągliwa. Dowiedziałem się tylko, że owo spodziewane cargo, o którym wspominał, składać się będzie z gotowego domu, kupionego w Liyerpoolu za funtów, gospodarskich sprzętów i narzędzi.

W nocy Don Oskar dostał silnej febry i cały następny dzień przeleżał w gorączce, słaby jak dziecko. Pies nie odstępował go ani na krok, objawiając największy niepokój.

— Dziwi się, co mi jest... — wytłómaczył Don Oskar. — Nigdy w Europie nie widział mnie chorym.

— Tem gorzej dla ciebie! — pomyślałem, wiedząc z doświadczenia, czym jest tutejszy klimat dla organizmów, które zawsze były zdrowe w strefach umiarkowanych.

Trzeciego dnia Don Oskar wstał bardzo wczesnie, zdrow i rzeźki, bez śladów przebytej choroby w swej pięknej, młodzieńczej twarzy.

Poranek był prześliczny; żadna możliwa wymówka nie nastęrczała się, zresztą Don Mariano musiał się już być ze swymi ludźmi uwinąć.

Ruszyliśmy tedy ku SantaMaria.

Don Oskar rozglądał się ciekawie, a z uwag, jakie czynił, przekonałem się, że choć nigdy w tropikach nie był, teoretycznie sporo o nich wiedział. Spuściliśmy się w skropione ranną rosą baranco (), ujrzawszy na chwilę ze szczytu jego krawędzi ClarencePeak, wynurzający się w opaskach różowych mgieł po nad spiętrzonem morzeni zieloności i weszli w aleje mangusowe.

Don Oskar unosił się nad niemi jak poeta, ale zarazem jak człowiek praktyczny dziwił się Garulli, że dozwala takiemu bogactwu owoców marnieć, skoro z mangusów można przewyborny pędzić spirytus.

— Gdyby te aleje do mnie należały — rzekł — zarazbym, bodaj za ostatnie pieniądze, sprowadził alembik.

— I gorzelanego ? — pozwoliłem sobie zauważyć. — Nie wiem, czyby to był tak świetny interes. Mój rodak, który właśnie Luclabą odjechał, miał już przed panem tę myśl i dzierżawił jakiś czas aleje od Garulli. Ale rząd tutejszy, nie rozumiejący się na własnych interesach i na rozwoju wyspy, pośpieszył tak wysoko nowe przedsiębiorstwo opodatkować, że dołączywszy inne względy przeciw, trzeba go było zaniechać. Zresztą, biały oficjalista jest tutaj zawsze rzeczą bardzo kosztowną i ryzykowną, bo go nie tylko sprowadzić, ale i odesłać własnym kosztem trzeba, jeżeli klimatu nie znosi, lub z innych względów okaże się niezdatnym.

— Nie potrzebowałbym go — odparł Don Oskar. — Znam się trochę na gorzelnictwie i wierzę w to, że człowiek, gdy chce, wszystkiego się nauczy.

Pomyślałem sobie:

— Gadasz, kochanku, jak każdy nowicyusz, w którym się pali słomiany ogień, rzucający się na

wszystkie przedsiębiorczości. Zobaczymy jeszcze, co z tego będzie z czasem...

W pół godziny doszliśmy do końca ananasowej drogi.

— Tu zaczyna się własność pana — rzekłem, wskazując ścianę buszu i zagłębiająca się w nią ścieżynę.

— A gdzie kakao ? — zapytał żywo.

— Kakao będzie dalej — odparłem. — To początek owych dziesięciu hektarów dziewiczego gruntu, które pan w złotodajne pola przy pracy i pomocy Bożej przemienisz.

— A! — rzekł tylko i nagle spowaźniał, jak gdyby pierwsze stąpięcie na ten kawał pierwotnej ziemi odwracało nową kartę jego życia.

Poszedłem naprzód. Drożyna zwięzła się i rozszerzała kapryśnie. W tym miejscu, gdzie pani dzisiaj ruiny domu widziałaś, busz był najgęstszy, lecz niedaleko potem ustawał nagle, rozstępując się w czworobok, tworzący naturalny, wysoki mur dla kakaowego pola.

Nie miało ono, co prawda, żadnego podobieństwa z panną młodą, ale wyglądało tak czysto i pięknie, jak tylko wyglądać mogło; zwodniczo pięknie, bo pnie i gałęzie okryte były obficie ladronami(), których jasna zieloność nadawała drzewom

() "Ladronami" nazywają dzikie pędy, niszczące soki drzewne. (Przyp. aut.)

pozór zdrowia i rozwoju, podczas gdy w czerniejących, chorowitych wierzchołkach kryły się objawy smutnego zaniku.

W pośpiechu nie zdążono poobcinać darmozjadów, — a może Don Mariano, który miał dosyć słabe pojęcie o rozumie swoich bliźnich, sądził, że nowy nabywca nie pozna się na tem.

On przecież spostrzegł to odrazu.

— Ach, jakież to zaniedbane! — wykrzyknął gniewnie, odłamując najbliższy ladron obcasem.

Nie odrzekłem nic. Cóż byłby powiedział, znalazłszy się tu przed trzema dniami?

— Nie widziałem nigdy kakaowego pola — mówił dalej Don Oskar, gdyśmy zaczęli iść pomiędzy drzewami, rozglądając się — ale sądziłem, że to inaczej, regularniej wygląda! Patrz pan! toż to zupełnie puste place! — i wskazywał ręką na przeświecające tu i owdzie większe łysiny tej plantacyjnej parodyi.

Skorzystałem ze sposobności, aby mu doradzić jak najprędze usunięcie złego przez plantowanie młodych drzewek w owych przerwach; ale na nieszczęście nie wszędzie mogło się to dać zastosować, bo kakao jakby z umysłu było tak idiotycznie sadzone, że zostawało zawiele miejsca na jedno drzewko, a zamało na dwa.

Godzina zeszła nam na oglądaniu pola w różnych kierunkach. Mieliśmy się już ku odwrotowi,

gdy z zarośli, jak kamień z procy, wypadł Don Mariano.

Uderzył się w rozpędzie o jedno drzewo, odskoczył, oparł się o drugie i w tej zygzakowatej linii dobiegł do nas. Dobiegłszy, przegiał się raptem na bok, zaprezentował memu towarzyszowi naprzód jedno ramię, potem drugie, następnie stanął w postawie salutującego żołnierza, skrzywił się niemiłosiernie, kichnął, przeprosił i ostatecznie zwrócił się ku mnie, witając z wyrazem stęsknionego przyjaciela i prosząc, abym go z senorem Sueco zapoznał i wytłómaczył temu ostatniemu jego godność.

Właściwie rozmowa pomiędzy nimi ograniczyła się na wymianie ukłonów, Don Oskar nie mówił wcale po hiszpańsku, a Don Mariana angielszczyzna składała się z sakramentalnych: "Yes" i "Wo" oraz niemniej sakramentalnego na brzegu: "Go ou, boys" (Dalej, chłopcy!) którym, jak twierdził, dodawał sobie powagi w rozkazywaniu krumanom. Ale zacny plenipotent nie zrażał się takimi drobnostkami.

— Dom Luiz, hombu! — zawołał patetycznie — powiedz znakomitemu senor Sneco, że jestem najszcześniejszym z ludzi... powitać go na tem miejscu!... Ach! to piękna chwila!... On tu panem... Niech spojrzy... niech się raduje! Cudowne pole... Ziemia jak szkło!... Drzewa jak malowane!...

Niechający Don Mariano okazał się bardzo trafnym w wyborze tego ostatniego porównania. Istotnie były to malowane drzewa, a korzyści z nich tyleż.

— A mnie — rzekł dalej — mnie przypadło oddać mu to Valparaiso w posiadanie... Jakże dumny... Czemuż nie mogę uroczyściej?... Czasu zabrakło!... Dziś dopiero dowiedziałem się. Pędzę... och... jakżem zgrzany... Szczęśliwa gwiazda posłużyła mi... Spotykam... Cieszę się niewymownie.

Młody szwed słucał tej paplaniny z rodzajem spokojnego zdziwienia, a jego piękna, nieruchoma twarz i postawa tworzyły takie przeciwieństwo z miotającą się jakby w konwulsjach figurką Don Mariana, że patrząc na nich obu, z trudnością wstrzymywałem się od śmiechu.

W dodatku pies, powziawszy gwałtowną niechęć do plenipotentą Garulli, szczekał wciąż na niego zapamiętale i doskakiwał do niego za każdym jego poruszeniem zwiększając komizm tej pociesznej sytuacji.

Powtórzyłem memu gościowi sens przemowy Don Mariana, opuszczając naturalnie bezczelne kłamstwa, jakimi ją naszpikował, ani się zająknawszy wobec mnie. o którym wiedział przecież, że się na nich doskonale rozumiem. Don Oskar słucał obojętnie, a ten narwaniec w ciągłych podrygach wyrzucał z siebie, jakby w nadmiarze

przepelniających go uczuć sentymentalne " Yes! Oh Yes", raz nawet, zapomniawszy się, krzyknął: Go ou boys!

— Powiedz mu — pytlował znów, gdy skończyłem — że jestem cały na jego usługi... Dom mój jest jego domem! Niech przychodzi i bierze, co zechce. Ale — och! ci cudzoziemcy! Jaka duma w nich... Boją się najmniejszego zobowiązania... Ależ, curamba! to ten, co daje, jest zobowiązany... Lecz kto zrozumie serce hiszpana? Może i senor Sueco... obgaduję. On nie zechce uczynić mnie najszcześliwszym z ludzi. Ach!

świat zawsze jednaki!... Wiara w bezinteresowność... gdzie ona? Więc powiedz mi, Dom Luiz, że stwierdzając jego drażliwość... wszak nowoprzybyli zawsze mnóstwa rzeczy potrzebują... jednym słowem, gotów jestem odstąpić mu różne narzędzia, meble, naczynia prawie za darmo... Zapłaci mi tylko dla formy!... Poda Dios! od czegoż mamy bliźnich, jeżeli nie po to, abyśmy im pomagali... Rzeczy zupełnie nowe, wyborne! Faktorye takich nie mają. Serwis porcelanowy na dwadzieścia cztery osoby, piły, drągi żelazne, szyby do okien, szafy, fotel bujający, prasa do kopiowania...

— Dajże pokój Don Mariano — przerwałem niecierpliwie. — Ten pan wszystko ze sobą przywiózł i niczego nie potrzebuje.
Tu Don Oskar odezwał się:

— Spytaj go pan, proszę, czy na tej przestrzeni znajduje się jaki plac oczyszczony, zdatny pod budowę domu? Nie jest to objęte kontraktem, ale z tego, co mi kilkakrotnie pan Garulla mówił, mam prawo spodziewać się, że mi odpowiedni teren przygotowano... Przetłómaczyłem wiernie słowa młodego szweda. Don Mariano podniósł oczy do nieba.

— Teren przygotowano... — powtórzył. — Co za myśl! Któżby śmiał właścicielowi naznaczać, gdzie ma mieszkać. Ave Maria purissima! Nie! Wszystko do jego dyspozycji. Wszystko... Plantacja, ja i mój dom! Z trudnością uwolniliśmy się od natręta. Don Oskar odpowiedział sztywnym ukłonem na podrygi jego. Widocznem było, że go coś od tego człowieka odpycha. Nie zdradził się jednak z tem, i czas jakiś szliśmy znów przez gąszcz w milczeniu. Don Oskar przerwał je pierwszy, prosząc, abym mu, jako znający położenie, doradził, gdzie najlepiej dom postawić.

Wskazałem mu znane już pani miejsce, a to z tego względu, że w pobliżu bije czyste. pyszne źródło, rzecz pierwszej wagi w gospodarstwie.

— Ależ tu las zupełny! — zawołał. — Ileż to czasu zejdzie, zanim tu będzie można coś budować.

— Cóż pan chcesz — rzekłem. — Wszędzie to samo.

Dom Oskar uderzył się w czoło.

— Otóż to niepraktyczność nowicyusza! — wykrzyknął — dla oszczędzenia kosztów nie chciałem najmować krumanów po drodze, choć setki ich przyływały na pokład, gdzieśmy się tylko zatrzymywali. Myślałem, że z początku prócz cieśli nie będę potrzebował nikogo. A tu widzę, trzeba natychmiast zabierać się do karczowania. Gdzież ja teraz cieśli dostanę?

Widocznie musiał mu już ktoś na parowcu powiedzieć, że na FernandoPoo trudniej o ramiona do pracy, aniżeli w Europie o geniusze. Szczęśliwym dla niego trafem, jeden z plantatorów w zatoce SanCarlos chciał się pozbyć kilkunastu swoich ludzi, przekonawszy się, że ich sprowadził za wielu. Przypomniałem sobie o tem i nazajutrz o świcie popłynęliśmy do San Carlos, a w pięć dni potem czternastu krumanów stanęło z kotlasami na wykreślonej przez ich nowego pana linii. Jednocześnie dwóch najętych w mieście piłaczy ociosywało słupy pod mający przybyć dom.

Don Oskar całe dni spędzał na dozorowaniu robotników. Z puszką sardynek i kawałkiem chleba w kieszeni, wychodził po rannem śniadaniu i nie wracał aż wieczorem. Napróżno usiłowałem go skłonić, ażeby na

południowy posiłek przychodził do miasta. Odpowiedział, że takie częste spacerowanie szkodzącyby mu bardziej, aniżeli brak ciepłej stawy.

Po dwóch tygodniach zdziwił mnie niepomierne oświadczeniem, że z całego serca dziękuje mi za gościnność, że nigdy nie zapomni, co dla niego uczyniłem (właściwie uczyniłem tylko to, co każdy na moim miejscu byłby zrobił) i że od jutra zamieszka już na stałe na swojej plantacji, którą nazwał "Karinefield".

— To niepodobna! — zawołałem. — Gdzież pan będziesz mieszkał? Uśmiechnął się tym swoim uśmiechem pogodnym, ufny, odważny, a bez cienia pyszałkowatości, którym chwycił za serce.

— Alboż to niema płótna żaglowego i kołków? — rzekł wesoło. — Jeżeli panu ten krumanik, który mi tu służy, niepotrzebny, to wezmę go chętnie i będę z niego miał kucharza i lokaja. Odgrzać puszkę konserw, ugotować kartofli lub wody na herbatę, coś umyć, coś podać, to przecież niewielka filozofia — a mnie więcej nie potrzeba.

— Ależ na czym pan będziesz sypiał, na czym jadał? — przerwałem. — Trzeba to naprzód jakoś obmyśleć, urządzić...

— Już wszystko obmyślone i urządzone — odpowiedział. — Czy pan sądziłeś że przez te dwa tygodnie tylko patrzył, jak inni pracują?... Zapraszam pana jutro na obiad do mego płóciennego pałacu.

O umówionej godzinie z pewnym uczuciem zaciekawienia, znalazłem się na miejscu. Znając obrzydliwe lenistwo murzynów, zdziwiłem się śladom dokonanej przez nich w ciągu tych kilku tygodni pracy.

Obszerny kwadrat gruntu, mogący pomieścić dom, ogród, dziedziniec i zabudowania, był już wycięty. Z niepodopalanych stosów padłego gąszcza unosiły się sine dymy, które zachodzące słońce zmieniało wnet w różowe obłoczki; gdzieniegdzie sterczał jeszcze pień jakiegoś powalonego olbrzyma.

Na przestrzeni zupełnie już oczyszczonej i wyrównanej, dwa rzędy wbitych słupów i pokopanych w dalszych szeregach dołów, wskazywały, że tutaj wznosić się będzie dom. O kilkanaście kroków dalej, na sześciu palach rozpięty wążki i długi, jak wagon kolejowy, stał improwizowany namiot Don Oskara. On sam, z łyżką w ręku, wyszedł do mnie ze skleconej naprędce z kilku łąt bambusowych szopki, która zastępowała kuchnię.

Czuć go było trochę dymem, na czole perliły się krople potu, ale oczy i usta jaśniały zadowoleniem.

— Witaj, mój pierwszy gościu na tej ziemi! — zawołał, ściskając mi rękę.
— Daj Boże, abym nigdy innych nie potrzebował tu przyjmować, tylko tak pożądanym, jak pan mi jesteś! A teraz, jeżeli łaska, Dyogenes prosi do swojej beczki!

Podniósł poprzeczną, luźną płachtę i weszliśmy do wnętrza.

U drugiego końca namiotu stało łóżko, czyli dwa kozły drewniane, na nich rozpięty kawał płótna, a na płótnie poduszka podróżna i pled, dalej cztery wysokie pniaki, z których przy pomocy kilku zbitych desek zrobiono stół; obok dwa niskie pniaki, z których przy pomocy tylko dobrych chęci, można było każdej chwili zrobić sobie krzesła; dalej jeszcze równie pierwotna umywalnia i kuferek.

Stół nakryty był biało i czysto na dwie osoby; nie brakło nawet kwiatów. Pęk śnieżnego kwiecica tkwił w wypróznionej po zupie puszcze, rozlewając dokoła swój wieczorny, odurzający zapach. Wieczorna burza chwiała zlekka płóciennymi ścianami, z których jedna, nasycona zachodniem światłem, wydawała się całkiem purpurową. Wszystko było takie proste, a takie świeże, jasne i prawie po kobiecemu wdzięczne, że nie mogłem powstrzymać się od wykrzyku:

— Ależ pan się ślicznie urządziłeś! Don Oskar roześmiał się.

— A widzisz pan! Szwedzi nie są takimi niedołęgami, za jakich ich pan, jak mi się zdaje, miałeś. Ale siadajmy; musisz pan być głodnym po spacerze. Sam kucharzowałem, jak pan widzisz, bo mój Tai ma bardzo mętne wyobrażenie nawet o sposobie gotowania wody. Nie przypuszczałem, że są, do

tego stopnia nierozgarnięci. Byłem skłonny zapatrywać się na nich ze stanowiska zacnej pani BeecherStowe, ale widzę, że to będzie niemożliwym.

Murzynek podał zupeę. Ponieważ cała zastawa stołowa składała się tylko z czterech talerzy i dwóch sztućców, więc Don Oskar kazał wnieść blaszaną wanienkę i sam pomywał nakrycia na zmianę, machając ścierką z zacięciem kredensowego chłopca, a jednocześnie prowadził ze mną ożywioną rozmowę. Robił na mnie takie wrażenie, jak gdyby to wszystko razem wydawało mu się paradną maskaradą i jak gdyby po dziecięcemu niemal cieszył się, że tak świetnie gra swą rolę. Gdy go sobie takim przypomnę, a potem pomyślę, jakim go kiedyś miałem zobaczyć! ale co tam — wszystko w swoim czasie.

Rozglądając się szczegółowiej po namiocie, zauważyłem nad łóżkiem przytwierdzoną do płóciennej ściany dużą fotografię. Wyobrażała ona młodą bardzo kobietę o włosach tak jasnych, że na fotografii w silnym oświetleniu robiła wrażenie prawie białych, o twarzyczce drobnej, ślicznej, trochę melancholijnej, klęczącą przed huśtawką, na której bujało się rozkosznie uśmiechnięte, trzyletnie może Bobo.

Bobo miało główkę, tonącą jak w obłoczku srebrzystym, w gęstwinie jasnych, rozwianych loczków; biała, króciutka sukienka odsłaniała bosc stopki,

pełne dołeczków, dłuższą, niż to zazwyczaj bywa u dzieci, szyjkę i okrągłe rączki, trzymające się sznurów. Ta wysmukła szyjka dziwnie idealizowała maleńką; a jej wielkie, ciemne oczy miały w sobie coś z melancholii, rozlanej w anielskich rysach młodej kobiety.

Nazywam ją kobietą dla tego, że trzymając także jedną ręką sznur huśtawki, podniosła na dziecko wzrok, jakim tylko matka patrzeć umie; po za tem wszystko w niej było uosobieniem dziewiczości.

Cała ta fotografia robiła wrażenie jakiejś fantazyi malarza na temat skandynawskiej Madonny, a bynajmniej nie natury, przeniesionej aparatem na kliszę.

Ujrzawszy ją, tak uparcie kierowałem spojrzenia moje w tę stronę, że Don Oskar musiał to w końcu zauważyć.

— To moja żona i dziecko — rzekł krótko i zaraz, jak gdyby chcąc zapobiedz pochwałom lub dalszym spostrzeżeniom w tym przedmiocie, zaczął mówić o czem innym.

Z właściwym mu jędrnym i trzeźwym zapałem rozwijał przedemną swoje plany na przyszłość. Pół roku zakreślał sobie na przekształcenie tego dymiącego przed nami karczowiska, w wygodną i ładną siedzibę. Dom przybędzie za parę tygodni; zestawienie go nie powinno być ani trudną, ani

długą rzeczą: cztery miesiące najwyżej. Otoczy się go wraz z gruntem, przeznaczonym na ogródek, ładnym płotkiem; urządzi wewnątrz skromnie, lecz ładnie. Dziedziniec i gospodarskie budynki będą miały także swoje oparkanie, pokopią się rowy, zaprowadzą klomby.

Słuchając tego, a poznawszy już, jaki Spartanin krył się pod tą powłoką wytwornego światowca, nie mogłem wątpić ani na chwilę, że Don Oskar zamierza sprowadzić tu swoją rodzinę, i mimowoli spojrzałem znów na fotografię. Te dwie eteryczne istoty tu, na FernandoPoo?... Ależ to byłoby więcej niż szaleństwem, to byłoby poprostu chwytniem motyli w

samotrzaski, z nadzieją, że zachowa się przy tem całość ich kruchych skrzydełek i świetność ich puchowych barw.

Gdyby nie ta wielka wstrzemięźliwość, jaką co do swoich osobistych stosunków zachowywał, byłbym mu powiedział wręcz:

— Człowieku! co chcesz uczynić? Wstrzymaj się, na Boga, póki czas!...

Ale przygryzłem usta, a on w dalszym ciągu snuł swoje zamiary.

Mówił, że dopóki tych wszystkich domowych robót nie pokończy, zapomni, o ile to będzie możliwem, o innych, czekających go pracach i ulepszeniach. Nie miał takiej forszy pieniężnej, aby wszystkiemu naraz podołać, a przytem nie wierzył w po

wodzenie rozstrzelonej na różne kierunki działalności, w czem zupełnie dzieliłem jego zdanie. Gdy skończy z budownictwem, odda się bezpośrednio plantatorstwu. Spodziewał się w ciągu dwóch lat oczyścić i zaplantować owe dziesięć hektarów buszu, pilnując jednocześnie już istniejącego pola, aby je według mojej rady zasilić nowemi drzewkami i doprowadzić do pożądanego stanu cienistości.

— Nie liczę na żadne zyski przez pierwsze cztery lata — mówił — ale mam nadzieję, że dawne kakao przyniesie mi dochód na pokrycie kosztów utrzymania rodziny mojej, ludzi i na pomniejsze wkłady. Za to po pięciu latach plantacya powinna już procentować się w całej pełni, a wtedy... sprowadzę sobie ogniotrwałą kasę — dokończył żartobliwie.

Jego ufność zaraziła mnie do tego stopnia, że choć wiedziałem, o ile na to dawne kakao liczyć można, rezultatem moich odwiedzin u Don Oskara, było głośno w powrocie do domu wypowiedziane zdanie:

— Da sobie radę!

Odtąd często zachodziłem na "Karinafield" i za każdym razem utwierdzałem się bardziej w tem przekonaniu. Bywały chwile, kiedy poprostu podziwiałem mego przyjaciela. Gdyby istniała gdzieś akademia, kształcąca specjalistów w postępowaniu z murzynami i gdyby

Don Oskar uczęszczał był do niej przez długie lata, nie mógłby nauczyć się wytworniejszej metody nad tę, na jaką sam instynktownie trafił, on, który z początku słowa z nimi w żargonowym języku dogadać się nie umiał.

Ówczesny gubernator, człowiek bardzo energiczny, zajęty temi publicznymi robotami, którym Fernando Poo swe jakie takie drogi i mosty zawdzięcza, nie wtrącał się wcale w stosunki białych z ich ludźmi; plantator zwłaszcza był samowładnym panem i sędzią w obrębie swej posiadłości. Doprowadzało to czasem do nadużyć, wogóle jednak lepszem było, niż inna ostateczność, która naprzykład teraz ma miejsce.

Cierpliwy, spokojny, sam niezmordowany, Don Oskar imponował tym wielkim, czarnym dzieciom swą zimną krwią i stanowczością. Z początku, nawykli do krzyku i gburowatych wybuchów gniewu innych Europejczyków, lekceważyli sobie jego pogróżki, wypowiedane prawie takim tonem, jak obietnice nagrody; ale gdy się przekonali, że żadne prośby i wykręty wypowiedzianego słowa nie cofną, zaczęli innem okiem spoglądać na swego pana.

Nic tak potężnie nie działa na murzyna, jak bezwzględna, ścisła sprawiedliwość. Darowana kara nie obudzi w nim wdzięczności, bo wdzięczność, z małymi wyjątkami, obcą jest jego sercu; niezasału

żona pobłażliwość lub nagroda rozzuchwali go i zdemoralizuje; doznana krzywda lub ucisk rozpalą w nim całe piekło zemsty — i tylko ręka tak pewna, że nie dozwoli szali przechylić się ani na jedną, ani na drugą stronę, pokierować może.

Tak rzadką i szczęśliwą rękę posiadał Don Oskar. Łączył z nią jeszcze jeden dar, napozór nic wspólnego z utrzymaniem rygoru nie mający, dar, który większość osądziłaby jako wielki wdzięk w światowcu, ale jako zupełnie zbyteczny dodatek w plantatorze, a który przecież wpływ swój wywierał: była nim jakaś osobliwsza, niepojęta prawie w takich okolicznościach staranność w ubiorze i całej powierzchowności tego człowieka.

Widywałem go z młotkiem lub kopaczem w ręku; widywałem go mieszającego farby, mającego do czynienia ze smołą i wapnem; a czy to na drabinie, czy wśród zakurzonych pali i worków wyglądał zawsze, jak gdyby szedł z pierwszą wizytą. Jak się urządzał, aby się nie poplamić, nie zabłocić, nie zaniedbać — to pozostanie dla mnie zupełną tajemnicą.

Powtarzałem mu nieraz ze śmiechem, że go uważam za czarownika w tym względzie; a nie zaręczyłbym, czy tego, co ja mówiłem żartem, murzyni nie myśleli na seryo. To tylko pewna, że wskutek tego byli przejęci głębokiem poszanowaniem dla Don Oskara.

Murzyni są uważający do najwyższego stopnia. Europejczyk w przybrudzonych "podżarmach" (), w zniszczonych butach i pogiętym kasku, ze źle utrzymaną brodą i niedomytymi rękami, traci dla nich połowę uroku; poufała się z nim przez bezwiedną pobratymczość własnego niechlujstwa. Ale ten jasnowłosy, wytworny młodzieniec, który chodził pomiędzy nimi taki świeży i czysty, w swym popielatym, płóciennym garniturze, a przecież miał się wszelkiej roboty, musiał im się wydawać jakąś istotą odrębną, uprzywilejowaną, do której to, co brzydkie i brudne, przylgnąć nie mogło.

Zamiłowanie czystości i porządku dochodziło u niego do kultu i jeżeli co wyprowadzało go ze zwykłej równowagi, to jedynie wykroczenia przeciw tym dwom jego życiowym ideałom.

Raz jeden tylko widziałem go w prawdziwej pasyi, a było to wtedy, gdy mały Pai, leniąc się przynieść wody do umycia talerza, napluł na niego i wytarł go własnym, spoconym i brudnym fartuchem.

Don Oskar złapał go na gorącym uczynku, i myślałem, że roztrzęsie nieszczęsnego chłopaka. Przez cały wieczór potem nie mógł się uspokoić. — Ależ to było! — powtarzał wzburzony — było plugawe o instynktach nierogaczyny!

I wtedy, także po raz pierwszy, wyrwał mu się wykrzyknik, odnoszący się do żony:

— Biedactwo moje!... co ją czeka?... Ha! Nils Gabryelu! cóżeś uczynił?... Gwałtownie potarł ręką czoło i jakby przestraszony, czy zmieszany własnymi słowami, wyszedł szybko przed namiot, nie spojrzawszy na mnie.

III.

Minęło kilka tygodni.

W początkach marca interesa zawezwały mnie do Globego, a stamtąd na stały ład, w górę rzeki Utamboni. Nieobecność moja potrwała nad zamiar około półtrzecia miesiąca. Kiedym nareszcie wrócił, pora deszczowa panowała w pełni nad naszą wyspą, utrudniając wszelką komunikację, która i tak zawsze pozostawia wiele do życzenia.

Pierwszą moją myślą było odwiedzić Don Oskara, ale musiałem przeczekać kilka dni iście potopowych, zanim mi się udało doprowadzić do skutku mój zamiar. W trakcie tego, kogo spotkałem w mieście, ten mi opowiadał o dziejących się na "Karinafield" dziwach.

Według tych opowieści, stał już tam pałac urządzony z przepychem; były buduary o lustrzanych

ścianach, żyrandole, galerya obrazów, malowane szyby w oknach, makaty, dywany, ogród angielski — słowem, brakowało tylko tego, na co już wyobraźnia opowiadających wysilić się nie mogła.

Wprawdzie przy bliższym badaniu pokazało się, że nikt z nich tego wszystkiego na własne oczy nie widział, bo Don Oskar, zapracowany, z

nikim prawie prócz mnie, towarzyskich stosunków jeszcze nie pozawiazywał, — ale każdy słyszał to od jakiejś wiarogodnej osoby, która to znów od naocznego świadka, najczęściej potonegra, wiedziała.

Aczkolwiek trzem czwartym tych bredni z góry nie dawałem wiary, jasnym mi było, że musi w tem być jakaś dziesiąta część prawdy, rozdęta i przekręcona do jednej czwartej prawdopodobieństwa, z którego już dalsze bajki wykwitły — i z tem większą niecierpliwością, wyglądałem pierwszego suchego dnia.

Nadszedł przecież, nietylko suchy, ale i słoneczny; jeden z tych pięknych, rześwych, niezbyt upalnych dni, jakie się tylko w porze deszczowej trafiają, i tyle dobrego europejskim organizmom robią.

Droga była okropna. Niosący mnie ludzie brnęli w błocie po kolana; w "barancu" trzeba się było formalnie przeprawiać. W dodatku musiałem być przygotowany na pieszą wędrówkę od końca ananasowej drogi, albowiem ścieżka, wiodąca przez gąszcz na Karinafield, była zbyt wąską dla hamaka.

Tymczasem już tam czekała mnie niespodzianka. Zamiast krętego, wyboistego przejścia, otwarła się przedemną szeroka na parę jardów ulica, ubita wypukło i dzięki temu nie błotnista, ujęta w dwie ściany zieleni, z której gdzieniegdzie wybiegał wielki liść winodajnej palmy i splatał się w górze z przeciwległym sąsiadem w strzępiastą arkadę. U końca ulicy były wysokie bambusowe wrota, bardzo zgrabnie wiązane, a gdy w nie wjechał hamak, zdziwionym moim oczom ukazały się istne cuda, nie żadnych magnackich zbytków i fantazyi, ale żelaznej wytrwałości i niezmordowanej pracy dzielnego, inteligentnego człowieka.

Dom, którego rozpacziwą ruinę widziała dziś pani, stał już zupełnie wykończony — odjechałem go jeszcze nie oszalowanym — błyszczący świeżym pokostem olejnej farby, od której jasno kawowego koloru ślicznie odbijało brunatne malowanie futryn i ram u drzwi i okien. Na przedniej werendzie stał Don Oskar i pokazywał coś murzynowi cieśli, wystawiającemu poprzeczne słupki baryerki, która jedna jeszcze świeciła białym drzewem.

Ujrzawszy mnie, zbiegł szybko ze schodów i uściskaliśmy się serdecznie, a radosne szczełkanie Vera towarzyszyło naszym powitalnym wykrzyknikom.

Mój młody przyjaciel wydał mi się trochę zmienionym. Zeszczupłał, i jego świeża cera zrobiła się

bardziej matową, usta pobladły, ale oczy jaśniały dawnym ogniem ufego zadowolenia.

— A co ? — zawołał, prowadząc mnie ku werendzie zaczyna to jakoś po ludzku wyglądać?...

— Ależ po czarodziejski!! — odparłem i przystanąwszy, rozglądałem się dokoła.,

Coraz nowy szczegół wpadał mi w oczy i powiększał moje zdziwienie.

Wielki kwadrat przestrzeni opasany był bambusowym płotkiem, tak misternym, że wzoru do niego chyba tylko własna pomysłowość Don Oskara dostarczyć mogła; pośrodku, owalny klomb przyszczyżonej murawy, odcinał się swą opłukaną deszczami zielonością, od czerni oczyszczonego starannie gruntu, na którym porobione już były różnego

kształtu klomby, przeważnie proste jeszcze i drobnymi, bielonymi kamykami pokładane.

— Proszę, proszę dalej! — rzekł, śmiejąc się z mej zdumionej miny, Don Oskar.

Wstąpiliśmy na werendę i obejrzelśmy naprzód dom z zewnątrz. W tyle, na dziedzińcu, zobaczyłem zgrabną, niewielką kuchnię z kalaborów, krytą cynkiem, a w głębi duży, porządny dom krumański, którego poszycie wykończyła właśnie dwóch murzynów, przybijając do łąt świeże, bambusowe liście.

— Po czarodziejsku! — powtórzyłem. — Nasłuchałem się niestworzonych rzeczy o pańskiej rezydencji, ale widzę, że mi powiedziano zamało, a ra

czej przemilczano o tem. co najbardziej zasługuje na uwagę. Co do mnie, mniej mi zaimponują owe zwierciadlane ściany, żyrandole i makaty, — jeżeli są rzeczywiście — niż ta pyszna ulica w buszu wycięta, ten plac, gładki jak dłoń, te zabudowania, to wszystko, w tak krótkim czasie dokonane i z tak niewielką ilością rąk... Czy się tu u pana nie jada, nie śpi, nie wypoczywa, tylko pracuje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? — Upewniam pana, że się pilnujemy ściśle dzwonu — odrzekł, wciąż śmiejąc się Don Oskar. — Szósta rano, szósta wieczorem i dwie godziny na "czop" w południe. Ale pracuje się rzetelnie. Przekonywam się coraz bardziej, że z murzynami można zajechać dalej, niż mi się z początku zdawało. Ale o jakich to zwierciadlanych ścianach i żyrandolach pan wspomniałeś?

— No, o tych, które jakoby zdobią wnętrze "pałacu", jak pańską siedzibę w mieście nazywają. Niechże mi danem będzie go obejrzeć.

— Ależ służę, służę! — zawołał Don Oskar. — Tylko w takim razie wróćmy na przednią werendę, abyś pan od progu już został olśniony wspaniałościami, jakich oko twoje jeszcze nie widziało...

Pokoje były pięć, wysokich, widnych, doskonale wentylowanych. W rozkładzie ich, w proporcjach, tak jak i w zewnętrznym kształcie domu była pewna odrębność, mile uderzająca oko, znużone szema

tycznością pospolitych brzegowych budowli. A przecież dom był kupiony gotowy; • tylko ten, kto go kupował, umiał snąć wybierać i nieznaczną zmianą w szczegółach dodać mu odrębnego wdzięku.

Toż samo w urzędzeniu. Jak z góry przewidywałem, wszystkie opowieści o nagromadzonych tu bogactwach nie miały żadnej podstawy.

Cała rzecz tkwiła w tem, że sprzęty nie były zbieraniną przedpotopowych straszydeł, jakimi zazwyczaj europejskie firmy meblują domy agentów, tych wyroczni cywilizowanego szyku i gustu na brzegu, lecz miały swój styl, swoją harmonię i niezbyt kosztowne w gruncie, mogły rzeczywiście niezwykłością swą oszołomić fernandoposką publiczność.

W jadalnym pokoju zwrócił moją uwagę ładny, niewielki, z woskowanego orzecha, w czystym, staroniemieckim stylu, kredens, którego górne drzwiczki składały się z licznych różnokolorowych szkiełek, w biały metal oprawnych.

To mi przywiodło na pamięć owe malowane szyby u okien i zapytałem o nie Don Oskara.

Pokazało się, że jedynym okazem zabarwionego szkła w całym domu były właśnie te kredensowe drzwiczki.

— O plotko, jakąż ty jesteś śniegową kulą! — zawołałem. — Nawet tam, gdzie śniegu wcale niema!

Swoją drogą byłem zachwycony.

Jeżeli Don Oskar w namiocie, gdzie mógł rozporządzać tylko trochę płótna, pieńków i desek, umiał roztoczyć pewien komfort, — to może pani sobie wyobrazić, co zrobił, mając pewną ilość ładnych mebli, parę dywanów, nieco tkanin, a nadewszystko tych drobnostek, które dopiero nadają właściwy charakter mieszkaniu, kładą w jego bezdusność indywidualne cechy tych ludzi co w niem żyją.

Uderzyło mnie zwłaszcza kilka obrazów bardzo dobrego pędzla na ścianach w saloniku i dwie piękne grupy brązowe na drewnianych słupach, ustawione w rogach. Jedna przedstawiała Amora i Psyche, druga — Śmierć Safony. To już była rzecz niepraktykowana w Afryce i zakrawała istotnie na magnacki wybryk.

— Że też panu chciało się tak cenne rzeczy tutaj sprowadzać! — zawołałem mimowoli, gdy napytanie o twórcę jednego z płócien, wymienił mi artystę europejskiej sławy. — Toż to tu wilgoć zje, a przynajmniej mocno uszkodzi.

Don Oskar uśmiechnął się tym razem, jak mi się wydało, trochę smutnie.

— Cóż pan chcesz?... — odpowiedział z wolna. — Nie przybyłem tu popasać; przybyłem żyć, może lat kilkanaście z małymi przerwami — może życie całe... Sprzętów jak pan widzisz zbytkownych niema. Są tylko

porządne i takie, które są nieodbycie potrzebne w domowym urządzeniu człowieka, który poczu

cie wygody i estetyki wyssał niemal z mlekiem. Przekonałeś się pan, że potrafię, gdy potrzeba, poprzestać tak dobrze jak na niczem; ale nie rozumiem, dlaczego miałbym sobie odmawiać drobnych umileń życia, które mają nawet swą wysoką praktyczną doniosłość. Czy sądzisz pan, że tych kilka dzieł sztuki nie będzie oddziaływało ożywczo na wzrok, znużony ciągłym widokiem kakaowych "błajów" lub główek tytoniu; na myśl, zmuszoną obracać się od rana do nocy w kieracie zysków i strat?... — Zapewne — rzekłem. — To są europejskie pojęcia. Ja odwykłem od nich i nie czuję już pewnych braków, na które pan musisz być bardzo wrażliwym.

— Zresztą — ciągnął dalej Don Oskar, nie zważając na tę przerwę — nie zapominaj pan, że ma tu zamieszkać moja żona i że moim zadaniem powinno być możliwe ułatwienie i ozdobienie jej egzystencji, której tysiące kobiet ulękłoby się na jej miejscu.

Spojrzałem na niego, gdy to mówił i wydał mi się tak pięknym, nie samymi rysami, lecz tą idealną, podbijającą męzkością, w której pierwiastek rycerski kojarzy się z jakimś tkliwym, niewieścim prawie wdziękiem, iż zrozumiałem łatwo odwagę pani Oskarowej i nie wzbudziła ona we mnie takiego uznania, jakiego jej mąż zdawał się po mnie oczekiwać. Młode kobiety bywają zazwyczaj ryzykowne, a cóż dopiero, gdy im wypadnie zajrzeć w oczy

lwom z takim towarzyszem, jakim był Don Oskar. Jeżeli co mnie w tem wszystkim dziwiło, to jego własna lekkomyślność — i skorzystałem z tego, że sam wspomniał o swojej żonie, — co mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło, — aby mu to wypowiedzieć.

— Daruj mi pan moją otwartość — rzekłem — ale pojąć nie mogę, jak człowiek tego co pan pokroju, zdecydował się wprowadzić w czyn zamiar tak... niebezpieczny — sprowadzenia tutaj rodziny swojej na stałe.

Pomijając już klimat niezdrowy, warunki codziennego życia są tutaj ze wszech miar nieodpowiednie dla delikatnej kobiety i dla dziecka.

Najmiększe dywany nie uchronią ich od dżygów (), sandflajów i mrówek, a najładniejsza pontaka nie uczyni afrykańskiej kuchni ani zdrową, ani smaczną. Wreszcie brak odpowiedniego kobiecego towarzystwa, brak kobiecej usługi...

Byłbym mówił dalej, lecz spojrzawszy na Don Oskara, urwałem raptem. Twarz jego zmieniła się gwałtownie, wydłużyła jakoś, zestarzała niemal w jednej chwili. Pod linią ściągniętych brwi oczy jego przybrały wyraz ponurej zawziętości; dolna warga przyciśnięta zębami zniknęła; żyły na skroniach nabiegły krwią... Nigdy jeszcze nie widziałem go takim.

Zrozumiałem że

się wybrał nie w porę, i byłem w prawdziwym kłopotcie, jak z tego wybrnąć, gdy na szczęście dla mnie wszedł murzynek, niosący w rękę tackę z piwem, cydrem i szklankami.

Był to mój dawny chłopak Tai, którego ledwo poznałem, tak szykownie wyglądał w czyściutkim czerwonym doth'ie dokoła bioder, w szklanych koralach na szyi i rękach i w ponsowej fezce na głowie.

Postawił on tackę na stoliku przed nami i, przyrzadziwszy nam zrećnie tę wyborną, orzeźwiającą mieszaninę, jaką jest "szandegaft", skrzyżował ręce na piersiach i stał oczekując dalszych rozkazów.

Ale Don Oskar odprawił go niecierpliwem skinieniem i, niepomny na obowiązki gościnnego gospodarza, siedział dalej milczący i wzburzony. Co do mnie, musiałem mieć bardzo niemądrą minę i z tą miną śledziłem powolne opadanie piany w szklankach, której syk w tej głębokiej ciszy, jaka zapanowała między nami, dziwnie kołąco wpadał mi w uszy.

Drobny ten szczegół zespolił się tak bardzo w pamięci mojej ze wspomnieniem zagadkowego zachowania się Don Oskara, że rzadko kiedy zdarza mi się pić piwo z cydrem, aby nie mignęła przedemną jego zachmurzona twarz i srogie niemal oczy.

Upłynęło w ten sposób kilka minut. Nakoniec młody szwed podniósł szybkim ruchem głowę, jak

by powziąwszy jakieś postanowienie i utkwiał we mnie wzrok łagodniejszy już, lecz bardziej jeszcze przez to o bolesnem targnięciu się duszy mówiący.

— Potrąciliśmy — rzekł — o przedmiot, którego, jak pan musiałeś zauważyć, unikałem dotychczas w rozmowie z tobą.. Mógłbym i nadal trzymać się tej metody, ale byłoby to bardzo niewdzięcznym, wywzajemnieniem się za tyle okazanej mi przyjaźni. Niejestem z natury wylanym; ale bywają ludzie, względem których skrytość ciąży mi i chętnie biorę z nią rozbrat, gdy się przekonam, że to uczynić mogę. Pan właśnie do tych ludzi należysz. Dlatego...

Teraz dopiero spostrzegł przygotowany napój i swoje roztargnienie; podsunął mi żywo szklanę, wołając:

— Ach, przepraszam!... Pan musisz być spragnionym !

Sam wycielił swoją szklanę duszkiem i mówił dalej:

— Jestem najstarszym synem bardzo możnej starszłacheckiej rodzin}'.

Wychowano mnie, jak na dziedzica wielkiego majątku i tytułu przystoi: to jest, napakowano mi w głowę mnóstwo wiadomości, a w rękę nie dano żadnego fachu; uważano mnie jako budynek, który już ma silne podstawy, a któremu tylko piękny fronton i ozdobne kapitele są potrzebne. Z takich budynków są gotowe ruiny, jeżeli owe fundamenty zawiodą, a nie zastąpią ich nad

zwyczajna energia lub jakiś wielki duchowy motor idei, czy uczucia...

Mnie fundamenty zawiodły i byłbym dziś niewątpliwie ruina, gdyby nie ów motor, gdyby nie miłość kobiety i dla kobiety!

Umilkł na chwilę, bardzo blady, odetchnął głęboko i zaczął znowu:

— Przed czterema laty ożeniłem się wbrew woli całej mojej rodziny.

Poznasz pan niezadługo moją żonę i to wystarczy, że wszelkie

uprzedzenia, jakie przeciw temu związkowi istnieć mogły, musiały

spoczywać nie w niej samej, lecz w tem, co od niej niezależnem było. Ona. jako ona. jej dusza, serce, ciało, to jest to, co na świecie najpiękniejszym, najczystschem, najdoskonalszem być może; i choćbym się panu śmiesznym miał wydać, powiem że nie znam królewskiej korony, która byłaby godna spocząć na jej uświęconej głowie!...

Wzruszenie zatamowało mu głos. Co do mnie, miłość była czynnikiem od tak dawna wymazanym z mego życia; od tak dawna obracałem się wśród ludzi, żyjących tylko instynktami i handlem, że to buchnięcie wielkiej, świeżej namiętności z piersi siedzącego naprzeciw mnie młodzieńca, wstrząsnęło mną do głębi. Przypomniałem sobie, czego w istocie dokonać może serce rwące się do drugiego serca, przypominałem sobie wiele innych rzeczy i — doprawdy, wstyd mi się przyznać — zrobiło mi się jakoś ciepło pod powiekami, a jednocześnie uczułem, że

nowe ogniwo sympatii wykuwa się między mną a Don Oskarem. On tymczasem mówił dalej z ogromną goryczą:

— Jakkolwiekby, ojcu memu, który jej wcale nie znał, a był człowiekiem nieugiętej woli i nadzwyczajnej dumy, moja ukochana nie wydała się godną nazwy jego synowej. Cała rodzina stanęła przeciwko mnie; matki, niestety, już nie miałem; ona jedna byłaby z pewnością wysłuchała prośby, jaką odpowiadałem na wszystkie zarzuty: „Poznajcie ją, a potem sądźcie”. Postawiono mi ultimatum: albo oni się mnie wyrzekną, albo ja jej. Wybrałem pierwsze. Właściwie wyrzekłem się tylko światowych korzyści, bo szczerego przywiązania nie było pomiędzy nami. Byłem dla ojca "najstarszym synem", ale nie byłem nigdy "dzieckiem" i czułem to. Z chwilą gdy miejsce moje zajął brat młodszy, przestałem dla

niego istnieć. Oddano mi część należną ze spadku po matce i postawiono przy mojem imieniu nie krzyżyk, jak przy umarłym, lecz kreskę, jak przy wyklętym...

Zaśmiał się boleśnie; oczy mu znowu pociemniały.

— Znalazłem się tedy o własnych siłach, z niewielkim kapitałem w ręku. Pobyt w Szwecyi stał się dla mnie niemożliwym. Rodzina moja była zbyt znaną, a stosunki jej zbyt rozległe, — odrażonemu jej członkowi groziło to całym szeregiem dotkliwych upokorzeń, których małą próbkę zdążono mi zadać,

a na których wspomnienie zaciskają mi się zęby i pięści!...

I rzeczywiście rysy jego przybrały znowu ten wyraz ponurej zawziętości, który niedawno wydał mi się taką niespodzianką na jego serdecznej twarzy.

— Tak więc — ponowił Don Oskar po pewnym przestanku, napełniwszy szklanki — musiałem opuścić kraj. Zamieszkaliśmy z żoną początkowo w Niemczech, potem w Belgii, naostatek w Anglii. We wszystkich tych krajach próbowałem wywalczyć sobie niezależność; wszędzie napróżno... Skorzystałem jednak na tem tyle, że mi przybył pewien zapas praktycznych wiadomości, które mi już tutaj niejedną usługę oddały.. Zresztą — nie chodziło mi o sam tylko kawałek chleba dla mnie i tych dwóch istot, które są całym światem mego serca... Na to, przypuszczam, stałoby mnie było i w Europie; ale ja miałem szersze plany. Postanowiłem sobie, opuszczając Szwecyę, że wrócę tam kiedyś, jeżeli nie ja, to moje dzieci, z tryumfem, aby zadać kłam tym wszystkim, co memu małżeństwu nieszczęście i nędzę wróżyli; ażeby ujrzeć te wszystkie drzwi, które się

przed pięknnością i anielstwem mej żony zamknęły, otwarte na oścież przed jej bogactwy, aby pokazać tym ludziom, że Oskar Aderskiel, przestawszy być, hrabią na Aderskielzie, nie przestał być człowiekiem, — a potem odwrócić się od nich z pogardą i pracować ile się da nad wyplenieniem

zachwaszczających mój piękny kraj przesądów i strupieszających, formalistycznych pojęć... Czy mi się to uda ? — któż na to dziś odpowiedzieć zdoła — ale w każdym razie mam większe po temu szanse, jako plantator kakao w FernandoPoo, niż jako urzędnik w jakimś europejskim biurze. Wszak wielkie fortuny Holta, Vivoura, Garulli tutaj powstały i powstały z niczego. Dlaczegoż ja miałbym być od nich mniej szczęśliwym, ja, który mam żelazną wolę w mózgu i miłość w sercu ?! Zapalił się, nozdrza mu grały, oczy świeciły wyzywającym ogniem. Wyprostował się, odrzucił w tył głowę i patrzył wprost przed siebie, jakby tam widział tę fortunę, którą postanowił zdobyć. — Co się zaś tyczy tego ryzyka, na jakie się ważę: sprowadzenia żony i dziecka — zaczął po chwili Don Oskar zmienionym już, jakby przygasłym głosem — to nie sądź pan, żem ja tej sprawy po tysiąc razy na wszystkie strony nie obrócił... Wszystkie "przeciw" jakie pan wymieniłeś, i te wszystkie, o jakich nie wspomniałeś, a jest ich legion, mam wbite w mózg, jak tyleż świdrujących gwoździ; a pomimo to wysłałem już list ostatni i za jakie cztery tygodnie spodziewam się przybycia pani Aderskiel "Ambrizem". Inaczej być nie może. Zresztą, ufam Bogu, że łaskę nad nami okaże. Żona moja, pomimo nader wątłego wyglądu, silną jest i zahartowaną na trudy; mała Hilda odziedziczyła

po nas zdrową krew i wyborne nerwy... Z takimi zadatkami coś przecież na szczęśliwą gwiazdę liczyć można.

Nie przerywałem mu. Czułem, że nie jest ze mną zupełnie szczerą; odgadywałem instynktownie, że pod tem wszystkim, co mi powiedział, tkwi jeszcze jakaś rana, której odsłonić nie chce, a którą mimowoli mogłem znów jakimś nieostrożnym słowem urazić.

Ale i milczenie moje musiało mu być przykrem, bo podrażnionym trochę tonem dorzucił:

— Nie jestem przecież pierwszym, który tę nadzwyczajność popełnia. Garulla zapewniał mnie uroczyście, że przed kilku laty jeden z gubernatorów przebywał tu z żoną i trojgiem małych dzieci i wszyscy zdrowo i cało do Europy wrócili.

— To prawda — rzekłem — trwało to wszakże tylko trzy lata i pani gubernatorowa przywiozła ze sobą bonę, nauczycielkę i dwie białe służące.

— Z moją żoną przybędzie także młoda dziewczyna, szwedka, niezmiernie do niej przywiązana, piastunka naszej Hildy — wtrącił Don Oskar.

— To bardzo dobrze — wymówiłem, aby coś powiedzieć: ale jednocześnie pomyślałem sobie, że kto wie, czy to nie bardzo źle i czy ta młoda dziewczyna, znalazłszy się w świecie tak zupełnie dla niej nowym, więcej im kłopotu niż pożytku nie przyniesie.

Młody mój przyjaciel wstał nagle, zaciśniętą dłoń silnie na stoliku położył, a drugą przed siebie, jakimś uroczystym ruchem wyciągnął.

— Alea jacta est! — wymówił podniesionym głosem — na dobre, czy na złe, na zbawienie, czy na zgubę! Jeżeli na to pierwsze, jeżeli nadzieje moje spełnieniem zakwitną, nie będzie to moją zasługą, lecz tego słodkiego anioła, który od lat czterech idzie przy moim boku taki ufny, że ostatni tchórz musiałby od tej ufności nabrać mężstwa, a taki wyrozumiały, że pogodą swą i pobłażaniem najtwardszy los przełamać potrafi. A jeżeli na to drugie — dodał ponuro — jeżeli nam tu zmarnieć przyjdzie, niech odpowiedzialność za to spadnie nie na moje zuchwalstwo i lekkomyślność, lecz na zakamieniałe serca i ciasne umysły tych, co nas zmusili szukać niezatrutego ich jadem szczęścia, gdzieś na dzikiej afrykańskiej wyspie, kędy przesąd nie sięga, a człowiek jest sobą. a nie tem, czem go ślepa opinia zrobiła.

Zwrócił się nagle ku mnie i podał mi obie ręce.

— Jesteś pan pierwszym człowiekiem. Dom Luizie — rzekł wzruszony — który coś na kształt skargi z ust moich usłyszał. Więc się nie dziw, że tyle piołunu jest w słowach moich. Nazbierało się go przez te lata milczenia... A teraz dosyć o tem. Wiesz pan wszystko, co ci wiedzieć należało, abyś mnie fałszywie nie rozumiał, lecz nie przypominaj

mi tego nigdy. Mam nadzieję, że tę życzliwość, jakąś mnie od początku obdarzył, przelejesz i na moją rodzinę, że widywać cię tu będziemy często i że nam będzie razem dobrze. Moj Boże ! — zawołał nagle, a właściwy mu, promienny wyraz, rozświetlił znów jego rysy — mieć cudowną żonę, rozkoszne dziecko, zacnego przyjaciela, spokojny dach nad głową i pracę, wypełniającą życie, — jakież to wielkie szczęście! Ot, dziwnie mi w tej chwili lekko na duszy; zapewne dlatego, żem się wygadał.

Uścisnąłem go serdecznie i poweselałem także, bo i mnie, staremu samotnikowi, uśmiechnął się ten obrazek cichego, domowego raj, w którym obiecywano mi także kącik.

Ale przeznaczonem mi snadź było raz jeszcze dnia tego w roli Kassandry wystąpić. Don Oskar zatrzymał mnie na obiad i właśnie siadaliśmy do stołu, gdy z głębi dziedzińca doleciał nas stłumiony, chóralny śpiew, w którym słowa: Allah el Allah. ! powracały wyraźnie w monotonnem recitative.

— To moi Lagoszczycy odprawiają swoje wieczorne modlitwy — objaśnił Don Oskar w odpowiedzi na moje zdziwione spojrzenie. — Zapomniałem panu powiedzieć, że przed miesiącem przyjąłem nową partyę ludzi na bardzo dogodnych warunkach.

— Wzięłeś pan ludzi z Lagos!... — zawołałem.

— Tak... Kapitan "Bengaeli" wiozł dużą ich partyę na południe; część zgodziła się zostać u mnie.

Zrobiliśmy formalny kontrakt w rządowym domu. Zażądali wprowadzić pensyi nie w towarach lecz w angielskiem złocie; ale za to mam ich zakontraktowanych na cztery lata, co mi oszczędza corocznie pasażu krumanów tam i z powrotem i daje mi robotnika, którego mogę przyuczyć na swój sposób, nie mając tej milej perspektywy, że gdy go wreszcie wdrozę w tryb moich wymagań i pracy, czas jego się skończy i będę zmuszony z nowym przybyszem rozpoczynać ab ovo. To istna zasłona Penelopy, plantacya obsługiwana przez krumanów! Przytem Lagosczycy są inteligentniejsi od nich, a jako wyznawcy Mahometa, bardzo czyści i trzeźwi.

— Ależ to niebezpieczne plemię! — wykrzyknąłem — chytre, mściwe, a przytem sławni truciciele! Każdy Lagosczyk, to Cezar Borgia bez jego kultury. Miałem raz w życiu z nimi do czynienia i zarzekłem się tego na wieki. Pomijając piękny ich obyczaj palenia na odchodnym domu, w którym mieszkali, by zniszczyć ślady różnych tajemniczych praktyk, jakim się oddają, europejczyk może być przygotowanym na wrodzoną niechęć murzyna do białego, podniesioną u nich do kwadratu przez nienawiść wyznawcy Koranu dla giaura. Niepodobna mi powinszować ci tego nabytku, kochany Don Oskarze!...

Don Oskar zaśmiał się na cały głos.

— Ejże, Dom Luizie, coś dziś wszystko w zbyt

czarnych widzisz kolorach. Mścić się nie będą mieli nigdy powodu, bo ich nie skrzywdzę. — dotychczas zaś jestem z nich bardzo zadowolony.

Pracują ochotnie i tylko niekiedy kłócą się z tymi kilkoma krumanami, którzy jeszcze są u mnie. To zdumiewająca rzecz ta pogarda, jaką oni innym murzynom okazują. Me mają ich poprostu za ludzi.

— Zapłata w złocie angielskim. to także dosyć uciążliwy warunek — zauważyłem. — Przy najlepszym rządzeniu się, nie zawsze można być pewnym gotówki, a o funty na wyspie trudniej, niż o cokolwiek. Z Lagosczykiem zaś nie tak łatwa sprawa, jak z krumanem... Zapisuje on w pamięci każdy punkt kontraktu na swoją korzyść i trzyma się go ściśle, jak przepisów Koranu, a za najlżejszym uchybieniem, zaraz idzie do rządu na skargę. Znam ja ich!

— O! co się tyczy gotówki, to dalekie jeszcze rzeczy! — odparł Don Oskar. — Zastrzegłem sobie wypłatę w pieniądzu dopiero przy ostatecznym rozrachunku; a coby przedtem z zasług wybrać chcieli, to mają prawo żądać tylko w towarach, na książkę.

— Bardzo rozumne zastrzeżenie. I przystali na to?...

— Tak... Po długiej między sobą naradzie. Ledwo dokończył tych słów, w otwartych na werandę drzwiach ukazał się rosły murzyn, o ponu

rej, długiej twarzy. Czoło miał pofałdowane, skronie mocno zakłęsłe, znaczna odległość górnej wargi od nosa nadawała tym typowo lagoskim rysom wyraz srogi, prawie zwierzęcy. Ubrany był w długą, białą płachtę, zarzuconą na ramię w rodzaju togi; na szyi miał kilka drewnianych amuletów, a prawą rękę okręconą różańcem. Był to, jak się domyśliłem, headman (naczelnik partii). Skłonił się dosyć hardo, nie zdejmując wciśniętej na czoło fezki.

— Massa — przemówił, nie pytany wcale, płynną, żargonową angielszczyzną, świadczącą, że nie była to jego pierwsza służba u białego — kucharz krabogów zabrał nasz kocieł, kiedyśmy byli w polu i warzył w nim bongi(). Nie mamy teraz w czym gotować. Moi ludzie nie chcą już jeść z tego kotła.

Mimowoli rzuciłem na Don Oskara spojrzenie, zdające się mówić: — "A co! już się zaczyna!"

Był w tem spojrzeniu odcień tryumfu: słabostka proroka, który, bolejąc nad przepowiedzianem przez siebie nieszczęściem, doznaje przecież pewnej satysfakcyi, że się ziściło.

Mój przyjaciel nie odpowiedział nic zrazu. Siedział nieporuszony, wpatrując się bystro w murzyna, który pod tym wzrokiem zaczął się mięszać,

przestępować z nogi na nogę i machinalnie ręką ku głowie sięgać.

— Adamassi! — ozwał się wreszcie Don Oskar bardzo spokojnym, ale jednocześnie bardzo surowym głosem — skoro ty, mój sługa, przemawiasz do mnie, nie zdjawszy czapki, to ile razy, jak myślisz, ja, twój pan, powinienem nakryć głowę, aby ci módz odpowiedzieć?...

Zanim skończył, już Lagosczyk swój fez w rękę miętosił.

— Beg you pardon, massa ! — zamruczał, straciwszy zupełnie pierwotną butę.

— A teraz, Adamassi! — ciągnął dalej Don Oskar coraz surowiej — czy podczas waszego jedzenia wołałem cię kiedy, abyś słuchał moich rozkazów lub napomnień ? Jakże więc ty — (tu głos jego stał się wprost groźnym) — śmiesz przychodzić tutaj, kiedy ja z moim przyjacielem siedzę przy stole i zaprzętać mnie swojemi paluwrami?

— Ludzie moi głodni, massa... Pracowaliśmy dziś nadto wiele... jeść nam się chce bardzo!..

— Dałem wam prowizję i naczynia — odparł ich pan — reszta do was należy. Trzeba było lepiej pilnować kotła, a skoro już z niego jeść nie chcecie, kupi się wam jutro inny za wasze pieniądze.

Rękę ku drzwiom wyciągnął.

— Widzisz te drzwi?

— Tak. massa.

— A więc, zapamiętaj sobie: gdyby coś podobnego raz jeszcze się powtórzyło, będziesz przez te drzwi wyrzucony. A teraz... precz!

— All right, massa — odpowiedział pokornie Adamasi.

Z pod sfałdowanego jeszcze bardziej czoła oczy jego błysnęły nienawistnie ku nam obu; ale uszanowanie, z jakim się skłonił odchodząc, nie było udanem. Ten głos, w którym była moc, ale w którym nie było krzyku, te słowa wyniosłe a nie obelżywe, zmiażdżyły go — i nawet jego tępy, murzyński mózg musiał zrozumieć, że jednak pomiędzy nim a tym białym była wielka, wielka różnica, której on nigdy ogarnąć nie zdoła.

Po jego wyjściu milczeliśmy chwilę. Pierwszy Don Oskar, nie potrzebując się już hamować, wybuchnął:

— Zuchwalec! Słyszałeś pan! On poważył się mówić do mnie w czapce na głowie i takim tonem!

Cała jego arystokratyczna natura ujawniła się w tym wykrzykniku. Zbladł bardzo i ręka, którą nalał sobie szklankę czerwonego wina z wodą, trzęsła mu się, jak gdyby w febrze.

— Zuchwalec! — powtórzył. — Alem go ujarzmił. Jak sądzisz, Dom Luizie?

— Sądzę, że masz pan talent pogromcy dzikich zwierząt — odrzekłem, coraz bardziej nim zachwycony. — Ale pamiętaj, drogi przyjacielu, że w każ

dej menażeryi są tygrysy i węże, i te ostatnie są najniebezpieczniejsze, bo tygrys rzuca się jawnie i z rykiem, a wąż może podpełznąć i ukąsić milczkiem...

— Lichy to pogromca, który dowierza i niema każdej chwili ręki gotowej do pchnięcia, a stopy gotowej do zdeptania! — zauważył Don Oskar i, odzyskując z właściwą sobie rzutkością zwykłą pogodę, skierował rozmowę na inny przedmiot.

IV.

"Ambrez", którego wyglądaliśmy obaj, Don Oskar z gorączkowym utęsknieniem, a ja z dawno nieznaną ciekawością, opóźniał się z przybyciem.

Trzy inne parowce zaalarmowały nas niepotrzebnie, sprowadzając z Karinafield zadyszanego właściciela, a mnie każąc wydobywać ze skrzyni nową derę na łódź i świeże "singlety" dla wioślarzy; Don Oskar bowiem nie miał jeszcze własnego gigu, umówionem więc było, że moja szalupa przewiezie jego drogie podróżniczki na ląd.

Nieznosna pora regularnych deszczów kończyła się i wchodziliśmy już w pierwszą epokę tornadów, kiedy wreszcie wczesnym rankiem strzał w porcie obwieścił, że oczekiwany tak długo maruder zarzuca na koniec kotwicę.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, Don Oskar, zaskoczony poprzedniego wieczora w mieście szaloną burzą, noc tę u mnie przepędził, mogliśmy więc bez straty czasu popłynąć na okręt.

Morze po wczorajszej tornadzie, było jeszcze silnie wzburzone; a tu, jakby z umysłu, kapitan " Ambriza", stary Wilkins, znany ze swych dziwactw na całym brzegu, nie wpłynął do portu, lecz stanął po za "boyami"), czyniąc dostęp do swego trójmasztowca możliwie najdalszym, a także najtrudniejszym.

Płynęliśmy mozolnie pod wiatr, szarpani przez rozigrane fale; nagle Don Oskar, który siedział jak na rozżarzonych węglach i był już cały wzrokiem na parowcu, wybuchnął, chwytając mnie za rękę:

— Ulla! widzę ją! O, mój Boże!... I wystroiła się w nasz narodowy wiejski ubiór! Cóż to za przepyszna dziewczyna!... Patrz pan! Czy to nie dzielna szwedka!

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Podpływaliśmy już tak blisko, że można było rozróżnić dokładnie snujące się na pokładzie postacie. Tuż przy spuszczonej już schodkach, wsparta o burt, stała wysoka, jasnowłosa, o bujnych kształtach dziewczyna. Wiatr rozwiewał dokoła jej głowy mnóstwo różnokolorowych wstążek, przyczepionych do rodzaju wysokiej opaski, czy korony pstrych kwiatów i kokard, umieszczonej nad czołem. Biała maszczona koszula z szerokimi rękawami, kryła się

pod czarnym aksamitnym gorsetem, który przyciskał sute fałdy granatowej wełnianej spódnicy, stroszące się na jej wydatnych biodrach. Na posepnym tle bezsłonecznego nieba i szarych, zmaconych fal, wśród jednostajnie białych lub też barwnych tonów parowca, dziewczyna ta rzucała się w oczy swą jaskrawą, jędrną młodością, prawdziwą młodością ludu; zdawała się nieść ze sobą w tę apatyczną atmosferę wiecznego upału rzeźwe tchnienie wsi, zapach świeżo skoszonej łąki i złocisty blask dojrzewającego żyta.

Obok niej, jak istne przeciwieństwo, stał jeden z "stewardów" (służących okrętowych), ciemny, nikły, wymiękły, z ciastowatą, wygoloną, twarzą, w zniszczonej liberyjnej kurtce o metalowych guzach, okrywającej jego wątłe ramiona. Oboje zdawali się być zajęci żywą rozmową. Steward coś objaśniał i pokazywał, wyciągając rękę w kierunku wyspy; ale pokazywał na pamięć, bo ciemne jego oczy, zamglone, ale sympatyczne, nie schodziły ani na chwilę z twarzy dziewczyny, która wciąż o coś pytając, przeskakiwała zaciekawionem wzrokiem z przedmiotu na przedmiot, bokiem do swego towarzysza obrócona.

Nagle spostrzegła naszą łódź; klasnęła w ręce. w szerokim uśmiechu pokazała dwa rzędy zdrowych, lśniących zębów i, wołając coś, czegośmy dosłyszeć nie mogli, wychylając się na burt tak mocno, że

byłaby straciła równowagę, gdyby baczny na każ
Obserwowałem to wszystko swobodnie, bo Don Oskar, odkąd mi swoją
Ullę pokazał, zapomniał zupełnie o mojej obecności i drżący jak liść, z
zapatym oddechem, przesyłał jej ręką pozdrowienia, lub wołał na
wioślarzy:

— Prędzej, chłopcy, prędzej!... Po butelce rumu na każdego, tylko
prędzej!

Ale to nie było łatwym. Dokoła okrętu roło się już od łodzi, które
wskutek gwałtownego falowania bordowały z wielką trudnością.
Zgiełk był piekielny: wiosłujący krumani wrzeszczeli i kłócili się między
sobą; biali klęli i nawoływali.

Po kilku gimnastycznych próbach, udało nam się wreszcie dostać na
schodki. Dziewczyna stała już na platformie i rzuciła się całować rękę
swego pana, który ją za głowę uściskał, podczas gdy Veto głośnym
szczekaniem witał przywiązaną sługę.

Don Oskar zamienił z nią kilka słów po szwedzku i, jak strzała ku kajutom
popędził.

Domyśliłem się że żona tam na niego czekała, że nie chcieli się witać przy
świadkach i, naturalnie, umyślnie zostałem na pokładzie.

Dziewczyna oparła się znowu o burt, a młody jej towarzysz zaraz się przy niej znalazł.

Przechodzący tamtędy, otyły jak beczka, "chiefsteward" (okrętowy kredencierz). zauważył go.

— Co tu robisz, Jerry ? Już czas nakrywać do śniadania. Czyś zwaryował!

— Idę zaraz, master Jones — odpowiedział Jerry.

Ale się nie ruszał. Jaskrawe wstążki tej wiejskiej piękności fruwały nad jego ciemną, krótko ostrzyżoną głową, jakby plastycznie upostaciowana tęczowej sieci chmura, w której biedak zdawał się być omotanym po same uszy.

Nieznacznie przysunąłem się do nich. Ta okrętowa sielanka, rzecz tak niezwykła na prozaicznym afrykańskim brzegu, zaciekawiała mnie.

— So we are to say goodby, after all, miss Ulla — (Tak więc trzeba nam się będzie pożegnać, panno Ullo)— przemówił młody steward z westchnieniem. — Za sześć tygodni będziemy tędy wracać z południa. Jeżeli kapitan zatrzyma się dłużej, to żeby tam niewiem co, muszę odwiedzić pannę na fermie. Czy dobrze?

— Bardzo dobrze, master Jerry — odpowiedziała dziewczyna i dodała zaraz łamaną angielszczyzną i okropnym akcentem:

— Jakie to góry widać?

— To... tutejsze — objaśnił Jerry wyczerpująco, nadaremnie próbując zajrzeć jej w oczy.

— To ślicznie! Będę sobie chodziła po górach w święta. Bo, trzeba ci wiedzieć, master Jerry — dodała z dumą, rzuciwszy na niego przelotne spojrzenie od którego blady chłopak znów sponsowiał — że ja jestem

górką z urodzenia. Tylko nasze góry o wiele piękniejsze i wyższe, i śniegu na nich pełno. A tu mgły same!

Obtarła czoło chusteczką.

— Straszne tu gorąco ! — dorzuciła, — Pocę się ciągle...

— I u nas w Szkocyi, także są piękne góry i jeziora— zauważył Jerry — a wrzosa jak pachną... Ja mam nadzieję, miss Ulla — ciągnął dalej, zlekka swój łokieć do jej łokcia przysuwając — że za lat parę zostanę "chiefstewardem", a wtedy będę miał piękne utrzymanie; aż zanadto, jak dla mnie samego...

— To nieznośna rzecz, tak ciągle pływać po morzu! — zawołała Ulla rezolutnie. — Jak pan możesz wytrzymać, master Jerry ?

— Dotąd jakoś mogłem — odparł Jerry potulnie — ale teraz, to wiem, że mi ciężko będzie... Zresztą, nie ślubowałem morzu, i gdybyś tak wołała, miss Ulla, żebym sobie znalazł jakie zajęcie na lądzie?...

Nie dosłuchałem dalszych projektów rozkocha

nego Jeny. Inny widok pochłonął całkowicie moją uwagę. We drzwiach kajutowego pawilonu ukazał się Don Oskar, z małą dziewczynką na ręku, a za nim wysunęła się smukła, gibka postać kobieca, w białej skromnej sukni i w białym muślinowym kapeluszu w rodzaju budki, na nadzwyczaj jasnych,

O jakimś osobliwym, srebrnawym połysku włosów.

Aczkolwiek z tego, com widział na fotografii

i z entuzjastycznych słów Don Oskara, byłem przygotowany na zobaczenie bardzo pięknej osoby, rzeczywistość do tego stopnia przeszła moje oczekiwania i była tak olśniewającą, tak zjawiskową, zwłaszcza dla

człowieka, który od tylu lat tak młodej białej kobiety nie widział, ztem poprostu osłupiał.

Ową, dziewiczość, ów idealny wdzięk Madonny, który mnie już na fotografii uderzył, potęgowała w naturze liliowoprzejrzysta cera, którą nawet wiatr morski uszanował, i niewypowiedziana harmonia i powiewność ruchów.

Dziecko było także białe ubrane i miało taką samą muślinową budkę, z pod której wychylała się jego drobna twarzyczka cherubinka i obfitość srebrzystopłowych loczków. Jedną, rączką, obejmując ojca za szyję, drugą miało spuszczoną ku asystującemu mu auńczykowi, który wyprawiał nadzwyczajne skoki, chwycił delikatnie w paszczę rozpieszczone paluszki dziewczynki i puszczał je na

tychmiast, aby polizać jej nóżki; skomlał, szczekał i w ogóle nie posiadał się z radości.

Dziewczynka trzęsła loczkami i śmiała się do swego ulubieńca, wychylając się ku niemu z objęć ojcowskich.

Cała ta grupa, jak żywy obraz szczęścia, miłości, poezji, wszystkiego co na tym świecie najpiękniejsze jest i najwięcej warte — zbliżała się ku mnie; a ja stałem i patrzyłem, jak oczarowany, i widzę ją dotąd... i serce mi pęka... bo to było ostatnie przywiązanie mego życia i ostatnie jego powaby, z których wraz z nią los sobie okrutną igraszkę uczynił...

Don Oskar żywo wziął mnie za rękę.

— Oto moja żona, Dom Luizie!... — rzekł, a głos jego był tak wezbrany szczęściem, że dźwięczał jak najczystszy metal. — Karino, to mój przyjaciel, o którym ci tyle pisałem...

Młoda kobieta podała mi swoją małą rączkę z prześlicznym łagodnym uśmiechem.

— Jestem bardzo szczęśliwa, że poznaję pana! — rzekła, wymawiając każdy wyraz z osobna i powoli, co jej angielszczyźnie, dosyć poprawnej, choć z cudzoziemską brzmiającej, nadawało wdzięk odrębny. — Mam już tyle dla pana wdzięczności za okazaną Gabryelowi życzliwość...

Zarumieniła się i dodała z jakąś naiwną, a cza

rującą prostotą, która mnie zachwyciła bardziej jeszcze, niż jej piękność:

— Będę się starała, żeby pan polubił i mnie i naszą córeczkę.

— Prawda! Nasza córka!... Zapomniałem o naszej córce! — zawołał wesoło Don Oskar. — Hildo! podaj rączkę temu panu. Możesz pan co do niej powiedzieć... To bobo już szczebioce po angielsku.

Odzwyczajony zupełnie od obcowania z dziećmi, czułem, że bardzo niezgrabnie zabierani się do tej znajomości, że mała patrzyła na mnie z nieufnością swemi wielkimi, ciemnymi oczyma, cofając rączkę, którą chciałem pocałować. Wreszcie bardzo poważnym głosem, po głębokim namyśle, zapytała ?

— Czy ty także jesteś czarny człowiek?

— O, Hildo, — napomniała ją matka, mocno zmieszana.

Don Oskar parsknął śmiechem.

— Przepyszny berbeć!... Powiedziano jej, że jedzie do kraju, gdzie są czarni ludzie a ponieważ pan przybywasz z brzegu...

— I zapewne przez tyle lat pobytu wśród murzynów, stałem się do nich podobnym — dokończyłem, śmiejąc się także. — No, no... nic nie

szkodzi! Biały czy czarny, najważniejsza rzecz, czy Hilda będzie mnie kochała?... Będiesz, malutka?
Dziewczynka znowu się zaczęła namyślać.

— A ty kochasz mamę i tatusia?

— Kocham.

— I Ullę i Vera?

— Wszystkich.

— To i ja cię także kochać będę.

I na dowód objęła mnie swymi okrągłutkimi rączkami, przykładając swoje aksamitne liczko do mojej, tyłu wiatrami osmaganej twarzy. Coś dziwnego zrobiło mi się na sercu, gdy ta śliczna istotka, niby z białoróżowej pianki wydmuchana, tuliła się do mnie.

Była to pierwsza niewinna pieśszczota, jaką zaznałem od nie wiem wielu, wielu lat...

W tej chwili kapitan Wilkins przyłączył się do nas, zapraszając na śniadanie.

Don Oskarowi pilno było na brzeg, pilno do upragnionej samotności we troje na Karinafield: ale nie śmiał odmówić ze względu na ojcowską prawdziwie troskliwość, jaką stary wilk morski okazywał jego żonie w czasie podróży. Ona mu już to zdążyła powiedzieć, a można to było samemu odgadnąć, widząc, jak szorstki, gburowaty Wilkins przeobrażał się cały, łagodniał i promieniał, gdy do niej lub o niej mówił. Nawet jego ogromne, rudosiwe wąsy, do dwu mioteł podobne, zdawały się nabierać miękkości i mniej sterczały pod paluszkami małej Hildy, która się do gładzenia ich zabrała.

Don Oskar oddał dziecko Ulli, ta zawołała na

psa i wszystko troje poszli na dunetę, my zaś udaliśmy się do salonu. Oprócz nas, zasiadło do stołu jeszcze kilku pasażerów: jakichś dwóch belgijczyków, jadących na Kongo, jakiś angił, agent handlowy, powtarzający każdemu, że płynie do San Paul de Loanda; jakaś misyonarka z krótko ostrzyżoną głową, oraz para europejczyków z wyspy, a pomiędzy nimi plenipotent Garulli, Don Mariano, który na każdym parowcu musiał się znaleźć, choć prawie na żadnym nic do roboty nie miał. Ten literalnie pożerał oczyma piękną żonę mego przyjaciela, a ten zachwył do tego stopnia spotęgował zwykłą jego ruchliwość, że ze swemi ciągłemi kontorsyami sprawiał wrażenie węgorza, ubranego w przybrudzony, jukowy kitel. Wkręcił się na mego sąsiada z drugiej strony i przez ciąg całego śniadania nie dawał mi spokoju.

— Cóż to za wspaniała niewiasta! — wykrzykiwał prawie na głos, korzystając z tego, że nikt z naszego otoczenia po hiszpańsku nie rozumiał. — Dom Luiz, homba! co za włosy! W Hiszpanii fortunęby zrobiła tymi włosami... Ach dios! my południowcy to w piekło za takimi "włosami!... Pamiętasz pan Don Claudia Martinez de la Rocha (), co był przez pół roku vicegubernatorem w Globey!... Musisz pan pamiętać... On tu z powrotem trzy tygodnie

na wyspie siedział.. Ten, co takie świetne balela, (zabawy tancerne) wyprawiał... Otóż on chciał sobie życie odbierać dla jakiejś cyrkówki w Paryżu, a rozkochał się głównie w jej włosach... Sam mi to mówił... Miał tych włosów ot takie pasemeczko, cieniutkie jak słonika ale długie na półtora metra... Słowo honoru; pokazywał mi... Kropla w krople jak u tej pani... Podobno pięć tysięcy franków zapłacił za tę pamiątkę. Czy on waryat ?

Roztargniony piąte przez dziesiąte słuchałem tej paplaniny, a on terkotał wciąż, wyciągając szyję i zerkając mi przez ramię na moją piękną sąsiadkę.

— To był nawet powód, że rodzina postarała się; aby go na Globey wysłano... Awanturował się strasznie... Carumba! byłby się może nawet tam ożenił. Bo wyobraź pan sobie, cyrkówka!... ha! ha! ha! konać ze śmiechu!... podobno ani dostępu do niej!... Te włosy to była jedyna pamiątka, i to wykradziona!... Cała romantyczna historia... Podobno tam był ojciec czy matka mniej skrupulatna i ona to...

Nie dosłuchałem, bo w tej chwili kapitan Wilkins wniósł zdrowie swojej pasażerki nazywając ją Ambriz's spoilt child, pieszczonem dzieckiem "Ambriza" i życząc jej wszelakich szczęśliwości na wyspie.

Całe towarzystwo rzuciło się trącić z nią kie

liskami i wtedy to mogłem zauważyć dziwny urok, jaki ta młoda kobieta wywierała na każdym, co się do niej zbliżył. — Nawet agent handlowy, to ucieleśnienie cyfry, zapewniał ją, że będzie o niej często myślał na San Paul de Loanda.

A przecież nie było w niej cienia zalotności, ani nawet tej towarzyskiej swobody, jaką się odznaczają światowe, do hołdów nawykłe kobiety. Przeciwnie; zdawało się, że gdyby to od niej było zależnem, unikałaby raczej ludzi; takie jakieś trwożne niemal, niepewne, a zarazem badawcze spojrzenie podnosiła na każdą nową twarz. Rumieniła się przytem bardzo często; ale był to rumieniec tak delikatny, że przesuwiał się po jej alabastrowej cerze, jak odbicie jakiejś padającej na nią, z zewnątrz różowości.

Don Oskar na podziękowanie kazał przynieść parę butelek szampana; wielka wesołość zapanowała przy stole.

— Mr. Aderskiel, sir — wołał rozochocony kapitan — niech utonę, jeżeli mnie u siebie nie będziecie musieli ugościć... Za sześć tygodni wracam tędy, pakuję "Ambriza" na całe dwadzieścia cztery godziny na kotwicę i marsz do was na fermę! Stary Wilkins w ceregiele się nie bawi, a jak hula, to hula! choćbym jednego worka carga nie miał dostać tutaj, zostaję całą dobę. Przyjaźń więcej znaczy niż cargo !

Don Oskar chciał coś serdecznego odpowiedzieć; pani Karina ze swym prześlicznym melancholijnym uśmiechem wyciągała rączkę do kapitana, gdy w tem zrobił się wielki zamęt. Steward Jerry, obnoszący właśnie irlandzką potrawkę tak raptownie przechylił salaterkę, że cała jej

zawartość znalazła się na białym garniturze belgijczyka, a parę kartofli wpadło mu do kieliszka, obryzując sosem i winem sąsiadów.

Belgijczyk zaklął; inni, mniej poszkodowani, krzyknęli, — kapitan rzucił piorunujące spojrzenie na winowajcę, "chiefsteward" łając, przyskoczył do niego i jasnym było, że tylko szacunek dla obecnych wstrzymuje go od wyboksowania mu uszu.

Biedny Jerry struchlał i stał z pustą salaterką, jak człowiek, co się pragnie zapaść pod ziemię, ale jednocześnie wewnętrzne rozradowanie walczyło w nim o lepsze z przestraczem, i wytwarzała się z tego tak komiczna mieszanina uczuć na jego sympatycznej, mizerakowatej twarzy, że mimowoli uśmiechnąć się musiałem.

Dla mnie przyczyna jego niezgrabność!, której "chiefsteward". jak zapewniał, zgoła pojąć niemógł i przypisywał tylko jego ogólnemu "zbydłeceniu" od pewnego czasu, była zupełnie zrozumiała i zacząłem wątpić, czy wobec tak serdecznego uczucia tego chłopaka, państwo Oskarowie nie będą pozbawieni wkrótce usług swej wiernej Ulli. Chociaż

co do niej, byłem prawie pewnym, że brała te rzeczy o wiele spokojniej, i że obietnica kapitana nie byłaby ją przyprawiła o wylanie nietylko całej salaterki, ale bodaj jednej kropli z napełnionego po brzegi naczynia.

Drobny ten wypadek popsuł humor staremu Wilkinsowi, którego najwyższą ambycją było, żeby na jego, "Ambrizie" wszystko szło jak z płatką, i wskutek tego prędzej też wstaliśmy od stołu.

Widząc, że nieszczęsny Jerry kuli się w kącie i nie śmie podnieść oczu na przedmiot swych uwielbień, który właśnie z Hildą na rękę wszedł do

salonu i z ust rozgoryczonego "chiefstewada" dowiedział się o katastrofie, zbliżyłem się do biedaka. Znałem go już dawniej i dosyć lubiłem.

— No, Jerry, mój chłopcze — rzekłem z uśmiechem — radzę ci trzymać się ostro i nie oblewać pasażerów potrawkami, bo w obec tego szanse twoje zostania "chiefstewardem" i wszystkim, co za tem idzie, dyabelnie się zmniejszyć mogą.

Zarumienił się biedny Jerry gwałtownie i spojszał na mnie zmieszany, ale z pewną wdzięcznością, jakby odgadując we mnie sprzymierzeńca swej tajemnicy.

— O, sir! — wyjąknął — jesteś pan bardzo dobrym, że mi to mówisz... będę się starał, upewniam pana!

Wtem, jakby olśniony nagłą myślą, wyprostował się i złożył ręce.

— O, master Luiz! — zawołał błagalnie. — Ja umiem czytać, pisać i dobrze rachować. Gdybyś pan potrzebował młodego klarka w swojej faktoryi, służyłbym panu wiernie, jak żaden. Może jak będziemy wracać tędy?...

— Dobrze, dobrze, pogadamy o tem.

— Bless your heart, sir! Jabym tylko wrócił "Ambrizem" do Anglii i zaraz następnym parowcem mógłbym przyjechać.

Zapewniłem go, że pomyślę nad tem i nie słuchając już jego podziękowań i błogosławieństw, poszedłem wyprawiać na ląd moich przyjaciół.

Serfboot (duża szalupa) Don Oskara czekała na rzeczy, złożone z kilku kufków, które już zładowywano windą. Don Oskar chciał, żeby Ulla dla dopilnowania ich. popłynęła z niemi, a mała Hilda miała pod naszą opieką jechać gigiem. Ale dziewczyna, uszłyszawszy, że ma się znaleźć w łodzi

sama z pięciu murzynami, tak się przestraszyła, że trzeba było zaniechać tego projektu. Ta trwożliwość, w zestawieniu z jej doskonałym rozwinięciem fizycznym, zdziwiła mnie tembardziej, iż pani Karina przed chwilą właśnie opowiadała mi nadzwyczajne rzeczy o odwadze i przytomności umysłu Ulli. Podobno już na wyjeździe, w Londynie, dziewczyna ta uderzeniem pięści powaliła pickpocket`a. (kieszonkowego

złodzieja), który na odosobnionej ulicy dobrał się do portmonetki jej pani i oddał go w ręce policyi.

Wszystko to być mogło, ale nie zmieniło postaci rzeczy, że tu, w biały dzień, bała się potulnych krumanów, którzy wytrzeszczali na nią, oczy, głęboko przekonani, dzięki owym wstążkom, kwiatom, kokardom i innym jaskrawościom, że to jest żywe dżdżu (świętość, bożyszcze) białych i gotowi odpowiednio względem niej się zachowywać. A ona nie domyślając się tego, cofała się wylękniona, z dużymi kroplami potu na poblasku czoła, i robiła równie pocieszne wrażenie, jak Jerry ze swą wylaną salaterką.

Tymczasem morze rozkołysało się jeszcze bardziej. Łodzie skakały u burtu, jak piłki, podrzucane rękami niewidzialnych figlarzy. Ludzie moi z gikiem podpłynęli tuż pod same schodki; my jednak staliśmy z dziesięć minut na platformie, oczekując napróżno sposobnej do wsiadania chwili. Chciałem wsiąść pierwszy, aby móżdżek podać rękę pani Karinie, którą sam kapitan Wilkins sprowadził ze schodków, — ale ilekroć krawędź gigu znalazła się na równej linii z platformą., a ja gotowałem się z tego

skorzystać, uderzał bałwan i w mgnieniu oka gig znajdował się o parę metrów nademną lub przedemną.

— Me pamiętam nic podobnego! — zawołałem zniecierpliwiony. — To zupełna burza w czasie po

gody! Jakże my panią wsadzimy?... Oto są skutki, kapitanie, twoich marynarskich wybryków. Gdybyś był wpłynął jak się należy do portu, byłoby tam o wiele spokojniej.

Stary Wilkins uśmiechnął się skrytem zadowoleniem. Lubił on bardzo popsuć czasem trochę krew "ziemnym szczurom", jak zwykł był wszystkich łowców pogardliwie nazywać.

— Nie moja wina, Dom Luizie — odpowiedział — że panu trochę kości od ciągłego siedzenia zdrętwiały. Każdy z moich majtków jużby ze dwadzieścia razy był tam i z powrotem. Ustąpno się pan, może mi się jakoś lepiej uda...

Udało mu się lepiej o tyle, że dwóch moich wioślarzy chwyciło go jeden za kolano, drugi za ramię w samą porę, gdy źle obliczywszy, miał już się skąpać w wodzie. Trójca ta szamotała się przez chwilę w łodzi we wspólnych usiłowaniach odzyskania równowagi, tak zabawnie, że uśmiechnęliśmy się wszyscy; mała Hilda przestraszyła się i zaczęła krzyczeć. Vero zaczął szczekać, a Ulla, zamieniając ostatnie pożegnalne spojrzenie ze wzdychającym na górze Jerryem aż sobie dłonią zasłoniła usta.

Zkonfudowany nieco kapitan, prostował się nadrabiając miną i wyciągał rękę z najwdzięczniejszym swoim uśmiechem, lecz fale drwiły sobie z jego galanterii.

Już, już, liliowe paluszki pani Kariny miały do

tknąć jego szerokiej, chropowatej dłoni, gdy nowe sarto mortale łódki rozdzieliło ich, grożąc krygującemu kapitanowi niepożądaną kąpielą. — Nie, to się na nic nie zda ! — zawołał wreszcie. — Wracajmy na górę; wsadzi się panią w maderski fotel i spuści windę. I maleńka z niańką także tą samą drogą zjedzie, a ci dżentelmani powskakują. sobie, jak będą umieli...

— Co my czasu tracimy! — wyrwało się mimowoli Don Oskarowi. Usłyszała to jego żona.

— Nie, nie! — rzekła z żywością do kapitana. Odstąp pan, proszę, na chwilę...

Wilkins machinalnie usłuchał i, zanim mogliśmy wszyscy zorientować się, młoda kobieta zebrała szybko obu rękoma fałdy swej sukni, elastycznym rzutem odbiła się od platformy i lekko, cicho, jak biały ptak, spadła na środkową ławeczkę gigu.

Skok był tak zręczny, środek ciężkości tak doskonale utrafiiony, że łódź nie przechyliła się prawie — zadrżała tylko; a ona stała w niej przez chwilę, nieco w tył przegięta, z rozpostartymi trochę na podobieństwo skrzydeł ramionami, utrzymując niemi równowagę, górująca spokojnie, jak wodne bóstwo, nad rozkotłowanym pod nią nurtem.

Z góry ozwał się okrzyk podziwienia tych, którzy byli świadkami tej sceny. Krumani moi aż się na wiosłach pokładli z zachwytu, i od tej chwili żona

mego przyjaciela rzuciła na nich jakby rodzaj uroku; mówili o niej zawsze, gładząc się po piersiach i wywracając oczy, że im tylko białka widać było, bo czarny niczego więcej nie wielbi nad zręczność fizyczną i siłę.

— By Jove, my dear lady! — wykrzyknął rubasznie kapitan — mogłabyś pani zakasować wszystkich linoskoków!... Myślałby kto, żeś się pani całe życie po rojach i masztach wieszala... Na honor! urodziłaś się pani na majtka lub na wołtyżerkę!

Pocziwy, stary Wilkins, nie umiał zachować estetycznej miary w swych komplementach, zwłaszcza w stosunku do tak nadzwyczajnie wrażliwej istoty, jaką się okazała pani Karina.

Usłyszawszy tę brutalną trochę pochwałę, drgnęła, jakby podcięta biczem; lica jej, zaróżowione od skoku, pobladły w jednej chwili, niby dwa opłatki, usta zaczęły się trząść; spuściła głowę i szybkim, mimowolnym ruchem, który jednak nie uszedł mojej uwagi, bo oczu od niej nie odrywałem, przycisnęła ręce do serca, jak gdyby ją tam coś raptem zabolalo.

Gdyby jaki genialny artysta był ją tak ujrzał i jednym ruchem pędzla przeniósł na płótno, byłby stworzył najdoskonalszy obraz dziewiczego zawstydzenia, zranionej dziewiczej wrażliwości, o jakim ludzka wyobraźnia zamarzyć może.

Przyszło mi na myśl, że i Don Oskar, przy swej wykwintnej, dumnej naturze, może być niemile do

tkniętym obcesowością kapitana — i zwróciłem się ku niemu z jakąś żartobliwą uwagą, tuszę sobie, że w lepszym trochę stylu. Ale żart zamarł mi na ustach, gdym ujrzał w twarzy jego ten sam ponury, zawzięty, piekącego bólu pełny wyraz, który mnie tak w ów pamiętny wieczór zwierzeń na Karinafield zastanowił.

Może to tylko moje przywidzenie, lecz wydało mi się, że z pod ściągniętych brwi błysnął ku kapitanowi, który był Bogu ducha winien, takim wzrokiem, jak gdyby go chciał wypoliczkować.

— Ależ to mimozy nie ludzie! — pomyślałem. — Dobrze robią, że się w dziewicze lasy przenoszą, bo te ich przynajmniej swoim szumem obrażać nie będą...

Tymczasem mój przyjaciel odwrócił się szybko, unikając mego wzroku, odebrał Ulli dziecko i skinął na jednego z wioślarzy. W chwili, gdy murzyn, silnemi stopami objąwszy krawędzie gigu, wyciągnął ramiona i szybko maleńką pochwycił, młoda kobieta przysunęła się nagle, odebrała mu ją — i tak, z dzieckiem na ręku stojąc w chyboczącej się łodzi, podniosła ku pochylonej nad nią chmurnej twarzy męża, jakieś dziwne, błagalne, a boleśne i bezbrzeżną miłością wezbrane spojrzenie i takim samym głosem powiedziała mu kilka słów po szwedzku. Naturalnie nic z tego nie zrozumiałem, ale wyglądało to tak,

jak gdyby się usprawiedliwiała i przepraszała go za jakąś niebacznie wyrządzoną mu przykrość.

On pochylił się jeszcze bardziej i odrzekł jej coś, czego nawet z dźwięku nie dosłyszałem; musiały to być przecież jakieś tkliwe, kojące wyrazy, bo śliczne jej oczy wypogodziły się i spokojnie już ze swym smętnym uśmiechem zwróciła się dziękować kapitanowi, który nic z tego wszystkiego nie zauważywszy, szykował jej siedzenie około steru, rozkładając moją paradną derę i poprawiając poduszkę.

Przy pomocy krumanów, Don Oskar i ja wgramoliliśmy się do łodzi. Z Ullą był największy kłopot. Dziewczyna ta, zgoła na nerwową nie wyglądająca, objawiła rodzaj idyosynkrazyi przed dotknięciem rąk murzyńskich i trzeba było łagodnego napomnienia jej pani, żeby ją jakoś przewyciężyła.

Wreszcie kapitan pożegnał się, ponawiając obietnicę odwiedzin — i popłynęliśmy nie ku miastu, ale ku małej zatoce Grawina, skąd bliższa droga wiodła przez mangusowa aleję na "Karinafield".

Mój przyjaciel ożywił się znowu; pokazywał żonie różne punkta brzegu, tłumaczył i opowiadał, wciągając mnie ciągle w rozmowę, pieścił małą Hildę i żartował z Ulli, której z pod korony obfity pot spływał na jasne czoło, pomimo, że dzień zbyt upalnym nie był; pani Karina rozglądała się, zapewniając, że wszystko jej się bardzo podoba; raz po raz spojrzenia ich spotykały się i tonęły w sobie z błó

gością uśmierzonej nareszcie tęsknoty, nie było to już jednak to samo, co na podkładzie "Ambriza".

Tam biła od nich łuna bezwzględnego upojenia, czar niezmaconej niczem harmonii dusz, tu był na tym blasku jakiś cień niepochwytny, a widoczny, wmieszała się jakaś nuta obca. jakby echowa, a rozdźwięczna. Coby to być mogło, nie pojmowałem; nie zadawałem sobie nawet wyraźnie tego pytania, ale odczuwałem zmianę przez jej oddziaływanie na moje własne usposobienie, w którym przebijać się zaczął także pewien przymus.

U brzegu pożegnałem się z nimi, rozumiejąc dobrze, jak ciężącą byłaby im moja obecność w tych pierwszych chwilach rozgoszczenia młodej pani pod dachem nowej siedziby. Poserdecznieliśmy znowu przy tem pożegnaniu i nie zapomnę nigdy tego pięknego wzruszenia, z jakim Don Oskar ścisnął dłoń moją. jakby pieczętując tym uściskiem pierwszą kartę jego tutejszego życia, która się z tą chwilą odwracała, a w której danem mi było zapisać się paru zgłoskami.

Patrzyłem za nimi, dopóki ich białe postacie nie zniknęły pośród gąszczy; poczem, dziwnie rozstrojony i zadumany, wsiadłem napowrót do łodzi i sterując machinalnie ku miastu, skąd dolatywał mnie głuchy gwizd niecierpliwącego się "Ambriza", rozmyślałem nad tą marną, znikomą, biedną, a ce

lem wszechświatowych dążeń będącą rzeczą, jaką jest — szczęście ludzkie!

Tak dawno go nie widziałem; zapomniałem prawie, że istnieje, i oto ukazało się ono tem, czem jest w istocie: pierzchliwym ptakiem, na

którego zwabienie czasem całe życie nie wystarcza, a który za lada przeciwnym szelestem, zda się rozpinać skrzydła do odlotu, lub nawet odlatuje zupełnie.

V.

Drugi rok pobytu Don Oskara na wyspie dobiegał końca. Przez ten czas młody szwed ani na krok nie zboczył z wytkniętej drogi; ani na chwilę rąk nie opuścił, tylko ta ufna, pogodna wytrwałość, z jaką z początku imał się pracy, nabierała stopniowo odcienia posępnej jakiejś zawziętości, podobnej do tej, jaka mnie kilkakrotnie w wyrazie jego oczu uderzyła. I nie dziw zresztą. Plantatorska praca na Karinafield nie była z tych, które same w sobie źródło zachęty znajdują, w których doraźny plon, lub coraz pewniejsza jego nadzieja, orzeźwiającem tchnieniem kładzie się na uznojonem czole. Była to praca na fałszywych podstawach oparta, a przez to rozczarowań pełna; ciężka, trudna, a obezwładniające widmo bezowocnie za sobą wlokąca...

Jeżeli w początkach Don Oskar mógł mieć jeszcze jakieś złudzenia co do wartości swego nabytku, to pierwszy, główny zbiór kakao, przypadający, jak pani wiadomo, w listopadzie, a więc dopiero w rok prawie po objęciu przez niego plantacja, dowiódł mu, jak haniebnie oszukał go Garulla swymi tendencyjnie z myślą o sprzedaży prowadzonymi rachunkami z lat ubiegłych i wyśróbowaną nadmiernie przez działającego w porozumieniu z nim agenta ceną kakao na barcelońskim rynku.

Na dobitkę rok był wyjątkowo zły; niezwykle przedłużająca się pora deszczowa psuła zbiory; zfermentowane kakao po tygodniu prażyło w koszach i gniło w nich, oczekując na dzień słoneczny, który nie nadchodził, lub rozłożone wreszcie na "bajach" (platformach), traciło kolor, a co za tem idzie spadało w cenie wskutek niespodziewanej ulewy. Rezultat był taki, że dochód ze sprzedaży wysłanych do Barcelony worków, nietylko nie pokrył kosztów utrzymania domu i ludzi, jak to sobie w pierwszych chwilach obiecywał Don Oskar, — ale po odtrąceniu transportu, komisowego, cła wwozowego i całej litanii wydatków, z jakich barceloński rynek słynie, zredukował się do nędznej sumki paruset dolarów, wyglądającej poprostu na uragowisko. Był to dotkliwy cios dla mego przyjaciela i musiałem podziwiać zimną krew. z jaką go przyjął.

Znalazłem się na pokładzie przybyłego z Europy hiszpańskiego parowca "Sacrastegni" właśnie na tę chwilę, kiedy kapitan wręczał Don Oskarowi maleńką, skrzyneczkę ze złotem i list agenta.

Don Oskar list z uwagą przeczytał, skąpą ilość "alfonsów" skrupulatnie przeliczył, podziękował serdecznie kapitanowi, a następnie ujął mnie pod ramię i zaprowadził na dunetę.

— Patrz, kochany Lino — rzekł, gdy już nikt nas słyszeć nie mógł, pokazując mi pieniądze — oto owoc moich całorocznych zabiegów... Jak raz, trzy czwarte pensyi moich Lagosczyków !. A gdzie reszta ? Gdzie ich życie ? Gdzie utrzymanie nasze ? Gdzie wszystkie inne wydatki, które szanowny Garulla tak ślicznie pokrył mi na papierze i z taką nadwyżką na dalsze plantacyjne wkłady w dodatku!?... Gdybym tak nie miał

zapasowego grosza, a polegał tylko na tem, co mi jego fałszowane księgi obiecywały, byłbym w tej chwili zupełnym bankrutem... Piękna perspektywa na przyszłość!

— Mój drogi przyjacielu! — odparłem — skoro sam poruszasz ten przedmiot, powiem ci wręcz, że i tak jest to więcej, niż się można było spodziewać, zważywszy zwłaszcza na te nieprzyjazne okoliczności, za które Garullę odpowiedzialnym czynić trudno. I nie bierz tego za paradoks, ale gdy ciebie po raz pierwszy zwątpienie napada, ja właśnie w tej

chwili, bardziej niż kiedykolwiek, w pomyślność twego przedsięwzięcia wierzyć zaczynam.

— A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Jeżeli z tego nędznego pola, które Garulla zupełnie w końcu zaniedbał jako wybrakowane, zdołałeś przecież tyle wycisnąć, to dowód, że potrafisz dokonywać cudów, o czym zresztą nie po raz pierwszy się przekonywam.

— Doprawdy? Muszę chyba na zrozpaczonego wyglądać, skoro mój prostomówny Lino aż do hiszpańskich komplementów się ucieka, aby mi dodać odwagi. A tymczasem ja jej bynajmniej nie tracę... Stwierdziłem poprostu fakt, który, naturalnie, miłym mi być nie może i wnioski, które się same z niego wysnuwają; ale to idzie jedną stroną, a moja chęć przegryzienia się przez nie i wiara, że się przegryzę — drugą!

Umilkł na chwilę, i stał przy baryerze, z rękami w tył założonemi, patrząc ku wyspie, w tej samej zupełnie postawie, w jakiej go po raz pierwszy ujrzałem, ilustrując tem bezwiednie swoje słowa, że rok, który minął,

pomimo wszystkich dotkliwych doświadczeń, jakie z sobą przyniósł, nie wykoleił go z zajętego stanowiska. A przecież zrobił on swoje, ten rok ekwatoryjnego życia! Zdmuchnął z pięknej twarzy mego przyjaciela jej wiosenną świeżość i blaski, i wyłobił na niej znamienne kresy, jakich tam, na Lualabie, nie było!... Lecz mniejsza o twarz,

skoro ducha oszczędził, a że go oszczędził, o tem świadczyły dalsze słowa Don Oskara.

— Ja z natury jestem optymistą — mówił — a cała moja filozofia zamyka się w głębokim przekonaniu o wcześniejszem, czy późniejszym zwycięstwie każdej dobrej sprawy. Ja na tę wyspę przybyłem z dobrą sprawą. Nie przygnała mnie ani brudna chciwość, ani pusta próżność; nie będę też szedł do mego celu krzywdą ludzką, ani krętą drogą. A i to także coś znaczy, że ponad godziwą i przysługującą każdemu chęcią zdobycia niezależności i dobrobytu, przyświecały mi idealniejsze pobudki. W warunkach, w jakich się dla mnie życie w Europie układało, stawałem się gorszym; zaczynałem nienawidzić i zazdrościć, i złąkłem się tej moralnej gangreny nietylko dla siebie, ale i dla tych dwóch anielskich dusz, do których z czasem ta choroba dostęp znaleźćby mogła.

Wyciągnął rękę w stronę fermy. Jasne spojrzenie, błogosławione wejrzenie optymisty, jakim się sam nazwał, rozświetliło mu znów źrenice.

— Byłbym niewdzięcznym, narzekając na ten kąć zielony dlatego, że mi na początek złotem nie sypnął. Nie zawiodłem się na nim w tem, co więcej niż złoto jest warte. Znalazłem ukojenie i równowagę moralną; pozbyłem się wielkiego balastu, ugniatającego mi duszę, kiedy sam na sam tylko z naturą i pracą żyć w nim zacząłem; a odkąd maro

tam żonę i dziecko, znajduję w tej leśnej głębi szczęście takie, jakiego nigdy, nigdy miejskie bruki Europy daćby mi nie mogły! Zapewne — dodał, potrząsając z pewną smutną ironią skrzyneczką, po której nieliczne "alfonsy" rozbiegały się z metalicznym brzękiem — zapewne dłużej i ciężiej przyjdzie mi czekać na utrwalenie materialnych podstaw bytu, niż w niedoświadczeniu mojem myślałem, ale Bogu dzięki, jeżeli tylko jaka nieprzewidziana klęska nie spadnie na mnie, mam jeszcze o czym czekać, i wierzę że się doczekam !

Don Oskar mówił prawdę. Nad "Karinafield", jako plantacją, mogły się zwijać czarne, posępne chmury niepowodzeń i dać wichry przeciwności; ale "Karinafield", jako siedziba ludzka, była poprostu ziemskim rajem!... Nie wyobrażam sobie, by istniała na świecie druga, bardziej kochająca się i silniej duszami złączona para nad tych dwoje. Patrzyłem zblizka na ich pożycie, bo tak jakoś weszło w zwyczaj, że wszystkie niedziele i święta u nich przepędzał. Czasem oni przychodzili do mnie, do miasta, na obiad, który przyrządzała wtedy uproszona przezemnie potonegerka, mistres Garner, używająca w całej SantaIsabell sławy najznakomitszej mistrzyni w dziedzinie "palm oil chop'ów" i "okro chop'ów", potrawek z żółwia i innych brzegowych przysmaków. Don Oskar bowiem nawykł do nich z czasem, a pani Ka

rinie. ku wielkiemu memu zadowoleniu, odrazu przypadły one do gustu. Przed zachodem słońca odbywaliśmy gigiem przejażdżki po morzu lub przybijali do tej maleńkiej wysepki, Enrique, na której są tak pyszne ostrygi. Pani Karina przepadała za nimi — i teraz, ilekroć spojrzę w stronę Enrique, widzę zawsze na jej skalistym czubku śliczną postać kobiecą w białej sukni, siedzącą na rozpostartym pledzie, widzę ożywioną twarz mego przyjaciela, który leżąc u stóp jej, rozkrawa i podaje małe, zielone cytrynki; widzę siebie z Hildą na kolanach i butelką wina w ręku, i krumana drapiącego się, jak czarna wiewiórka, po stromej ścianie wysepki, i słyszę dzwonienie kotłasa o twarde skorupy ostryg i mieszający się z nim szczebiot dziecka, męski, serdeczny śmiech Don Oskara, i melodyjny, powolny, jak rozmarzająca muzyka, głos pięknej Kariny. A staje mi to wszystko przed oczyma tak żywo, bo te niedzielne małe uroczystości, te przejażdżki po morzu, i podwieczorki nad falami, to były najpiękniejsze chwile mego życia tutaj, bo przy słońcu rodzinnego szczęścia tych ludzi, moje skrzepłe serce tajało dla uczuć dobrych i czystych; i wprost przeciwnie, niż ów chrześcijański filozof, który mówił o sobie, że ilekroć poszedł między ludzi, mniejszym powracał człowiekiem, — ja, po każdym dniu. spędzonym z nimi, byłem jakby odkapany w krynicy orzeźwiających wpływów: miałem oko wraź

liwsze na piękności świata, serce życzliwsze dla jego mieszkańców, a myśl podatniejszą do wzniesienia się nad faktoryjną ladę i plantatorski "store" (spichlerz).

Więc byłem im wdzięcznym i za te bezwiedne dobrodziejstwa, jakie mi świadczyli, i za ich przyjaźń szczerą, i za niewinne pieszczoty ich dziecka, o którym nie mogę pomyśleć bez takiego uczucia, jak gdyby mnie kurcz chwycił w gardle, i przywiązałem się do nich tak, że wkrótce wrosli mi w życie, jak gdyby nieodłączny od niego pierwiastek, jak rdzeń, z którego odradzające soki rozpląnęły się po mojej jałowej egzystencji.

Dom Luiz unikł nagle, z żywością południowca zerwał się i, odszedłszy kilka kroków, obu łokciami oparł się o baryerę werandy i odwrócony odemnie, patrzył w księżyc, który płynął wspaniale nad ciemnią skłębionej w dole roślinności i strzępiastymi sylwetkami palm. Kilka minut przeszło, nim wrócił na swój płócienny fotel. Był bardzo blady, a czarne jego oczy lśniły się nie dwuznacznie.

— Pani mi daruje... — rzekł. — Po raz pierwszy przed kimś drugim i w słowach poruszam te wspomnienia, które dotąd w myślach moich żyły. Sądziłem, że umiem lepiej nad sobą panować...

Westchnął, zapalił cygaro, otoczył się wielkiem

obłokiem dymu i po chwili wynurzając się z niego, już uspokojony, mówił dalej:

— Byłem może zaślepiony, ale doprawdy nie mogłem się dopatrzeć w tych ludziach wad żadnych, a maleńka Hilda zawojowała mnie zupełnie. Myślę, że gdyby mi była kazała skakać na jednej nodze, byłbym skakał, byle tylko ujrzeć jej ciemne, poważne oczy, rozbłyśniętą figlarnością, jej pulchne rączkę, klaszczącą z uradowania, a potem zarzucającą mi się na szyję, podczas gdy głosik jej szeptał mi do ucha:

— Kocham cię, wujaszku Lino!... kocham cię, chociaż jesteś taki czarny jak murzyn i po szwedzku nie umiesz...

Niezależnie jednak od tego, były tam pewne rzeczy, które mnie dziwiły, zaciękały, z których żadną miarą sprawy sobie zdać nie mogłem; a które pomimo całej zażyłości naszego stosunku, wprowadzały weni czasem niespodzianie jakiś nieokreślony przymus, jakąś osobliwszą atmosferę, czegoś niedopowiedzianego, ukrywanego, czegoś, co odskakiwało od ogólnego tła. jak ton jaskrawy, rażący, i tajemniczym, drażniącym znakiem zapytania, psuło poufny nastrój naszego małego kółka.

Rzeczy te wyłącznie prawie odnosiły się do pani Kariny. Znałem o tyle świat i ludzi, aby po parogodzinnem obcowaniu z kimś mózdz, nie pytając o jego rodowód, określić, bodaj w przybliżeniu, sfe

rę towarzyską, z jakiej pochodzi!, stopień jego wykształcenia i warunki wychowania, — ale co się tyczy tej młodej kobiety, to widywałem ją często od wielu miesięcy, a wciąż nie byłem pewny, gdzieby mi należało

szukać jej rodowej kolebki: w pałacu książęcym, czy w chacie wieśniaczej ?

Za pierwszym zdawała się przemawiać jej idealna uroda jej wysoki zmysł piękna i subtelna, na pewnych punktach aż chorobliwa delikatność uczuć; z drugiej znów strony, była w tej napozór wątlej istocie, zdumiewająco rozwinięta siła muskularna, jaką tylko chyba wczesne zaprawianie się do fizycznej pracy wyrobić mogło, była nadzwyczajna sprężystość członków, ta zręczność przedziwna, której dowód dała na " Ambrizie", wskakując do rozkołysanej łódki, a z którą, i później niejednokrotnie wobec mnie się zdradziła.

Mówię: "zdradziła", bo zamiast chlubić się tym tak cennym, w tutejszych zwłaszcza warunkach, przymiotem, okazywała się zawsze w niepojęty dla mnie sposób zmieszana, i jakby zawstydzona; zawsze też jeszcze, jeżeli i mąż był obecnym, rzucała na niego owe zagadkowe, bojaźliwe, nawpół przepraszające spojrzenie, które mnie tak na "Ambrizie" zastanowiło. Nie dość na tem. Don Oskar, w którym kilkoletnie pożycie nie studziło zapalów kochanka, w tym jednym względzie okazywał się prawdziwie po małą

żeńsku obojętnym na zalety żony. Uwielbiał ją. zgadywał jej myśli, pysznił się jej pięknnością, mówił o niej zawsze, jak o czymś doskonałym i świętym, ale nigdy ani jednym słowem nie podnosił gibkości jej mchów, elastyczności jej chodu, choć te poprostu były w oczy nieraz w tych wspólnych naszych wycieczkach po wyspie, kiedy wśród oślizgłych, stromych ścieżek buszu, biała jej postać pięła się szybko, swobodnie, bez

śladu zmęczenia, jak gdyby to były wygodne gościńce i przebiegała rzucane nad przepaściami pnie lekkim krokiem leśnej Dryady.

On zdawał się tego nie spostrzegać, a moich wykrzykników i pochwał słuchał z przymusem i niezadowolaniem nawet, tak, że w końcu, poznawszy się na tem, zaniechałem ich zupełnie.

Ale były tam jeszcze niezrozumialsze dla mnie rzeczy.

Z tego, co mi Don Oskar po raz pierwszy i ostatni o przeszłości swojej był powiedział, ułożyłem sobie, że żona jego była ubogą nauczycielką, może nawet w domu jego ojca. sierotą, niewiadomego może pochodzenia i że w tem tkwiła przyczyna tak srogiego oporu przeciw temu związkowi ze strony dumnego arystokraty.

Wkrótce jednak doszedłem do przekonania, że przypuszczenie moje było błędem. Piękna Karina żadną miarą nie mogła być nauczycielką. Urny

słowość jej przedstawiała osobliwszy chaos żywej, wrodzonej inteligencji, dowcipu, który przy jej ogólnym, melancholijnym nastroju, był czemś niewypowiedzianie wdzięcznym, tych wiadomości dorywczych, bezładnych, jakie dają. naprzykład podróże, i braku niemal że elementarnych podstaw wykształcenia.

Mój Boże! nie byłem nigdy uczonym, chociaż kochałem naukę i pomnę, że marzeniem mojej pierwszej młodości była katedra profesorska tego uniwersytetu w Lizbonie, na którego ławkach jako student siedziałem, — ale późniejsze moje życie popłynęło dalekiem od mojej książkowej wiedzy korytem; zresztą, przyjacielskie pogadanki na FernandoPoo, samo przez się, bardzo akademickiemu być nie mogą.

Z tem wszystkim, zdarzała się od czasu do czasu taka rozmowa między mną a Don Oskarem, w której jego żona żadnego udziału nie brała, a tylko zdawała się chciwie słuchać; zdarzyły się także potracenia o literaturę, czy historię, czy sztukę, w których okazywało się, że są to rzeczy dla niej zupełnie obce, że nie posiada o nich nawet tego pobieżnego wyobrażenia, jakie zwykle młodym pannom nieco staranniejsze wychowanie daje. A przecież nie była tępą, ani leniwą, owszem — miała wyobraźnię bardzo żywą i poetyczną, i garnęła się do światła. Bardzo często zastawałem ją z książką w rę

ku, ale zawsze bywały to książki szwedzkie, chociaż w wyborowej biblioteczce Don Oskara znajdowało się dużo arcydzieł europejskiej literatury w oryginałach.

Pani Karina mówiła biegle po francuzku, po angielsku, po niemiecku, ale żadnym z tych języków nie władała poprawnie i gruntownie. Musiała się ich nauczyć ze słyszenia, przebywając w rozmaitych krajach, bo, o ile z tego i z owego wymiarkować mogłem, podróżowała dosyć po Europie. Jednym słowem: wszystko to się jakoś kleiło, i trzeba było w istocie tego wyjątkowego, osobistego czaru, jaki wywierała, aby z pewnym niedowierzaniem nie pomyśleć o jej przeszłości, nie zadać sobie pytania: kto ona być może? jaki rodzaj życia wiodła? jakie warunki złożyły się na to, aby ją stworzyć taką, jaką była: tak dystyngowaną a tak pierwotną, tak delikatną, a tak zahartowaną, tak bystrą i łatwą, a tak wielu rzeczy nieświadomą.

Pamiętani jeden drobny facyk, który bardziej niż inne wszystkie te wątpliwości we mnie obudził.

Pewnej niedzieli przybyłem na Karinafield o parę godzin wcześniej niż zwykle, a że w naszych stosunkach panowała wielka systematyczność, zszedłem ich więc zupełnie niespodzianie. Już zdaleka zobaczyłem ich na werandzie, przy stole, zarzuconym książkami i kajetami. Mała Hilda, siedząc na schodach, bawiła się z psem. Tworzyli tak wdzię

czny obrazek, na tle tego ładnego, nowego domu i otaczającej go zieleni; na tle wielkiej niedzielnej ciszy i drzemiącej w południowym słońcu natury, sami tacy młodzi, piękni i pełni życia, że mimowoli zatrzymałem się, ażeby się im swobodniej przypatrzeć.

Pani Karina, obrócona do mnie plecami, po których wiły się luźno puszczone jej przepyszne warkocze, pisała coś, a Don Oskar z boku, wygodnie w fotelu zagłębiony, trzymał książkę w ręku i zdawał się coś z niej dyktować.

Po chwili młoda kobieta wstała żywo, podsunęła mężowi zeszyt i pióro, mówiąc mu coś z radosnym uśmiechem; on z kolei pochylił się nad jej pisaniem i widocznie coś w niem poprawiał, podczas gdy ona z pieszczotliwym ruchem odgarniała opadające mu na czoło włosy.

Wtem Vero spostrzegł mnie i zaczął szczeleć; młodzi ludzie porwali się, jakby złapani na gorącym uczynku i, podczas gdy Don Oskar zbiegł na moje spotkanie i witał mnie z mniejszą niż zwykle swobodą, pani Karina pozbierała śpiesznie książki, zeszyty i wrzuciła je do szuflady stolika.

A rączka jej, którą mi podała, była dziwnie chłodną i drżała widocznie.

Byłoby się to jakoś zatarło, gdyby nie Hilda.

Siedzieliśmy już jakiś czas na werandzie, zajęci rozmową, wtem maleńka niepostrzeżenie otworzyła

szufladę, wyciągnęła z niej kajet i wskoczyła mi z nim na kolana, wołając tryumfująco:

— Patrz, wujaszku Lino! to mama pisała! Patrz! jak mama ładnie pisze! Mimowoli rzuciłem okiem na zapisane stronnice kajetu i ujrzałem angielskie, gramatyczne ćwiczenie w rodzaju: "Czy masz mój materac ?" "Nie, ale mój brat ma hiszpańską gitarę", kreślone pismem dużym, niewprawnym, prawdziwe wypracowania początkującej uczennicy.

— Hilda! — krzyknęła pani Karina.

I z niezwykłą u niej szorstkością wyrwała dziecku kajet. W tem uczuła na sobie mój wzrok zdziwiony i stanęła pomieszana, płonąć i blednąć na przemiany, z obwisłymi rękoma, w których ścisnęła kurczowo nieszczęsny ów zeszyt. Dwie duże łzy, jakby upokorzenia i bólu, wymknęły jej się z pod spuszczonej powiek i opadły cicho na białe fałdy szlafrocza.

Nie wiedziałem, co począć z sobą... Niepodobieństwem było udać, że tego nie widzę. Na szczęście. w tej samej chwili we drzwiach werandy pojawiła się Ulla, wzywając po coś swoją panią. Młoda kobieta szybko zniknęła, ale w progu już odwróciła głowę i posłała mężowi jedno z tych błagalnych, smutnych spojrzeń, które rozchmurzało jego zasepiające się w podobnych razach czoło.

Był to dzień największego pomiędzy nami przymusu.

Ale co znaczący takie drobiazgi!... Jeżeli o nich wspomini, to dla tego jedynie, że one są potrzebne do zrozumienia dalszych wypadków.

Mijały więc tygodnie i miesiące. Na Karinafield praca szła z niesłabnącym zapalem. Mój przyjaciel, pogodziwszy się z myślą, że stare kakao jest tak dobrze, jak straconą placówką, wszystkie swe usiłowania wyteżył w kierunku zaplantowania jak największej przestrzeni nowych pól. Od rana do nocy dzwoniły kotlasy i huczały siekiery w buszu; słały się pokotem nizkie gąszcze i waliły się na nie olbrzymie leśne; a gdy w ten sposób zniszczone życie boru zwiędło i przeszło, tłumiono je ogniem.

Ileż to też nad Karinafield zapłonęła luna, wiedziałem, że nowy szmat ziemi uprawnej wydarty został samorodnej roślinności, na usługi człowieka, i patrzyłem z uciechą na zaróżowione niebo, witając tam świt pomyślnej doli dla tej wytrwałości i tych trudów, co się pod nim znożyły.

Pewnego roboczego dnia obchodziłem z Don Oskarem plantację. Mój przyjaciel z dumą i radością pokazywał mi parę hektarów młodziutkiego kakao, które zasadzone minionej pory deszczowej, świetnie się rozwijało. Starannie oczyszczone płonki, pod ochronnym cieniem rozłożystych krzaków

koki, miejscami w tym celu zasadzonej, rosły szybko, zdrowo i równo.
— Patrz mój drogi! — mówił Don Oskar. — Wiesz, mój drogi Lino... to młodzianstwo jeszcze roku niema, a już mi blisko ramienia sięga! Zdaje mi się że jest to wzrost nadzwyczajny.

— Rzeczywiście — odparłem — jeżeli tak dalej pójdzie, na przyszły listopad będzie się można spodziewać pierwszego obrodu, bo w najlepszym razie zbiorem to jeszcze nie będzie.

— Daj Boże!... — zawołał Don Oskar. — Wiesz, mój drogi Lino, co zrobię wtedy?... Oto pierwszy dojrzały melon zetnie moja żona, a ja go wpakuję w spirytus i zachowam na pamiątkę. Kto wie, może kiedyś sprawię mu kryształową skrzyneczkę ze złotymi kantami, jako protoplazmie mojej fortuny!...

Wieczór się zbliżał; z wytrzebionego świeżo pola, na którym błąkały się sine dymy i unosiły wonie spalenizny, ludzie schodzili powoli, wdzierając zrzucone do pracy koszule i ćmiąc fajki.

Stojąc zdaleka, przypatrywaliśmy się ich ciemnym postaciom o ruchach ciężkich od znużenia, jakby sennych. Headman Adamassi, którego jedynym zajęciem było dozorowanie gromady i który w wyjątkowych tylko razach raczył na chwilę jąć się kotłasa, stał pośrodku pola w swej białej todze wypoczęty, utuczony, ponury jak zawsze, ręką okręconą, różańcem wymachując w powietrzu i zgoła nie

słodkim głosem perorując coś do swych podwładnych.

— I cóż, Don Oskarze — zagadnąłem — jesteś zawsze zadowolonym ze swoich Lagosczyków ?

— Tak... — odrzekł z pewnem wahaniem — pracują nieźle, ale ani na włos cugli im popuścić nie można, bo się wnet narowia. Stosunek z nimi męczący jest i nieprzyjemny... Ale dla mnie mają nieocenioną wartość tego czteroletniego kontraktu. Nie wiem doprawdy, cobym był począł, gdyby mi tak było przyszło, niezależnie od tych materyalnych zawodów, na które nie byłem przygotowany, opłacić już i wyprawić jedną partię krumanów, sprowadzić drugą i mieć wypłatę i pasaż tej drugiej za pasem. Spochmurniał bardzo i nie trudno mi było domyślić się, że pieniądze jego "warunki są cięższe, niż sam przed sobą chce to przyznać.

— Dziwne plemię! — podjął po chwili. — Tyloma zaletami przewyższa niby inne. a tak niesympatyczne, odpychające wprost... A przytem, jak w nich niema nic z tej powszechnej u murzynów rozrzutności i lekceważenia jutra... Czy uwierzysz, kochany Lino. że dotychczas mało który wziął co na książkę?... Podobno leczą w mieście swemi maściami i dekoktami i stąd mają poboczne dochody.

— Bardzo mi łatwo uwierzyć — odrzekłem —

bo to ich system. Tem ciężej ich potem jednorazowo wypłacać.

— O! mam jeszcze przed sobą prawie półtrzecia roku!... A do tej pory mam nadzieję, że ot, na tych płonkach złote jabłka wyrosną...

Zaśmiał się trochę z przymusem i pociągnął mnie na karczowisko.

— Widzisz, mój drogi... aby sobie doraźny dochód zapewnić, postanowiłem zasadzić tu naprzód tytoń. Umówiłem już sobie Kubańczyka, pud którego dozorem kilku moich ludzi pracować będzie. Czy nie dobra myśl?...

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo od strony domu, w wysadzonej papajami uliczce, ukazała się grupa, złożona z wózka, w którym siedziała Hilda, z Ulli, która go popychała, i Vera, który dreptał obok poważnym krokiem opiekuna.

Wielka zmiana zaszła w powierzchowności młodej szwedki przez te kilkanaście miesięcy pod równikiem. Zaniechała nawet w święta swych krasnych wstążek, kwiatów i wyszywanych gorsetów, w które z początku z takim upodobaniem się stroiła. W szafirowej perkalowej bluzie, luźno w pasie przewiązanej, w kasku na głowie, z pod którego wyglądała twarz blada, spocona, o sinawych wargach, z pozlepianymi od obfitego potu włosami, wydawała się cieniem owej hożej, wesołej dziewczynki, której buj

na i świeża młodość tak podbiła serce anemicznego stewarda.

Zbliżała się ku nam bardzo powoli, popychając wózek z widocznym wysileniem i co chwila chustką ocierając policzki i szyję.

Spostrzegłszy ją, Don Oskar sposepniał znowu.

— Biedna Ulla! — rzekł. — To także moje afrykańskie rozczarowanie! .

Ktoby się był spodziewał...

Nie dokończył. Zbliżył się do niego Adamassi, pytając o robotę na jutro.

Don Oskar oddalił się z nim, aby mu pokazać miejsce, gdzie ciąc mają, a ja poszedłem na spotkanie wózka.

— Dobry wieczór, Ullo! — rzekłem, całując małą Hildę. — Jakże się miewasz dzisiaj ?...

— Niedobrze, sir... — odpowiedziała Ulla apatycznie. — Wczoraj znów miałam febrę...

— O! A chinę zażywasz?

— Codzień dwa razy. Pani sama mi daje... Ale co to pomoże?... Już ja tu nigdy zdrową nie będę...

Oparła się ciężko o wózek i mówiła dalej, ożywiając się trochę:

— Kto tu zdrowym być może?... Gorąco dusi... w domu wysiedzieć trudno... wyjść na powietrze, to nigdzie w cieniu usiąść na trawie nie można, jak u nas, bo zaraz mrówki obleżą, albo wąż ukąsi; nigdy zimy, nigdy śniegu, aż oczy bolą na te zielone

drzewa patrzeć... U nas, w Szwecyi, teraz wszędzie lód błyszczący, góry białe, gałęzie w szronie, pod nogami aż chrupie...

Umilkła raptem i dodała ciszej:

— Mnie, sir, teraz co noc śni się Szwecya i zima... A gdy się obudzę, to taka żalność... taka żalność jest we mnie, że tylko umrzeć!

Nie zdziwiły mnie te jej słowa. Wiedziałem oddawna, że dziewczyna ta, pomimo namiętnego przywiązania do swoich państwa, tęskniła szalenie do kraju, i że nostalgia żarła jej organizm bodaj łapczywiej jeszcze, niż trapiąca ją od samego przybycia febra. Klimat afrykański, wyjątkowo łaskawy dla rodziny Don Oskara, dla niej jednej okazał się wrogiem.

— Ejże. Ullo! — rzekłem żartobliwie, aby trochę jej smutne myśli rozproszyć. — A Jerry nie śni ci się przypadkiem?

Jerry od ośmiu miesięcy pełnił obowiązki klarka w mojej faktoryi i byłem z niego bardzo zadowolony. Co niedziela, wyelegantowany, w świeżo wypranym kitlu, z mortonową puszką "jamu" lub "sweetów" (słodocy), szedł on na Karinafield, aby towarzyszyć "miss Ulli" do "meetinghouse" na nabożeństwo angielskiej misyi, dokąd w braku własnego kościoła

uczęszczała. Potem odprowadzał ją do domu i na tylnej werandzie siadywał z nią parę godzin na stojącej tam ławeczce, naj

częściej w milczeniu — i starczyło mu tego szczęścia na cały tydzień. Na wzmiankę o Jerrym, lilia ani się zaczerwieniła, ani się uśmiechnęła; machnęła apatycznie ręką.

— On jest dobry chłopiec — rzekła — ale co on mi pomoże?... Gdyby chociaż był z moich stron, byłoby czasem o czymś pomówić.

Westchnęła i obtarła czoło.

— Oj! jak gorąco!... Tu pot leje się ze mnie i leje bez końca... Gdzie to się moje siły podziały?... U nas, sir, we wsi, nie było żwawszej nademnie dziewczyny. A dzisiaj, gdy "woler" z wodą na stół niosę, to mi się zdaje, że dwa wiadra pełne dźwigam. Dobrze, że mnie nikt nie widzi, bobym się chyba spaliła ze wstydu...

Tu mała Hilda wyciągnęła do mnie rączki z wózka.

— Wujaszku Lino, powiedz Ulli, żeby poszła do domu... Ja chcę, żebyś ty mnie do domu zawiózł. Dobrze, Ullo?

Ulla potakująco skinęła głową i poprosiwszy mnie, abym przypadkiem małej po rosie chodzić nie pozwolił, oddaliła się ociężałym, sennym krokiem.

Gdy już nam znikła z oczów, Hilda zarzuciła mi rączęta na szyję i, przyciągając moją twarz do swojego liczka, zaczęła szeptać:

— Wujaszku Lino. ja mam do ciebie wielką prośbę... Naucz ty Vera za konika! Ja widziałem w Anglii pieski za koniki przebrane... ciągnęły wózki... tak im ładnie było! Ja chcę, żeby mnie Vero ciągnął! On taki duży, to się, nie zmęczy...

— A dlaczego ty chcesz tego, pieszczołko?... Jej ciemne, wielkie oczy, spoczęły na mnie z tym wyrazem poważnym i głębokim, który wydawał się aż bolesnym, jako pojawiający się na twarzy dziecka.

— Bo, widzisz wujaszku, jak mnie Ulla ciągnie, to tak dyszy: the! the! the! i stęka czasem... Ją to musi boleć... ona dawniej nigdy tak nie stękała... Ja, wujaszku, tego słuchać nie mogę...

Przytuliła się do mnie jeszcze mocniej i dodała cieniutko:

— Mnie się zdaje wtedy, że jestem bardzo niegrzeczna i tak mi się płakać chce... Więc ty, wujaszku, naucz Vera... dobrze? Bo ja Ullę bardzo kocham!

— Dobrze, aniołku — odpowiedziałem wzruszony delikatnością uczuć tej dziewczyny.

Tego wieczora jeszcze, ku wielkiemu zdziwieniu państwa Oskarów i niezmiernej radości Hildy. Vero wziął pierwszą lekcję zaprzęgowej jazdy i okazał w tym kierunku tyleż pojętności, co dobrej woli.

VI.

Tymczasem na wyspie zapanowało wielkie ożywienie umysłów z powodu oczekiwanej wkrótce zmiany generalnego gubernatora.

Te fernandoposkie olimpiady, co trzy lata przypadające, są jedynym poetycznym wypadkiem, jedynym słabiuchnym echem państwowych stosunków Europy, odbijającym się o ten szmat zieleni, na dzikie, podrównikowe wody rzucony — i wszyscy biali mieszkańcy Santalsabell czują, się wtedy powołanymi do odgrywania roli wielkich mężów stanu i do popisywania się ze swoją dyplomatyczną bystrością.

Osoba przyszłego przedstawiciela władzy królewskiej na wyspie, jest naprzód przedmiotem najfantastyczniejszych częstokroć domysłów; następnie, gdy już stanie się wiadomą, politycy tutejsi wpatrują się w nią ze skupieniem meteorologów, jako w barometr, mający im wskazać, jakie obecnie w rządowych sferach Hiszpanii przeważają prądy; to znów, w zrozumiały dla nich tylko sposób, objaśniają im szanse europejskiej wojny lub europejskiego pokoju, przywrócenia cesarstwa we Francyi, ogłoszenia republiki we Włoszech, abdykacyi królowej Wiktoryi i całego szeregu politycznych przewrotów, o jakich może nigdy nie śniło się żadnemu Bismarckowi.

I tym razem domysłem i przypuszczeniom nie było końca; codziennie wynajdywano nowego kandydata; po faktoryach, przy brzęku kieliszków, rozbrzmiewały spory i zakłady, ale gdy nadeszła wreszcie urzędowa wiadomość, że nominację na generalnego gubernatora posiadłości hiszpańskich w zatoce Gwinejskiej, otrzymał Don Claudio Martinez de la Rocha, i że za parę tygodni przybędzie na pokładzie kanonierki "Isabella Segunda", wybór ten, przez nikogo nieprzewidziany, do tego stopnia oszołomił umysły, że na razie nie wiedzano, co o tem sądzić.

W dodatku niespodzianka o tyle była zdumiewającą, o ile nieprzyjemną. Don Claudio Martinez de la Rocha z krótkich swych rządów na Elobey, skąd go nagle odwołano, podobno naskutek raportu generalnego gubernatora, pozostawił wspomnienia bardzo niefortunne. Opowiadano o nim, że był narwanym, despota, fantastykiem, hulaką, trawiącym czas na zabawach, a pozostawiającym sprawy rządowe swoim zausznikom, którzy się ciągle zmieniali; że orgie, jakie wyprawiał, siały zgorszenie po całej Elobey; że przełożony tamtejszej katolickiej misyi robił mu uwagi, za które de la Rocha kazał go krumanom za drzwi wyrzucić — i tym podobne skandale.

I oto takiego człowieka posłano na wielkorządcę !

Fakt ten nie dawał nawet pola do puszczania się na szerokie fluktuacje politycznych domniemań. Jedna rzecz zdawała się pewną, że musiał znowu coś zbroić w Europie i że rodzina jego, nader można i we

wszystkich stronnictwach stosunki mająca, postarała się o nową banicję marnotrawnego syna.

Jakkolwiekby, była to banicja, mająca wszelkie pozory tryumfu; boć odwołany z niższego urzędu, wracał jako przedstawiciel najwyższej władzy; a tryumf ten potęgowała i ta okoliczność, że poprzednik jego, który przez jakiś czas był jego zwierzchnikiem i okazywał mu w bardzo niedwuznacznym sposobie swoje z niego niezadowolenie, miał go teraz przyjmować, jako swego następcę, ze wszelkimi honorami, przynależnymi reprezentantowi tronu.

Miało to więc być widowisko ciekawe i radowano się niemi w braku innych powodów do uciechy. Jeden tylko Don Mariano Fenollera promieniał ze względu na samego de la Rochę.

Podczas kilkotygodniowego pobytu tego ostatniego na FernandoPoo, umiał wkraść się w jego zaufanie, schlebiając jego fantazyom, i obiecywał sobie bardzo bogate plony z posianego w tak szczęśliwą godzinę ziarna. — Dom Luiz, hombre! — mówił do mnie, czyniąc się bardziej podobnym do węgorza niż kiedy

kolwiek — ja jeden miałem nos!... Pamiętasz?... Kto sobie tu co z niego robił? W niełasce u generalnego gubernatora, odwołany z vicegubernatorstwa... Oh! ja sobie mówiłem: wypłynie! Carramba! Tacy ludzie, jak de la Rocha, zawsze biorą górę!... Ho! ho! to człowiek genialny!... Ja tylko się na nim poznałem. Tak... tak !... Ciekawym, czy się jeszcze kocha w swojej cyrkówce? Per Dios! to byłaby farsa ! A te włosy!... Może je przywiezie z sobą... Na honor, Dom Luizie, pokażę ci je,

choćbym miał wykraść !... Przekonasz się: takuteńkie jak u pięknej senory Adersield!

Tu wygiął swą małą figurkę nakształt litery S, cmoknął ustami i podnosząc oczy w górę:

— Oh! piękna senora Adersield! — wykrzyknął z zachwytem — boska donna Karina!... Jak ją de la Rocha zobaczy... Oh! oh! Dom Luizie, tu się będą działy nadzwyczajne rzeczy!...

— Nie plećże głupstw, Don Mariano! — ofuknąłem go. — Gdyby cię Don Oskar usłyszał i nie pogruchotał ci kości, to byłaby pierwsza nadzwyczajna rzecz, na którą radzę ci nie liczyć...

I pożegnałem go z rodzajem odrazy. Dotychczas wydawał mi się tylko śmiesznym i natrętnym; ale teraz zrobił na mnie wrażenie czegoś plugawego.

Tymczasem na "Karinafield" bardzo mało troszczono się o nowego gubernatora. Przegawędzili

śmy o nim jeden wieczór; mój przyjaciel zrobił parę uwag o kolonizacyjnym niedołęstwie Hiszpanii, składającej cywilizacyjną misję w takie ręce; pani Karina słodkim swoim głosem wyraziła nadzieję, że się może poprawi — i na tem się rozmowa skończyła.

Wydało mi się jednak rzeczą właściwą namówić ich, aby się zastosowali do przyjętego tutaj zwyczaju przez wszystkich białych, witania gromadnie nowego gubernatora w sali rządowego domu, zaraz po jego zjechaniu na ląd.

Zrazu Don Oskar chciał sam tylko wziąć udział w tej ceremonii, ale gdy mu przedstawił, że nawet siostry miłosierdzia poczuwają się do tej oznaki grzeczności względem przybywającego, ustąpił.

Drobna ta farsa nie obowiązywała do niczego, a uchybienie jej mogłoby zrazić na wstępie i pociągnąć za sobą nieobliczone skutki tam, gdzie taki człowiek, jak de la Rocha, stawał się samowładnym niemal panem kolonii.

Stało więc na tem, że skoro tylko przysposobione od kilku dni na werandach SantaIsabell lunety, obwieszczą zbliżanie się parowca "Isabelli", chłopak odemnie popędzi cwałem na Karinafield, aby się miano w pogotowiu.

A i bez tego, dwadzieścia jeden wystrzałów z ochrypniętych gardzieli starych, pontonowych

armat, odbijając się rozgłośnem echem o lesiste zarośla, byłyby ich powiadomiły w porę.

Jakoż rządowa szalupa pod flagą nie odbiła jeszcze od burtu powiewającej królewskimi insygniami kanonierki, gdy Don Oskar z żoną zatrzymali się przed moją faktoryą., aby udać się razem do rządowego domu.

Pani Karina wyglądała przecudnie ze swą liliową., zaróżowioną od szybkiego ruchu twarzą, w miękkiej białej sukni, opływającej jej gnące się jak powoje kształty, w białym krepowym kapelusiku, który, zdjawszy kask, jako zbyt neglizowy do tej uroczystości, włożyła już na miejscu na swe srebrzystopłowe włosy.

W wielkiej sali rządowego domu, gdzie wisi portret królowejregentki, wszyscy biali, z wyjątkiem komendanta i kilku wyższych urzędników,

którzy wraz z byłym gubernatorem pojechali na pokład "Isabelli", byli już zgromadzeni, tworząc półkole nawprost parteru.

Wszyscy olśniewali wzrok białością nowych garniturów i na wszystkich twarzach malowało się niezwykle ożywienie; wszystkich oczy z nateżeniem kierowały się raz po raz ku otwartym na rozcież drzwiom wchodowym.

Niezadługo schody werandy zaskrzypiały od licznych stąpań, zrobił się gwar i w otoczeniu

miejscowych luminarzy, oraz oficerów kanonierki, weszli na salę obaj gubernatorowie.

Nigdy chyba przeszłość z terażniejszością nie przedstawiała bardziej rażącego kontrastu.

Były gubernator, człowiek średniego wieku, niski, krępy, zaniedbany w ubiorze, rubaszny w ruchach i w mowie, z twarzy brzydką lecz inteligentną, o małych, szarych oczach, błyszczących energią i prawością, obok wysokiego, wspaniale pięknego młodzieńca — Don Claudio Martinez de la Rocha, który pozostał mi w pamięci, jako rozwichrzony człowiek, nadrabiający aż do szarży miną w swem kłopotliwym położeniu dymisyonowanego urzędnika, przedstawiał się teraz zupełnie inaczej. Jego junacką, namiętą urodę, powlekał werniks sztucznej trochę, lecz niemniej przeto pełnej wdzięku dystynkcyi; w jego czarnych, jak żuźle pałających oczach, blask tryumfu i pychy mieszał się z wyrazem monarszej łaskawości, a mocno zaciśnięte usta uśmiechały się słodko i poważnie zarazem.

Widocznem dla mnie było, że przywołał do pomocy wszystkie zasoby swego sprytu i powierzchowności, aby zrobić wrażenie — i zrobił je! Gdy stanął we drzwiach, smagły, prosty, przerastający wzrostem wszystkich obecnych, z torsem

atlety i postawą skończonego dżentelmana, zdawawało się istotnie, że wraz z nim do tej drewnianej skromnej sali, lichym dywanem wyłożonej, wchodzi jakiś majestat, teatralny może, ale zawsze majestat, że na tej dumnie podniesionej głowie, pokrytej jak krucze skrzydła lśniąco kędziorami, tylko przez zapomnienie nie świeci korona, a purpurowy płaszcz jedynie dla gorąca zsunął się z tych wspaniałych ramion. Jakże mizernie, jak trywialnie wyglądał przy nim jego dzielny poprzednik; ów, któremu de la Rocha z całą swą piekielną urodą i machiawelską układnością, nie wart był podać wody do umycia nóg. Po sali przebiegł krótki szmer i raptem zrobiło się bardzo cicho. De la Rocha stanął przed portretem Maryi Krystyny; wysunął naprzód jedną nogę, dziwnie małą i wąską, obutą z wyszukaną elegancją, spojrzął na nią z lubością, palcem delikatnie powiódł po małym, czarnym wąsie, oddał zgromadzonym uprzejmy, ale lekki ukłon i odezwał się: — Panowie! Pozdrawiam was w imieniu Jej Królewskiej Mości Regentki Maryi Krystyny, która raczyła w najwyższej swej łasce przysłać mnie tu, jako opiekuna i wykonawcę mądrych i wielkich praw naszego potężnego narodu, na jedną z podległych mu ziem. Zadaniem mojem będzie odpowie

dzieć godnie położonemu we mnie zaufaniu, i mam nadzieję, że wy, panowie, dopomożecie mi w tem, ku pożytkowi wyspy i waszemu osobistemu dobru (tu ledwo dostrzegalny, cyniczny prawie uśmiech przewinął się po jego wargach) — pomni, że władza to porządek, a porządek to cywilizacja!

— Czy taka, jak w Elobey? — szepnął mi stojący obok vicekomendant Aąuillar, który był tam za czasów de la Rochy i nienawidził go z całej duszy.

Ale był to głos pojedynczy. W ogóle przemówienie, choć banalne, a w ostatnich słowach swoich subtelną zapowiedź despotyzmu kryjące, lecz wygłoszone dźwięcznie, donośnie i z emfazą, podobało się.

Teraz dawny gubernator przystąpił do niego i zaczął mu przedstawiać zgromadzonych. De la Rocha odbył z nimi prawdziwy cercle dworski, podając każdemu rękę i zamieniając z nim słów parę. Musiałem mu przyznać, iż z wielkim taktem i zręcznością zaznaczył, że przeszłość swoją chce uważać za niebyłą, traktując wszystkich jako nieznajomych, zarówno tych, których po raz pierwszy widział, jak tych, z którymi się przed dwoma laty upijał i po "balelach" awantuował.

Biedny Don Mariano, który ledwo mógł ustać na miejscu, doznał srogiego zawodu, gdy w odpowiedzi na jego najwdzięczniejsze podrygi i otwie

rające się po potoku entuzyastycznych wykrzykników usta, nowy gubernator wyraził łaskawie nadzieję, iż przyjaciel jego (de la Rochy), Garulla, ma w nim (Don Marianie) gorliwego bardzo zastępcę i kierownika swoich interesów na wyspie.

Trzeba było widzieć Don Mariana! Jeżeli zawsze miał minę zgalwanizowanego, to po tem powitaniu wyglądał tak, jak gdyby władowano w niego cały stos Volty.

Nareszcie przyszła kolej na nas.

Pani Karina stała pomiędzy mną a mężem. Nie patrzyłem na nią, gdy wszedł de la Rocha; dopiero po ukończeniu jego przemowy, zwróciłem się nagle ku niej i zastanowiła mnie dziwna, niepojęta zmiana w jej rysach. Głowę miała spuszczoną i cofnęła się trochę w głąb za Don Oskara, ale raz po raz oczy jej podnosiły się rzekłoby, nieprzepartą siłą pociągane ku twarzy pięknego przybysza i wówczas malował się w nich niepokój, czy zdziwienie, a delikatne jej brwi ściągnęły się, jak, kiedy myśl pracuje z nateżeniem, aby sobie coś przypomnieć, lub połapać się w chaosie nagłych a silnych wrażeń. "Wydało mi się również, że oddycha szybko i że bardzo pobladła. Sądziłem, że jej się robi słabo od długiego stania w tej dusznej sali.

— Co pani jest? — szepnąłem, pochylając się ku niej.

Drgnęła jak ze snu obudzona.

— Mnie?... Nic... — szepnęła — Dlaczego pan o to pyta? — dodała z żywością i z tym rodzajem zaleknienia, który mnie w niej tak zawsze uderzał.

Ale oprowadzający de la Rocha dawny gubernator, zatrzymał się właśnie przed nami i wymieniał nazwiska moich przyjaciół.

— Ci państwo nie mówią po hiszpańsku — objaśnił. — To są szwedzi.

Kolonia nasza zyskała w panu Adersfield dzielną siłę, a w pani... ozdobę!

I uśmiechnął się do nich życzliwie, bo choć osobiste jego stosunki z nimi były prawie żadne, miał dla nich szczerą sympatyę.

De la Rocha żywo podniósł głowę. Cały zajęty swoją osobą i osiągnięciem zamierzonego wrażenia, mając przytem wzrok trochę krótki, teraz dopiero spostrzegł, że pośród obecnych znajduje się kobieta — i to młoda i piękna.

W jednej chwili nastąpiła w nim metamorfoza nałogowego donzuana, jak następuje przeobrażenie w nałogowym alkoholiku na widok butelki. Oczy

mu błysnęły, usta ułożyły się do najbardziej czarującego uśmiechu;

łaskawa królewskość postawy znikła, ustępując miejsca wyszukanej

kurtuazja. Może też słyszał, iż cesarz Wilhelm I zdejmował kapelusz przed pokojówkami i czekał we drzwiach aby pierwsze przeszły, a król

Wiktor Emanuel nie usiadł nigdy w obecności stojącej kobiety, choćby

ta była praczką — i wydało mu się rzeczą odpowiednią naśladować ich.

— Pani... — zaczął po francusku, przykładając zlekka rękę do piersi i zginając swą wyniosłą postać w głębokim ukłonie — pani...

Nie dokończył. Zobaczyłem najwyraźniej, że wstrząsnął się od stóp do głowy, że oczy jego, rozszerzone, błyszczące, utkwily nieruchomo w prześlicznej twarzy młodej kobiety, że smagła jej cera rumieni się, a na gładkie, jak kość słoniowa, czoło występują gzygzaki pulsujących gwałtownie żył... Cofnął się o krok wstecz, i z jedną ręką na piersiach,

drugą mimowolnym ruchem podniósł ku skroni, jak człowiek rażony nagłym światłem...

Trwało to jedno mgnienie oka — i nie wiem, czy kto więcej prócz mnie zauważył ten drobny wypadek. W każdym razie nie zauważył go Don Oskar. Odpowiadał on naszemu dawnemu gubernatorowi, który go w jakiejś kwestyi swą hiszpańską angielszczyzną zagadnął.

Co do mnie, silne wzruszenie de la Rochy nie bardzo mnie zdziwiło. Przy jego niepohamowanej naturze, usprawiedliwiała je poniekąd wyjątkowa postać Kariny. Przypomniałem sobie moje własne wrażenia na "Ambrizie", a przecież byłem o dwadzieścia lat z przykładką starszym od de la Rochy i Eros oddawna już mnie był ze swej księgi wykreślił...

Że zaś pani Karina, już i tak nieswoja, zmieszała się do reszty, to mi się wydało zupełnie naturalnem. Zachwyty de la Rochy objawił się w tak jaskrawy sposób, że byłby wywołał rumieniec na lica każdej młodej kobiety; a cóż dopiero u tak wrażliwej istoty, jak ona.

I stali tak naprzeciwko siebie, oboje oniemiałi, wstrząśnięci, z błyskawiczną grą jakichś nieujętych wrażeń na twarzach; ona, spuszczaająca oczy pod jego ognistym wzrokiem, który zdawał się ją palić; on, z rozdętymi nieco nozdrzami, z konwencyjonalnym uśmiechem, zamartwym na wpół otwartych ustach, których kąciki drgały nerwowo, ukazując drobne, ostre i nadzwyczaj białe zęby.

Wszystko to widziałem — i nie wiem skąd, bo romantycznej wyobraźni nie posiadam — Wydało mi się raptem, że to nie sala rządowa, ale dziewiczy las, i że nie generalny' gubernator stoi nawprost mieszkanki

swojej kolonii, ale lampart wspaniałały czai się ku skamieniałej ze strachu antylopie i przygląda chciwie jej wdziękom wprzód, nim je pożre... Było to bardzo niemądre złudzenie i, jak takiemu złudzeniu przystoi, pierzchło wnet w samą porę, aby moje wytrzeźwione zmysły podziwiać mogły szybkość, z jaką de la Rocha wpakował nagłą burzę swego temperamentu pod nieprzemakalny płaszcz światowej uprzejmości i wdzięk, z jakim podejmując swój urwany frazes, kończył:

— Pani!... Nie spodziewałem się nigdy, abym na wstępie w te progi, zaciągał dług wdzięczności za ten wielki zaszczyt, jaki mi obecność tutaj tak dystyngowanej damy sprawia... Zechciej pani uważać mnie od tej chwili za pierwszego swego sługę...

Z ponownym głębszym jeszcze ukłonem, a raczej niskim pochyleniem samej tylko głowy, podał jej rękę.

Pani Karina zawahała się na jedno mgnienie oka, — może zresztą, było to tylko moje przywidzenie, — lecz natychmiast, podnosząc spuszczone dotychczas powieki, rzuciła na de la Rochę. wpół pytające, wpół uspokojone spojrzenie i bez jednego słowa, paluszkami dłoni jego dotknęła.

On uścisnął je leciuchno, z wielkim uszanowaniem i, puściwszy je wnet. zwrócił się do Don Oskara jakimś grzecznym frazesem.

Doprawdy! nie poznawałem de la Rochy! Pamiętałem jego pazury i mówiłem sobie, że były zbyt ostre, aby wcześniej, czy później nie miały podziurawić aksamitnych rękawiczek, pod którymi je ukrył.

Po skończonej ceremonii, zaprosiłem moich przyjaciół do siebie na szklanę clareta.

Pani Karina była niezwykle zadumaną i nie brała żadnego udziału w naszej ożywionej rozmowie. Zwróciło to wreszcie uwagę jej męża.
— Co ci jest, Kari?... — zapytał troskliwie. —

Wydajesz się bardzo znużoną... O czym się tak głęboko zamyśliłaś ?....

Młoda kobieta spłoneęła gwałtownym rumieńcem.

Tu muszę zaznaczyć, iż nie znałem i nie wyobrażam sobie prawdomówniejszej istoty, niż była ona. Wszelki fałsz i przymus zdawały się być wprost przeciwne jej jasnej, pierwotnej naturze: a jeżeli już koniecznie zmuszoną była skłamać, czyniła to tak niezręcznie i tak wyraźny gwałt zadawała sobie, że czuło się dla niej litość i uwielbienie zarazem.

I teraz także odpowiedziała z ociąganiem się, jak gdyby niezadowolona z tego, że musi wyjawić, co było przedmiotem jej zadumy.

— Myślałam o nowym gubernatorze, Gabryelu.

— Piękny mężczyzna! — zaśmiał się Don Oskar bez cienia zazdrości, jakoby może inny mąż na taką odpowiedź okazał. — Si son ramage repond a son plumage powinien nam zamienić wyspę w istną Arkadyę... Wspaniały typ! Gdybym był kobietą, nie ręczę, czybym się w nim nie zakochał... Słyszysz, Kari?

— Tak... jest bardzo przystojny — rzekłem — ale uroda to mało uduchowiona i dosyć pospolita. Południe obfituje w podobnych Antinousów; tak jak w Kadyksie i w Sewilli każda spotkana kobieta wygląda, jak gdyby to z niej właśnie Murillo swe Madonny malował.

Mówiłem tak w części przez instynktowną, niechęć do de la Rochy, a w części, aby osłabić trochę zachwyty mego przyjaciela, — w rzeczywistości bowiem powierzchowność Don Claudia uderzała właśnie swą oryginalnością; ale uwaga moja musiała trafić do przekonania pani Karinie, gdyż podniosła ją skwapliwie.

— To prawda! — zawołała. — I mnie się to samo wydaje!... To jest jedna z tych twarzy, które spotkać można i nie wiedzieć, czy się już ją widziało kiedyś: na ulicy, w teatrze, na obrazie może...

Umilkła i zamyśliła się znowu.

W kilka dni potem, przed południem, Don Mariano wpadł zadyszany do mojej faktoryi. Jego rozpromieniona i tryumfująca mina nie pozwalała wątpić, iż de la Rocha miał już sposobność przekonać się prywatnie o swojej dobrej pamięci, której publicznie tak zdradziecko się zaparł.

— Amigo Dom Luiz! — zawołał zacny plenipotent, odciągając mnie na bok, bo w sklepie dosyć było ludzi. — Słoweczko... Łypnął tajemniczo oczyma i począł szeptać w ten swój zwykły, urywany sposób, który każdą najprostszą myśl wykręcał tak prawie, jak mówca swoje członki.

— Przychodzę od pana gubernatora... (Nie nazywał teraz inaczej de la Rochy, tylko: "il senor gobernador"). Ach! co za człowiek! Z prośbą do

ciebie, Dom Luizie... Wczoraj cały wieczór... gawęda, dawne czasy... Pan gubernator pragnie oddać kilka wizyt. Wybiera się i do ciebie, ale... damom pierwszeństwo!... Samo się przez się rozumie!... A ty, Dom Luizie, jesteś tak dobrze z Don Oskarem i jego uroczą senorą... Pan gubernator nie chciałby sam tak... na pierwszy raz...

— I życzy sobie, abym mu towarzyszył? — przerwałem, chcąc położyć kres tej nieznośnej paplaninie, która mnie zawsze niecierpliwiła nad wyraz.

— Właśnie!... właśnie!... Co za domyślność!... O piątej, punkt o piątej... wszak nie odmówisz?... Zajdziemy tu po ciebie...

— Więc i ty się wybierasz, Don Mariano? — zawołałem zdziwiony, wiedząc, że w charakterze gościa nigdy na Karinafield nie bywał.

— Ja?... nie! Co za myśl!... Na cobym się tam przydał?... (Tu roześmiał się bardzo nieprzyjemnie). Nie! nie! wracam wieczorem na SantaMarię... Jedna droga!... Przeprowadzę panów... Takie towarzystwo... Ach! któżby nie skorzystał!

I wypadł z faktoryi, rozpychając obecnych, objając się o skrzynie, jak gdyby się gdzie paliło.

Nie byłbym umiał jasno odpowiedzieć sobie, dlaczego to kwapienie się de la Rochy z odwiedzeniem moich przyjaciół wydało mi się podejrzanem. Napozór wszystko było w porządku — i należało się spo

dziewać, że człowiek, znajdujący się na towarzyskich formach, inaczej postąpić nie może; a przecież, czy to dziwne zachowanie się obojga w pierwszej chwili poznania, czy poselstwo Don Mariana, czy inne jakieś nieokreślone czynniki sprawiły, że im więcej o tem myślałem, tem bardziej mi się to nie podobało, i że gdybym mógł, byłbym jednej chwili wpakował de la Rochę na pokład "Isabelli" i odesłał go skąd przybył, a może nawet jeszcze dalej...

Ale na to nie było rady i musiałem się przygotować do tej wizyty, zły na rolę wprowadziciela, którą mi narzucano, a jednocześnie mówiąc sobie, że jeśli już ma tam koniecznie pójść, lepiej, że pójdzie ze mną niż bezemnie. De la Rocha okazał się prawdziwie po królewsku punktualnym. Z uderzeniem godziny piątej dwa hamaki, niesione przez krumanów w żółtych "cloth'ach" i czerwonych koszulach, zatrzymały się przed moim domem. Jeden hamak szedł luzem, w drugim siedział de la Rocha, a obok niego, jak łaszący się wyżeł, dreptał Don Mariano. W pewnej odległości postępował czarny policyant.

Całe miasto, zaintrygowane tak wspaniałym pochodem, wyległo, aby mu się przypatrzeć. Młode zwłaszcza potonegerki zabiegały drogę pięknemu gubernatorowi i wdzięczyły się do niego, pokazując go sobie bez ceremonii palcami i pozdrawiając po hiszpańsku i po angielsku, z bezczelnym uśmiechem

tutejszych kobiet, dla których każdy biały jest domniemanym amatorem na ich wdzięki.

Powabna mulatka, Teresila, mająca z dawnych czasów pewne prawa do poufałości, podeszła aż pod sam hamak, kołysząc się wyzywająco na biodrach i dzwoniąc złotymi kolczykami, które były podobno darem de la Rochy.

Ale on nie zwracał na to żadnej uwagi. Powitał mnie z wielką uprzejmością; nie przejął jednak przygotowanej na werandzie ochłody, proponując natychmiastowe udanie się w dalszą drogę, na co skrycie skrzywił się Don Mariano, który już słodkie spojrzenie ku złoconym główkom butelek posyłał.

Ruszyliśmy tedy. Droga na znacznej przestrzeni była tak szeroką, że oba hamaki mogły obok siebie postępować, co umożliwiło rozmowę.

Don Mariano w dalszym ciągu dreptał pomiędzy nami. De la Rocha traktował go z nieukrywanym lekceważeniem; ale szanowny plenipotent nie należał do ludzi, obrażających się o drobnostki, gdy idzie o cele ważne; zresztą, miał może swój osobisty punkt widzenia, który mu to zachowanie się gubernatora zupełnie inaczej oświeślał.

Rozmowa, zaczęta o tem i owem, zesłała na mieszkańców Karinafieldu. Może dlatego, że baczność moja była już obudzona, ale pomimo całej szatańskiej zręczności de la Rochy, poznałem, iż pragnie wyciągnąć ze mnie jak najwięcej szczegółów o prze-

szłem i terażniejszym życiu moich przyjaciół i że dla zamaskowania tej nadmiernej ciekawości posługuje się, według ułożonego z góry planu, Don Marianem, którego paplanina była jeszcze bardziej bezładna i dziwaczna niż kiedykolwiek.

De la Rocha tylko od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie, i to jakby wskutek słów Don Mariana; a ten znów nie ustawał w wykrzyknicach, i to zawsze takiej natury, które zdawały się koniecznie wymagać potwierdzenia lub zaprzeczenia z mej strony.

Chwilami obaj robili na mnie wrażenie dwóch graczy, którzy ciskają między sobą piłkę, w nadziei, że ktoś trzeci złapie ją także i odrzuci... Ale jeżeli tak było istotnie, to się zawiedli, bo mnie wcale ta zabawka nie skusiła.

Jednakże Don Mariano nie zrażał się i prowadził wytrwale swoją grę, urozmaicając ją ćwiczeniami innego rodzaju. Był on zapalonym zbieraczem motyli; nie przez żadne idealne amatorstwo, lecz że handlował nimi po okrętach, i teraz w drodze wyprawiał harce z siatką, którą zawsze przy sobie nosił.

Jeden zwłaszcza okaz tak go zelektryzował, że z gradem wykrzykników puścił się za nim w pogoń na przełaj, przez krzaki i mokradła.

— Głupi jesteś, Don Mariano, mój synu! — rzekł mu de la Rocha, widząc, że wraca zziajany

i z pustymi rękoma. — Po cóż wrzeszczałeś naprzód?... Nie płoszy się motyla, którego się chce złapać!

U końca ananasowej drogi plenipotent Garulli rozstał się z nami, obarczając mnie tysiącem serdeczności dla Don Oskara i ścieląc się do stóp jego boskiej senory; przyczem takie stroił miny i tak łypał oczami w stronę de la Rochy, że byłbym go najchętniej obił.

Pani Karina była na przedniej werandzie z Hildą, gdy hamaki nasze, okrążywszy trawnik, zatrzymały się u schodów. Nie spodziewała się

żadnej wizyty i była uczesana po domowemu, z puszczoneymi luźno warkoczami, co ją ogromnie zażenowało.

W pierwszej chwili chciała uciec, ale rozmyśliła się i została.

De la Rocha, widząc jej pomieszenie, ze światowca zręcznością starał się je rozproszyć, zwracając natychmiast uwagę na Hildę; unosząc się nad jej urodą, aż przyklęknął przed nią na jedno kolano, prosząc, aby mu dała buzi.

Ale malutka, wbrew swemu zwyczajowi, boczyła się, mamrocząc coś po szwedzku z nadąsaną miną i czepiając się sukni matczynej.

— O! Hilda! — szepnęła pani Karina i pochyliła się nad nią.

W tem poruszeniu jeden z ciężkich warkoczów zsunął się jej z pleców i opadł na wyciągniętą ku

dziecku dłoń de la Rochy. On skoczył jak oparzony; z czarnych oczu strzeliły mu płomienie, krew buchnęła do twarzy; chwycił się jedną ręką za balustradę werandy i stał tak chwile, dysząc ciężko rozdętymi nozdrzami, tak porywająco a piekielnie pięknej w tym nagłym błysku swego szalonego temperamentu postawy, że istotnie można było w nim się rozkocharć.

Ale pani Karina nie patrzyła na niego. Zapłoniona i drżąca, obu rękami zgarniała w tył włosy, powtarzając, jakby nieprzytomnie:

— Pardon, monsieur... Oh! pardon monsieur!

Co do mnie, patrzyłem na to i czułem, że zaczynam odgrywać jakąś dziwnie głupią rolę... Byłbym rozszarpał de la Rochę za to, że mnie tu przywiódł za parawan do swoich szaleństw i po raz pierwszy w życiu byłem trochę zły na żonę mego przyjaciela. Po co, u licha, mieszała się

tak, bladła i trzęsła się jak w febrze, kiedy ten przeklęty madrycki lew patrzył na nią w ten sposób z pod swej czarnej grzywy.

Na szczęście nadszedł Don Oskar. Pełne prostoty, a wrodzoną dystynkcyą nacechowane obejście jego, odbijało tem silniej od sztucznej wytworności de la Rochy, pod którą brutalna natura wypryskiwała chwilami, jak wrzątek z pod nieprzystającej szczelnie pokrywy.

Pani Karina zniknęła, a my poszliśmy oglądać farmę.

De la Rocha wszystko chwalił, wszystkiemu się dziwił, okazując memu przyjacielowi wiele serdeczności i uznania. Prosił, aby go nie nazywać "gubernatorem", mówiąc ze śmiechem, iż zostawił ten tytuł wraz z jego uciążliwościami w rządowym domu, a tutaj pragnie być tylko osobą: Claudiem Martinez de la Rocha, przyjacielem wszystkich dzielnych ludzi. I przy tych słowach ścisnął się z nami za ręce.

Gdyśmy wrócili, w jadalnym pokoju czekał już podwieczorek, a przy zastawionym stole pani domu, jakoś inaczej przeczesana i ubrana. Nie znam się na tajemnicach kobiecych strojów, spostrzegłem jednakże, że z umysłu musiała coś zrobić, aby się wydać mniej piękną niż zawsze. Ale to mniej było jeszcze aż nadto wielkiem, ze względu na de la Rochę, chociaż, trzeba przyznać, iż nie patrzył na nią częściej, niż na to towarzyska przyzwoitość pozwalała. Natomiast unosił się nad nieafrykańskim urządzeniem domu i atmosferą artystyczną, jaka w nim panowała.

— Stworzyliście tu państwo zacisze, którego królowie mogliby wam pozazdrościć! — mówił. — W tem rajskim gniazdku chyba ptasiego mleka braknie!

— Tymczasem brak w niem jeszcze trochę kwa

su! — odparł wesoło Don Oskar. — Na całej farmie niema ani jednego cytrynowego ani pomarańczowego drzewa!... Zasadziłem kilka pionek, ale te nieprędko dadzą owoce. Nim to nastąpi, trzeba posyłać do miasta po cytryny — jak to brzmi po europejsku! Moja żona zużytkowyywa ich sporo do ostryg; pomarańcze zaś są ulubionym przysmakiem naszej córeczki. — Ach, tak! — rzekł de la Rocha i zamyślił się trochę.

Wzmianka o Europie, skierowała rozmowę na stary ład i na nowiny z cywilizowanego świata.

Gdy przyszła kolej na Francję, przyjaciel mój zagadnął de la Rochę, czy dawno był w Paryżu, przypuszczając, że w każdym razie znać go musi.

Paryż, to taka druga ojczyzna każdego !

Pani Karina podawała mi właśnie filiżankę herbaty, ale usłyszawszy zapytanie męża, odwróciła się żywo i pozostała tak chwilę, z wyciągniętą przez stół ręką, w postawie wyczekującej.

De la Rocha roześmiał się i palcem po swym pięknym wąsie przesunął.

— Wyobraźcie sobie państwo, że wcale nie znam Paryża! — zawołał. —

To barbarzyńskie poprostu, niemniej tak jest!... My, dzisiejsi hiszpanie, jesteśmy zadomowionym narodem. Uważamy, iż nasi przodkowie wypodróżowali się za siebie i za nas.

Pani Karina postawiła przedemną filiżankę.

— Co nasz przyjaciel taki dziś zasepiony? — szepnęła do mnie z uśmiechem. — Czy mu Hilda dokuczyła?

W tej samej chwili zwrócił się do niej de la Rocha.

— A pani zna Paryż? — zapytał.

Spojrzałem na nią. Ku wielkiemu memu zadowoleniu, nie zmieszała się tym razem. Owszem, podniosła na mówiącego jasne, swobodne spojrzenie i odpowiedziała z ożywieniem:

— O, znam! Prześliczne miasto! Potrzeba koniecznie abyś je pan poznał...

— Uczynię to niezawodnie — odparł de la Rocha. — Jak tylko skończę tutejsze trzechlecie, pojedę zaraz do Paryża, zrzucić tam swoją afrykańską skórę.

Zdziwiły mnie trochę poprzednie słowa de la Rochy, bo przypominałem sobie, co mi Don Mariano o jego paryskich miłośkach opowiadał. Kiedyż więc kłamał nasz piękny gubernator: teraz czy wtedy? Zapewne wtedy, aby temu idyocie wielkostołecznymi stosunkami zaimponować.

Zresztą nie łamałem sobie nad tem głowy. Byłem uradowany, że pani Karina odzyskiwała stopniowo swój zwykły humor i zaczynała być sobą.

— Bogu dzięki! — myślałem — oswoiła się już... Nie było to zatem nic innego, tylko jej zwykła nie

śmiałość przy zawiązywaniu nowych znajomości, ale w wyższym stopniu. Madrycki lew nie sprawi tu żadnych spustoszeń...

W dwa dni potem, idąc do portu, natknąłem się na osobliwszego rodzaju procesję. Środkiem ulicy posuwał się jakiś wał zieleni, otoczony gromadą rządowych krumanów, na czele których z zadartą głową pędził Don Mariano, mając w ariergardzie dwóch policyantów.

Po bliższem rozejrzeniu się, zobaczyłem, że owym wałem były dwa piękne, cytrynowe drzewa i jedno mandarynkowe — unikat na FernandoPoo. rosnący dotąd przed gubernatorskim domem — wykopane z korzeniami i z ziemią. Część krumanów popychała taczki, na których spoczywały pnie, wpuszczone w worki dla zabezpieczenia korzeni i ziemi, inni podtrzymywali gałęzie, okryte nawpół dojrzałymi owocami, aby w drodze nie poopadały.

— Co to takiego? — zapytałem Don Mariana. — Czy pan gdzie ogród owocowy zakładasz?

Zmieszał się trochę, jakby nie rad ze spotkania. Ale wnet odzyskując zwykłą, swoją czelność, zaczął trzepać:

— Una sorpreza! Niespodzianka pana gubernatora dla pańskich przyjaciół... Cóż to za serce! co za wspaniałomyślność!... Cały dzień tylko sprawami kolonii zajęty! Myśli o wszystkich... Miasto

dostanie dwie nowe latarnie... Już miejsca na słupy wybrane... Boska donna Karina lubi cytryny... Ale muszę cię pożegnać, Dom Luizie... Śpieszno mi bardzo... Do widzenia!

Rozstałem się z nim, mniej zbudowany troskliwością nowego gubernatora o dobro kolonii, niżby po tak wymownym tego objawie należało się spodziewać.

Idąc dalej, zadawałem sobie pytanie, czy gdybym tak naprzykład ja lubił cytryny i mandarynki, de la Rocha kazałby je z przed własnego domu wykopać i mnie je posłać — i wydało mi się to rzeczą nieprawdopodobną i ogromnie wątpliwą.

VII.

— Czy mogę wejść, sir?.

Na moją twierdzącą odpowiedź, drzwi pokoju, w którym zamknięty od rana, pisałem bardzo ważne listy, otwarły się i wszedł Jerry.

Exsteward zmienił się bardzo na korzyść. Życie na stałym gruncie, nawet w afrykańskim klimacie, służyło mu widocznie lepiej, niż ciągle morskie podróże. Zmężniał, pociemniał na twarzy, zapuścił krótką, kręconą bródkę, a sympatyczne jego oczy nabrały blasku i pewności siebie.

Jednem

słowem: wyprzystojniał. w tym samym stosunku, w jakim Ulla zbrzydła. Spojrzawszy na niego, poznałem, że przychodzi z czymś niezwykłym. W rękę trzymał otwartą, kopertę, która drżała, jak gdyby na nią dmuchał.

— Co tam takiego, Jeny? — zagadnąłem. — Masz mi coś do powiedzenia?...

— Tak, sir. Coś bardzo ważnego.

— Więc siadaj.

Uśluchał; ale minęła jeszcze dobra chwila, nim wreszcie przemówił.

— Sir! Wczorajszym parowcem otrzymałem list z domu. Mój ojciec chrzestny zmarł i zapisał mi sześćset funtów. Nie liczyłem wcale na żaden po nim spadek... To duże pieniądze dla mnie!

— Z całego serca ci ich winszuję! I cóż zamierzasz z nimi uczynić?

— Otóż to, sir... — (tu Jerry spuścił oczy i zaczął obracać w palcach kopertę). — Ja, sir, chciałbym wrócić do Anglii...

I jakby w obawie, abym mu nie przerwał, nim całą myśl swoją wypowie, mówił dalej bardzo prędko:

— Mnie, sir, to wielki wstyd, że panu, który jest dla mnie tak dobry, zawód zrobię i na czas jakiś bez służącego pana zostawię... Ale ja, sir, natychmiast z Anglii następcę na mój koszt wyślę

i postaram się, aby to był uczciwy i zdolny chłopiec... A dla pana, na całe życie...

— Nie o to idzie, mój kochany — rzekłem. — Lecz, czy dla ciebie samego nie byłoby korzystniej pozostać tu jeszcze z rok lub dwa, obeznac się lepiej z handlem, a potem na własną rękę małą faktoryjkę założyć?... Z takim kapitalikiem, jak ten, w Anglii niewiele zrobisz; podczas gdy tu z rozważą i świadomością, działając, mógłbyś dojść do majątku.

— To prawda, sir; sam to sobie już mówiłem. Ale...

Spojrzał na mnie dziwnie jakoś.

— Sir — rzekł z wielkiem przejęciem — czy nie uważasz, że miss Ulla ma się z każdym dniem gorzej i umrzeć tu może.

Istotnie, zdrowie biednej dziewczyny znajdowało się w opłakanym stanie. Febry i nostalgia wyczerpywały ją zupełnie. W przerwach pomiędzy paroksyzmami, które bywały coraz częstsze, snuła się po domu, jak senna, z obwisłymi rękami, lub siadywała beczynnie, wpatrzona w jeden punkt, nieczuła nawet na pieszczoty Hildy; to znów rwała się z gorączkowym zapałem do pracy, rozpaczając, że zjada darmo chleb swoich kochanych państwa, doznając niby raptownego polepszenia, pełna nadziei, że się w końcu zaaklimatyzowała, po to, aby wkrótce w tem większą popaść apatyę.

Pani Karina ze swojej strony łamała ręce, wyrzucając sobie odpowiedzialność za to młode marnujące się życie.

— Nie powinniśmy byli zabierać jej, Gabryelu — mówiła do męża ze łzami w oczach. — Jeżeli Ulla tu umrze, nie daruję sobie tego nigdy!... Będzie mi się zawsze zdawało, że przekleństwo Boże spadnie za to na naszą Hildę, bo to przecież dla niej tylko poświęciliśmy tę biedaczkę...

— Nie poświęciliście jej państwo wcale — zauważyłem, będąc obecnym tej rozmowie. — O ile wiem, Ulla sama koniecznie napierała się jechać, a wobec tego, że na to samo niebezpieczeństwo, co ona, narażone było wasze własne dziecko, i wy sami, mowy o żadnej odpowiedzialności być nie może...

Ale daremnymi były moje przełożenia, bo i Don Oskar do pewnego stopnia dzielił skrupuły żony — i troska o Ullę stawała się codzienną pośpieszszą chmurą na domowym niebie moich przyjaciół.

To też usłyszawszy teraz słowa Jerry'ego, zwróciłem się żywo ku niemu.

— Nie przeczę, mój chłopcze, że jest z nią wcale niedobrze... Ale dlaczego wspominasz o tem?

— Dlatego, sir, że pragnę się z nią ożenić i wywieźć ją stąd.

Byłem na wpół przygotowany na to oświadczenie; lecz sposób, w jaki to wypowiedział, prosty,

a odsłaniający całą głębię jego naiwnej miłości, wzruszył mnie.

On tymczasem mówił dalej z tą samą prostotą i uczuciem.

— Ja wiem to dobrze, sir, że ona nie dba o mnie, a przynajmniej nie o tyle, ilebym mógł pragnąć; ale dla mnie droższą jest nad wszystko w świecie i postanowiłem ratować ją bądź co bądź. Nieraz, sir, stojąc w shop'ie (sklepie), myślałem, że mi serce pęknie, gdym sobie obliczał, ile to jeszcze czasu zejdzie, nim zaoszczędzę coś na powrót do Anglii i że ona może tego nie doczekać... A tu dziś... pieniądze już są i większe, niż zamarzyć mogłem... Ja, sir, wierzę mocno, że to Bóg natchnął mego ojca chrzestnego, bo jemu przedtem o żadnym zapisie dla mnie ani się śniło... Kiedym się z nim żegnał ostatnim razem, powiedział mi: "Jerry, mój chłopcze! Nie oglądaj się nigdy na sukcesy, bo wyjdiesz na tem tak, jak żona Lota na swej ciekawości".

— Czy porozumiałeś się już z Ullą? — zapytałem.

— Nie, sir, jeszcze nie... Wczoraj po przyjsciu parowca, nie było czasu; a dziś od samego rana taki ruch w shop'ie... Zresztą jabym wolał... i władnie z tem tu przyszedłem...

Podniósł na mnie błagalne spojrzenie, składając ręce.

— O, sir!... przemów pan za mną... Ja wiem że ona z początku nie będzie chciała. Ona tę małą dziewczynkę ogromnie kocha... Zeszłej niedzieli powiedziałem jej: "Gdybym tak był bogatym, mis. s Ullo, i mógł zawieźć cię do Szwecyi, czy pojechałabyś ze mną?"...

— A ona, cóż na to ?

— Ach, sir! Nie zrozumiała mnie dobrze i bardzo się obraziła. "To są głupie żarty, mister Jerry! — powiedziała mi. — Może tam u was w Szkocyi są takie zwyczaje, żeby porządne dziewczęta jeździły z obcymi mężczyznami; ale u nas to każdą, taką palcami by wytykano!..." Tak mi powiedziała. Ja wtedy wziąłem na śmiałość i powiedziałem jej znowu, iż na całym świecie jest taki zwyczaj, że żony jeżdżą z mężami i że w tem niema nic złego; lecz ona tylko machnęła ręką i odwróciła się, a potem kiedy miss Hilda do niej przybiegła, zaczęła ją pieścić i całować, i rzekła do mnie: "Z kim przyjechałam, ztym odjadę. Żebyś to sobie zapamiętał, mister Jerry!" — Ale, sir, to sobie dwojako można tłómaczyć... bo przecież i ja jechałem także tym samym parowcem co ona!

Westchnął; widocznie sam niewielką wiarę w tem dwojakiem tłómaczeniu pokładał.

— Niechby się tylko zgodziła! — wyszeptał — niechby się zgodziła!... Zawiózłbym ją w nasze szkockie góry... Tam chłodno: tamby zaraz odzy

skąła zdrowie. A potem... za jaki rok wróciłbym znów tutaj... Jąbym zostawił z moją matką; mieszkałyby razem... Moja matka jest bardzo dobra kobieta. Albo nawet tak: powiedz jej, sir, że jeżeli zażąda koniecznie, to powiozę ją do Szwecyi... Niechby wśród swoich była... i tam przecież zajęcie bym sobie znalazł; anglik wszędzie da sobie radę... Tak, tak! powiedz jej to, sir, to może się zgodzi, bo dla mnie samego ona tego nie zrobi... Nie dba o mnie, wiem o tem, ale mniejsza!... byle się tylko dała ratować... byle nie ginęła tutaj!... Ja ją kocham tak bardzo... tak bardzo!...

Mówił to wszystko wolno, bardziej do siebie samego, niż do mnie, marząc raczej głośno; i ten pospolity, sklepowy chłopiec, pod wpływem swej wielkiej, bezinteresownej miłości, która tyle dawała, nic w zamian dla siebie nie żądając, przeobrażał się w prawdziwego poetę, prawdziwszego, niż niejeden długowłosy wierszorób, co zawraca oczyma do księżycyca, a każde swe romantyczne westchnienie wnet na monetę kurs w kraju mającą zamienia.

Ale nie darmo był on szczerym Szkotem; a każdy Szkot, choćby się najbardziej opychał porridge'm (kasza owsiana), choćby we wszystkich innych stosunkach życiowych był uosobieniem prozy, niech się tylko zakocha, a poczyna kiełkować w nim to coś, co francuzi un grain de romance nazywają, a co mu

już z urodzenia od jego wrzosowych wzgórz i ametystowych jezior na duszę pada.

Przyrzekłem Jerryemu, że zajmę się gorąco jego sprawą i tego samego wieczora udałem się na Karinafield. Wiadomość jaką, przywiozłem, sprawiła wielkie wrażenie. Stosunek tych państwa do ich służącej był wyjątkowy; uważali ją jakby za należącą do rodziny, a okoliczność, iż po za nimi była jedyną, istotą na wyspie, z którą w ojczystym języku rozmówić się mogli, wytwarzała tu nowe i silne ogniwo przywiązania. To też myśl, że ją, utracić mają, zmroziła ich. pomimo wszystkiego, co za nią przemawiało.

— Wielki ciężar spada mi z piersi — odezwał się Don Oskar po pewnej chwili. — Dawno już byłbym ją odesłał, niezważając na koszt, gdyby tylko o to chodziło... Ale Ulla jest zupełną sierotą, i wątpię, czyby doznała dobrego przyjęcia w rodzinnych swych stronach, wracając tak sama, schorowana. Oto, co mnie wstrzymywało. Jest to więc dla niej prawdziwe szczęście i niema się co namyślać, a jednak...

Nie dokończył, zawstydzony własnym wzruszeniem.

Pani Karina za to wcale się nie kryła ze łzami, które płynęły cicho po jej policzkach.

— Moja dobra Ulla!... moja droga, serdeczna Ulla!... — powtarzała swoim rzewnym, śpiewnym

głosem. — Jeszcze przed urodzeniem Hildy nastąpiła do nas... Jej poczciwa twarz tyle mi przypomina... Ale musi jechać! koniecznie musi!... Jestem pewna, że ten zacy chłopiec będzie dla niej najlepszym mężem. O, Gabryelu! Jakaż ze mnie szkaradna egoistka... Ale dziś właśnie jest jej znacznie lepiej; od rana szyje i bawi się z Hildą... śpiewała nawet przy robocie... a więc myślałam...

— Trzeba ją zawołać — rzekł Don Oskar — tylko bez Hildy...

W kilka chwil potem weszła Ulla. Wydawała się istotnie rzeświejszą i była staranniej ubraną. Miała nawet jakiś kwiatek zatknięty we włosy. Moj przyjaciel powtórzył jej wszystko, co mu na zasadzie słów Jerryego zakomunikowałem. Wysłuchiwała tych miłosnych oświadczeń z trzeciej ręki napozór obojętnie, ale gdy skończył, zaczęła mówić prędko i z takim ożywieniem, że aż dawno niewidzialny gość — rumieniec, wytrysnął na jej zeszczupiałe policzki.

Nie mogąc nic zrozumieć, wsłuchiwałem się w ton jej odpowiedzi, ale, nie brzmiał mi on obiecująco.

— Co ona mówi?... — zapytałem, gdy umilkła wreszcie, i zwykłym ruchem, który stał się już u niej prawie nałogowym, obtarła sobie czoło, wcale nie spocone w tej chwili.

Don Oskar ruszył ramionami.

— Mówi niedorzeczności rzekł, uśmiechając się mimowolnie. —

Powiada, że dotychczas miała go tylko za głupiego...

— Za bardzo głupiego, sir!... — przerwała Ulla, zwracając się do mnie z ukłonem.

— Ale że teraz widzi, iż jest także złym i przewrotnym, skoro chciałby ją namówić do takiej niegodziwości, jaką byłaby z jej strony opuszczenie nas i Hildy...

Nie uczynię tego nigdy! — wykrzyknęła Ulla z zaiskrzonymi oczyma — i proszę pana bardzo — mówiła dalej, dygając znów przedemną — niech pan mu zapowie, ażeby mi się więcej na oczy nie pokazywał, bom go zupełnie znienawidziła... Ja miałabym opuścić moich drogich państwa i moją pieśczołkę? Także!

— Ullo, pójdź do mnie! — zawołała z uniesieniem pani Karina, nie mogąc się dłużej powstrzymać i wyciągnęła do niej obie ręce.

Dziewczyna przypadła do kolan swojej pani, okrywając jej ręce gorącymi pocałunkami, i przez chwilę nic nie było słyhać, tylko ich przerywane szeptami łkanie.

Don Oskar odwrócił się nagle i uścisnął mi rękę.

— Rozumiem dobrze moją żonę i nie dziwię się jej — rzekł do mnie po cichu. — Strata tej poczciwej dziewczyny sprawi tu wielką pustkę.

Westchnął; ale zaraz potem wstał i, widząc, że się trochę uspokoiła, przemówił głosem, w którym czuć było hamowane wzruszenie:

— Proszę cię, kochany Dom Luizie, wytłómacz Ulli. bo może tobie, jako najbardziej doświadczonemu — uwierzy, że jej organizm zgoła się do tutejszych warunków nie nadaje...

Teraz ja zabrałem głos.

— To prawda. Ullo! — rzekłem. — Mogę ci powiedzieć szczerze, iż rzadko na kim zdarzyło mi się widzieć tak fatalny wpływ afrykańskiego klimatu, jak na tobie...

Spojrzała na mnie chmurno.

— To i cóż stąd sir?

— To stąd, moja droga, że gdyby tak dalej poszło, nie ręczyłbym wcale za twoje życie...

— Widzisz, Ullo! — wtrącił Don Oskar. Machnęła ręką.

— Mniejsza z tem!... i tak kiedyś umrzeć trzeba...

— Zapewne. Ale to "kiedyś" w zwykłym porządku rzeczy bardzo jest jeszcze dalekie dla ciebie, a przyspieszając je sobie ze świadomością, stawałabyś się winą grzechu samobójstwa...

— O, tak, Ullo! zawołała pani Karina — i my na to pozwolić nie możemy!

Ulla była bardzo religijną. Moje słowa uczyniły na niej widoczne wrażenie; milczała jednak.

W każdym razie — ciągnąłem dalej, potęgując szturm — ciężka to rzecz leżeć na obcej ziemi...

Drgnęła; brwi jej ściągnęły się, jakby pod wpływem fizycznego bólu.

— Na obcej ziemi! — powtórzyła. — Na obcej ziemi... O, tak, sir, to straszne!

— A to ci grozi... Nawet, niema co obwijać w bawełnę, jest nieuniknione, jeżeli będziesz trwała w swym uporze. Mówisz, że kochasz twoich państwa, i chciałabyś zgotować im tak ciężkie zmartwienie!... Pomyśl tylko! Tymczasem, wychodząc za Jerry'ego, nietylko będziesz miała dobrego męża — (tu Ulla skrzywiła się wymownie) — ale jeszcze odzyskasz zdrowie i wrócisz w twoje strony...

— W moje strony... — powtórzyła znowu, ale już zupełnie innym głosem.

— W moje strony!

Stała przez chwilę, jakby upojona dźwiękiem tych słów, oddychając szybko ze spuszczoneymi powiekami, na których drżały dwie bujne łzy.

Nagle podniosła głowę.

— Nie! nie! — wykrzyknęła namiętnie. — Nie kuś mnie, sir! A o tej śmierci to wszystko strachy... Nie będę moim państwu ciężarem... niech się mnie nie chcą pozbyć... A za tego... za tego Anglika nie pójdę... za nic! za nic!... Co mi to za mąż, co mojej mowy nie rozumie... Jaby się wstydziła z nim między swymi pokazać!... O, ja nieszczęśliwa! Nie chce! nie chce!

Rozpłakała się gwałtownie i, twarz rękami zasłaniając, wybiegła z pokoju.

— I cóż teraz będzie? — zapytała żałośnie pani Karina. — Widzisz pan, co to za złote serce... A ten biedny chłopak!... tak mi go żal... On ją widocznie bardzo kocha... Cóż mu pan powiesz?

— Nic mu nie powiem jeszcze — odrzekłem. — Trzeba czekać na pierwszy paroksyzm febry... Wtedy wszystko inaczej się jej przedstawi. Przewidywania moje okazały się trafne.

We dwa dni potem Don Oskar przysłał do mnie murzynka z kartką donosząc, że Ulla w nocy miała silny atak febry, że z nią rozmawiał znowu i że byłoby dobrze, gdybym nie zwlekając, przybył z Jerrym na fermę.

Rzekłem więc do mego rozkochanego służącego:

— No Jerry, umyj dobrze ręce i włóż czysty surdut. Dzisiaj odbędą się twoje zaręczyny...

I odbyły się te najdziwniejsze chyba zaręczyny pod słońcem. Gdyśmy przyszli na Karinafield, Don Oskar wprowadził nas zaraz do bocznego pokoju, będącego sypialnią Ulli, a zarazem rodzajem garderoby, bo stały w nim dwie ciężkie szafy miejscowej roboty i kilka kufrów. Pokój to był duży i bardzo starannie utrzymany, a łóżko młodej służącej olśniewało białością muślinowej mustikiery i wysoko spiętrzonej pościeli.

Ta pościel była jej dumą. Na noc musiała większą, jej część usuwać, bo byłaby się chyba upiekła wśród tej toni pierza; ale w dzień wszystko wracało na swoje miejsce. Ulla spoczywała w głębokim, maderskim fotelu pod oknem, okryta luźno puszczonej bluzą, z kosmykami mokrych włosów na powleczonej febryczną żółtością czole. Była poprostu brzydką. Siedząca obok niej pani Karina, poiła ją kokosowem mlekiem. Wejście nasze nie zrobiło żadnego wrażenia na chorej. Przystąpiłem do niej i wziąłem ją za rękę, chłodną i wilgotną. Jerry pozostał na progu onieśmielony.

— Ullo — rzekłem, przystępując wprost do rzeczy — przyprowadziłem ci twego narzeczonego... Wszak się nie mylę, nazywając go twoim narzeczonem...

Skinęła głową.

— Wszystko mi jedno, sir... — wyszeptała bezdźwięcznym głosem. Jerry złożył ręce, jak do modlitwy. Myślałem że ryknie płaczem z nadmiaru szczęścia.

— Przyprowadziłem ci go — ciągnąłem dalej, kując to gorące żelazo — aby z ust twoich stanowcze słowo usłyszał. Wiemy wszyscy kochana Ullo,

że jesteś zacną i rozumną dziewczyną i rozumiesz ważność przyrzeczenia.
Zbliźno się, Jerry!
Przeszedł przez pokój, jak pijany, i stanął przed

nią, patrząc w tę wymizerowaną, pożółkłą twarz dziewczyny, tym pięknym wzrokiem szczerego uczucia, które się niczem nie zraża. Był w tej chwili prawdziwie wzruszającym i godnym nazwy człowieka. Duch i serce w nim żyły, zwierzęcość spała. Pani Karina pochyliła się nad Ullą, i szepnęła jej coś do ucha. Dziewczyna podniosła oczy o matowych, żółtawych białkach, i popatrzała na Jerry'ego bez niechęci, ale z najwyższą obojętnością. Nawet cień rumieńca nie wystąpił w tej chwili na jej blade policzki.

— O! o cóż tobie chodzi, master Jerry? — poczęła mówić wolno, apatycznie, ruszając ramionami. — Po co te wszystkie awantury? Nie lepiej tobie siedzieć u twego pana, a mnie u moich państwa?...

— O, miss Ullo! droga miss Ullo! — wykrzyknął biedny chłopak. — Jabym ci nieba przychylić pragnął. Szanować cię będę, jak żaden mąż na świecie! Ale ty tu nie możesz zostać.

— Słyszałam to już, słyszałam! — przerwała z pewną niecierpliwością. — Niech już raz będzie temu koniec!

— Więc zgadzasz się?

— Tak. Ale pod warunkiem, że mnie zawieziesz do Szwecyi, mister Jerry... Twój pan mi to obiecywał. Potem możesz tu sobie wracać jak ci się podoba.

Przymknęła oczy, znużona wysiłkiem.

Jeny położył rękę na sercu.

— Przysięgam! — rzekł uroczyście — i tak niech mi Najwyższy dopomoże!

Dobył z bocznej kieszeni surduta małe pudełeczko i stał przez chwilę w milczeniu, obracając je w palcach, mocno zmieszany, ukradkowymi spojrzeniami błagając mnie o pomoc. Domyśliłem się, co to było. W przewidywaniu upragnionej przyszłości, przywiózł był z sobą z Anglii pierścionek złoty z kociem oczkiem; nieraz widywałem go, jak stojąc za ladą faktoryjną, wyciągał go z kieszeni i przypatrywał mu się z najwyższą lubością.

Co się tyczy Ulli, ta nosiła zawsze na palcu wążką obrączkę, z turkusową niezapominajką. Rzekłem więc do niej, pełniąc w dalszym ciągu rolę swata.

— Potrzeba, Ullo, abyście zamienili pierścionki...

Ale Ulla cofnęła żywo swoją rękę i zawołała:

— Nie, nie!... nie dam mu tego... To pamiątka od mojej pieszczotki Hildy, gdy zaczęła chodzić... Nikomu z moich bym nie dała... Cóż dopiero jemu! Trudno było o wyraźniejsze oznaczenie porządkowego miejsca, jakie przyszły oblubieniec zajmował w jej sercu.

— Sir!... — rzekł Jerry cierpliwie — Ja nie żądam jej pierścionka... niech tylko mój weźmie.

I patrzył na mnie z niezmaconą głębią swego uczucia, aż mi go się szczerze żal zrobiło.

Pani Karina przyszła mu z pomocą: wzięła rękę Ulli łagodnie lecz stanowczo, i podała ją Jerry'emu. Nigdy bardziej nie uderzyło mnie wrodzone — że się tak wyrażę — "dżentelmaństwo" tego chłopca z ludu. Jak wtedy, kiedy ujął w obie dłonie dużą, twardą pokłutą od igły rękę swojej dziewczyny. Żaden wykwinny młodzieniec nie byłby tego uczynił z większą tkliwością i czcią dla pieszczonej, łabędziej rączki królowej salonów.

Ulla nie spojrzała nawet na pierścionek, ale podczas gdy Jerry, cały drżący, wsuwał go na jej wychudły palec, odwróciła się ku mnie; oczy jej mętne i przygasłe, zajaśniały na chwilę: nieopisany wyraz przewinał się po jej sinych wargach i głosem przejmującym wymówiła:

— Zobaczę Szwecję!

Ponieważ świeżo zaręczona para nie miała sobie nic więcej do powiedzenia, a dzień był roboczy, więc wróciliśmy niezwłocznie do miasta, ja nawpół rozśmieszony, a nawpół wzruszony tą sceną, a Jerry, nie posiadający się ze szczęścia, że tak chętną i obiecującą oblubienicę zdobył.

Ale to zdobycie nie było jeszcze zupełnem. Ilekroć Ulla czuła się zdrowszą, natychmiast oświadczała, że wcale za męża iść nie myśli, i zrzucała pierścionek; narzeczony zaś tylko bezpośrednio po pa

roksyzmie mógł się przed nią jawić; inaczej bowiem prawiała mu impertynencye lub zanosila się od płaczu.

Okręt, mający ich zabrać do Europy, spodziewany był za trzy tygodnie, to jest przeciąg czasu, aż nadto wystarczający na ich przedślubne przygotowania. Oboje mieli wszystkie swoje papiery w porządku; pozostawało tylko iść do meetinghouse po błogosławieństwo tutejszego misjonarza Mr. Jamesa Bell; zaś cywilnego aktu, stwierdzającego ważność ich małżeństwa wobec prawa, dopełnić miał konsul angielski w Kalabarze, pierwszej stacyi poślubnej podróży, gdzie ich kilkodniowy postój na kotwicy czekał.

Rzecz prosta, iż przy tak osobliwszem usposobieniu panny młodej i stanie jej zdrowia, nie było żadnej mowy o weselnej zabawie.

Pani Karina zaledwie wymogła na Ulli, żeby w dzień ślubu przywdziała swój strój narodowy, oddawna w kufrze złożony, który jej własną ręką odświeżyła i nowymi dodatkami przybrała.

Ulla zgodziła się. ale o mało co nie wynikła stąd katastrofa.

Ceremonia ślubna naznaczona była na dwa dni mniej więcej przed oczekiwaniem przybyciem "Ambriza" z południa; traf bowiem, wytwarzający częściej niżby się zdawało powieściowe sytuacje

w życiu, sprawił, że parowcem, mającym zabrać młodą parę, był właśnie ów "Ambriz", na którym przed dwoma laty poznali i wspólną podróż, niby zapowiedź przyszłości, odbyli.

W miarę jak się zbliżał dzień stanowczy, Jerry stawał się coraz niespokojniejszym; aż raz, nie mogąc już wytrzymać, rzekł do mnie z całą naiwnością:

— Ach, sir! Jakby to dobrze było. żeby ona tego dnia mogła mieć febrę... taki zwyczajny, lekki paroksyzm, sir... Jak będzie zdrowa, będzie na mnie bardzo zagniewana i lękam się, czy stąd jakie przykrości w meetinghouse nie wynikną...

Podzielałem w duszy jego obawy i życzenia. Tymczasem, jak na przekorę, zrobiło jej się lepiej i papiery niefortunnego oblubieńca odpowiednio spadły. Gdy zrana przyszedł na farmę, powiedzieć, że punkt o dziesiątej wielebny James Bell będzie oczekiwał przy swoim pulpicie i poprosił ją nieśmiało, aby na tę godzinę była gotową, kazała mu się wynosić i pilnować własnych interesów, a do niej się nie wtrącać.

— Dotychczas nigdy się nie spóźniłam, mister Jerry — rzekła zaperzona — i robiłam zawsze, co do mnie należało; proszę się o to moich państwa zapytać! Miałabym też od kogo przestroóg słuchać!

Jerry poszedł jak zmyty i, powtarzając mi to, dodał z westchnieniem i z uśmiechem zarazem:

— Nie wiem, sir, czy mam się z tego smucić", czy cieszyć; bo to w każdym razie znak, że jej jest lepiej, znacznie lepiej, sir...

Jednakże Ulla, jak mi to później opowiedziano, chmurna i popłakująca, zaczęła się ubierać. Ale gdy się ujrzała w swej granatowej, sutej spódnicy,

w gorsecie, który trzeba było zacieśniać, bo wisiał na jej wychudłych kształtach; gdy do dziewiczej korony, nowemi wstążkami ozdobionej, pani Karina przypięła jej tiulowy welon, biedna dziewczyna wpadła w gwałtowną rozpacz i wszystko z siebie pozrywać chciała.

— Nie jestem warta nosić tego ubioru! — wołała — nie jestem warta! Wychodzę za cudzego człowieka; biorę ślub w nieswoim kościele... państwa moich opuszczam... nawet w obcej mowie przysięgać będę !... Co warta jest taka przysięga?... Ach! wstyd mnie pali!...

Trzeba było całej stanowczości Don Oskara, łagodnych perswazyi jego żony i pieścizot Hildy, żeby ją jako tako uspokoić. Ślady tej moralnej walki odbiły się na jej rozpalonych niezdrowymi rumieńcami policzkach i w zapadniętych oczach, które, pomimo łez świeżo wylanych, spjrzały tak groźnie i ponuro na przyszłego męża, że biedak aż się zatrząsł.

Oczekiwał on ze mną u drzwi meetinghouse'u i, drżąc ze wzruszenia, powtarzał mi co chwila:

— A jeżeli ona nie przybędzie, sir?... Jeżeli nie przybędzie?...

Przybyła wreszcie w hamaku, z Hilda na kolanach, podczas gdy w drugim, wypożyczonym na ten cel odemnie, niesiono panią Karinę. Weselnej drużyny dopełniał pieszo Don Oskar, mający zastępować ojca oblubienicy przy ceremonii oddawania jej mężowi... " to give her away". jak się to technicznie nazywa. Przodem pędził Vero, dumny z białej kokardy, jaką mu Hilda na obroży zawiązała. Ślub europejskiej pary był czemś tak niezwykłym na FernandoPoo, że co żyło w mieście, wyległo, aby mu się przypatrzeć: hiszpanie, anglicy, portugalczyki, krumani, nawet babisi,

znajdujący się o tej porze w SantaIsabell, cisnęli się do meetinghouse'u, który zdawał się pływać w ludzkim pocie.

Białym, naturalnie, zarezerwowano wygodniejsze miejsca w pobliżu honorowych foteli dla pani Kariny i... de la Rochy; szeptano bowiem, że i gubernator ma zaszczyścić państwa młodych swoją obecnością. Nie przybył jednak, lecz, jak na łaskawego monarchę przystało, przysłał swojego przedstawiciela, w osobie sędziego municypalnego, który zasiadł na trzęsącym, maderskim fotelu z taką miną, jak gdyby całe życie nic innego nie ro

bił, tylko po panujących dworach koronowane głowy zastępował. Ale i wielebny James Bell puszył się przy swoim pulpicie. Temu zdawało się zapewne, że jest co najmniej pastorem wysokiego kościoła (High Church), do którego sekciarze, pomimo dobrowolnego odszczepieństwa, mają zawsze słabość — i to w drodze na kenterberyjską biskupią stolicę. Żądać, żeby puścił nowożeńców, nieopatrzwszy ich mówką na drogę żywota, byłoby to spodziewać się zbyt wiele po angielskim misyonarzu, który, bądź co bądź, był człowiekiem. Powiedział ją więc, a zapal kaznodziejski uniósł go tak daleko, iż zapominając z kim ma do czynienia, zaczął rozpływać się nad szczytnością ich powołania, pozwalającego im szerzyć światło in the dark benighted Africa, umacniał ich przeciw zwątpieniu w walkach z ciemnotą i barbarzyństwem, i wogóle traktował ich jak świeżo upieczoną misyonarską parę, wybierającą się w najdziksze głębie czarnego lądu.

Biedny Jerry, srodze zakłopotany tak niespodziewaną odpowiedzialnością, kręcił się, jak na szpilkach i trwożnie spoglądał na Ulłę, a ta, zmęczona stanem, zaiskrzonym od tłumionego gniewu wzrokiem wodziła po tłoczącej się dokoła niej mozaice różnokolorowych twarzy, których natrętna ciekawość zdawała się doprowadzać ją do ostatniej pasyi. Z jakąż rozkoszą byłaby ich powyrzucała

wszystkich za drzwi, nie wyłączając swego małżonka i wielebnego Jamesa Bella. Wreszcie, straciwszy resztę cierpliwości, w najpatetyczniejszym miejscu jego przemowy, obróciła się ku mnie i rzekła prawie głośno:

— Powiedz mu, sir, aby już przestał, bo ja jednej połowy tego wcale nie rozumiem, a z drugiej sobie nic nie robię. Czy to mój ksiądz?...

Jerry struchlał. Ale, na szczęście, wielebny James, jak nic nie widział, tak nic nie słyszał, i pędził dalej:

— O bliźni moi! — wołał głosem płaczliwym, rozwlekłym jak zepsuta harmonijka. — O, drodzy, drodzy bliźni!... Jakże szczęśliwi jesteście, mogąc służyć Panu na tej pięknej, choć ciernistej drodze. Jakże dumni możecie być, że Pan powołał was na swych przybocznych szermierzy! O ! idźcie na tę nieszczęsną, oplakaną, ciemną ziemię, odważni myśliwcy zbłąkanych dusz! Idźcie na to morze nieprawości i bałwochwalstwa, błogosławieni rybacy serc na dno idących! Idźcie, zespoleni węzłem silniejszym nad wszystkie ogniwa świata, bo nie sama ziemską miłość was połączyła, ale wspólność wzniosłych celów, nad które nic świętszego niema !...

I dalej, w ten sposób rozrzewniał się wielebny James Bell, a misyonowane potonegerki, ukołysane jego głosem, który im niedzielne drzemki podczas

kazania przypominał, zaczynały wzdychać żałośnie, kiwać głowami i przymykać oczy. Reprezentant gubernatora, nie wiedząc dobrze, czy ambasadorom wypada się pocić i lękając się narazić swój urzędowy charakter przez częste użycie chustki do nosa, aż ociekał na swoim fotelu, a Don Mariano, stojący za mną, rozpiął sobie bez ceremonii surdut i koszulę pod szyją, i tak wydekoltowany, szeptał mi na ucho:

— Co za wzruszająca ceremonia!... Zapewne potem będzie śniadanie na farmie?... A może u ciebie, Dom Luizie?... W takim razie i ja przyjdę... Przepadam za rodzinnymi uroczystościami!... Donna Karina jest zachwycająca, nawet gdy jej się na płacz zbiera!... Pan gubernator przygotował prezent dla panny młodej... Co to za hojna natura u tego człowieka!... Sam go jej odda, dziś, na farmie...

Kiedyśmy na wpół ugotowani wyszli z meelinghouse'u, nastąpiła dość kłopotliwa okoliczność: ani moi przyjaciele, ani ja nie wiedzieliśmy, co począć z nowożeńcami. Wprawdzie Ulla wyprosiła sobie, żeby to był dzień jak każdy inny; dla samej przyzwoitości jednak wypadało nie rozłączać ich na samym wstępie.

Ośmielony przezemnie Jerry, wsadził swoją żonę do hamaku i gotował się iść obok, lecz Ulla,

spozrzegłszy, że krumani, niosący jej panią, już ruszyli, rzekła do niego stanowczo:

— Wracajno do roboty, mister Jeny!... Twój pan będzie cię potrzebował pewno w sklepie, a ja mam się pakować i także na próżniaczkę czasu nie znajdę... No, raz już idź!... Dosyć się już ludzie nagapili na mnie z twojej łaski, żebym się pod ziemię schować chciała. Dobranoc!

Chciałem zaprotestować coś w imieniu pokrzywdzonych praw mojego służącego, ale Ulla wychyliła się szybko z hamaku i, składając ręce szepnęła:

— Błagam cię, sir, nie puszczaj go pan dzisiaj na farmę!... Niech mi on choć w tej chwili nie przeszkadza... Może to ostatni dzień... Łzy błysnęły w jej oczach; konwulsyjnie przycisnęła Hildę do piersi i krzyknęła na hamakarzy:

— Go on, boys !

Nazajutrz, po południu, przybył "Ambriz". Ulla siedziała w silnym paroksyzmie febry, który się kończył. Nawpół przytomną, zgorączkowaną i jęczącą z cicha, ubrano i przywieziono na pokład. Biedny Jerry byłby ją chętnie powiózł pierwszą klasą, aby tylko miała jak największe wygody; ale sam czuł, że jemu, byłemu stewardowi, nie wypadałoby żadną miarą zasiadać przy stole, w tym samym salonie, w którym przed dwoma laty podawał pasażerom półmiski; wziął więc drugą klasę,

a tylko wyprosił sobie u Wilkinsa pozwolenie dla Ulli przebywania na dunecie, jeśliby zapragnęła odetchnąć' świeżem powietrzem.

Tam też ją zaraz zaprowadzono i tam odbyło się pożegnanie jej z rodziną Aderskiel'd i ze mną. Wszyscy mówili do niej, wszyscy obsypywali ją błogosławieństwami i życzeniami; małeńka Hilda czepiała się jej szyi i szczebiotała przez łzy; pani Karina całowała ją w głowę, ocierając oczy ukradkiem; nawet Vero lizał ją smutnie po obwisłych rękach, — ale ona zdawała się nic z tego nie odczuwać.

Siedziała w płóciennym fotelu, cicha, blada, nie podobna do wczorajszej Ulli. Było to z jednej strony bardzo dobre, ale z drugiej nadawało temu rozstaniu jakiś złowrogi, pogrzebowy nastrój...

Tak spokojny i drętwy odchodzi tylko umarły od żywych, którzy po nim płaczą...

Nawet słońce zdawało się żegnać tę wpółmartwą dziewczynę, bo zamiast, jak tu najczęściej bywa, spaść w odmęty czerwoną, bezpromienną kulą, szybko, jakby żądne jak najrychlej zażyć kąpieli po całodziennej spiekocie — zachodziło z niezwykłą wspaniałością, pół morza i pół nieba ubrawszy w purpurę i fiolety, a po reszcie horyzontu rozsypawszy niby pęki róż i snopy strzał złocistych.

"Ambriz" gorzał u szczytu, a po wilgotnej jego piersi skośne promienie zapalały opałowe blaski,

że migotało, jak świetna łuska jakiegoś morskiego potwora. Patrzyliśmy na niego z szalupy, odpłynąwszy trochę od burtu, gdy kapitan Wilkins dał nam wreszcie znać, że musi podnieść kotwicę; patrzyliśmy, jak wykręcił się bokiem do słońca i z rozprysniętą na miliony płowych iskierek kitą dymu u czoła, zakołysał się na spokojnym wężowniku wirów zatoki, poburzył je, ściągnął raptem pod siebie i wnet w zapienionych kłębach rozrzuciwszy je daleko, zaczął zwolna dążyć na północ, z tym tajemniczym majestatem odpływającego okrętu, który zdaje się mówić: "Patrzcie! oto idę w nieskończoność!"

I znowu ujrzałem tych dwoje: koniec sielanki zaczętej u tej samej burtowej baryery; ujrzałem tę hożą i piękną przed dwoma laty dziewczynę, taką, jaką ją Afryka Europie oddawała — słaniającym się cieniem, bez kropli krwi w twarzy i bez iskry życia i młodości w duszy; i tego chłopca, takim, jakim go uczyniła miłość: mężczyzną, celów swych świadomym, i odważnie, a wytrwale ku nim dążącym.

Zaczęliśmy powiewać chustkami.

Ręka Ulli podniosła się. leniwie i opadła zaraz; ale Jerry stał za nią: jedno ramię podłożył jej pod głowę, a drugim, wysoko podniesionem, wymachiwał ku nam ruchem ufny i energicznym, jak gdyby mówiąc nim: "Nie lękajcie się o nią; strzedz jej

będę jak źrenicy oka; powrócę ją życiu, zdrowiu i rodzinnym stronom".
I tak zniknęli nam z oczu.

Powrót na farmę był bardzo smutny. Don Oskar nie miał serca upominać żony, która zanosila się od płaczu. Hilda siedziała pomiędzy nami, jak

osowiałe ptaszę Wieczorem wdrapała mi się na kolana i oplatając mi szyję rączkami, szeptała:

— Widzisz, wujaszku Lino... widzisz, jak to dobrze, że nauczyłeś Vera na konika!...

I mężne jej, małe serduszko, walczące do tej chwili z przebytymi wrażeniami, rozplynęło się nagle w rześzystych łzach pierwszej w życiu straty i pierwszej swej, dziecięcej tęsknoty.

VIII.

Ubytek Ulli wielką pustkę sprawił naszym małym kółku. Ta wiecznie chora i tęsknotą pożerana dziewczyna, stała niby poza nami, a jednak z jej odjazdem, coś jakby się popsuło.

Uważałem już przedtem, że pani Karina dziwnie się zmieniła i zamyślała się często, ale przypisywałem to trosce o ulubioną służącą i żalowi po jej odjeździe. Minęło jednak kilka tygodni, a ona, zamiast się uspokoić, stawała się coraz smutniejszą,

coraz widoczniej pozostającą pod wpływem jakiejś dręczącej, tajonej myśli.

Działo się to już w piątym miesiącu rządów de la Rochy. Przez ten czas aksamitne rękawiczki pięknego gubernatora przetarły się trochę i końce pazurów zaczęły przez nie wyglądać. Ten i ów wybryk despotyzmu przypominał elobejskie czasy i coraz głośniejsze szemrania podnosiły się przeciw niemu w kolonii.

Najwięcej miano mu za złe, że bezwzględnie zaufaniem swoim obdarzył sędziego municypalnego Don Juana Garcia y Garcia, znanego łapownika i szubrawca, i że zdawszy prawie zupełnie zarząd w jego ręce, patrzył przez szpary na nadużycia, jakich się ten dopuszczał.

Drugim jego ulubieńcem był Don Mariano, który tak urósł w pychę, że plantacyami Garulli przestał się zgoła zajmować, a tylko wciąż w rządowym domu siedział i, jak wyżeł, myśli de la Rochy węszył, gotów na kaźcie jego skinienie.

Stosunek nowego gubernatora do mieszkańców Karinafieldu wydawał mi się przecież prawidłowym. Bywał tam, o ile wiedziałem, dosyć często, ale nie na tyle, aby to obudzić mogło jakieś podejrzenia. To też odkrycie, które mi przypadek nasunął, było dla mnie wprost uderzeniem pioruna.

Pewnego popołudnia Don Oskar za interesami popłynął był do zatoki SanCarlos i dopiero za dwa

dni miał wrócić; wybrałem się więc odwiedzić jego osamotnioną żonę. Po drodze spotkałem wózek z Hildą, ciągniony przez Vera, a eskortowany przez młodą potonegerkę, Sarę Kennedy, jedyną, uczciwą dziewczynę w całej Santa Issabelli, którą udało mi się nakłonić, aby w zastępstwie Ulli przyjęła obowiązek u Aderskielców.

Małeńka powiedziała mi, że mama posyła ją do miasta po sprawunek: po jedwab niebieski, który ona sama ma dobrać do próbki, a Sara tylko zapłacić — i była tak dumną z tego polecenia, że nie chciała wrócić się ze mną i zostawić spełnienie go Sarze.

Poszedłem więc dalej sam.

Wchodowe drzwi domu, zwyczajem tutejszym, otwarte były na rozcież. Wszedłem po schodach na werandę, a stamtąd do pierwszego pokoju, i do następnego jeszcze, nie spotkawszy nikogo. Trzecie drzwi, zamknięte, wiodły do saloniku, który miał drugie wyjście na boczną werandę. Kładłem już rękę na klamce, gdy z wewnątrz, przez cienką, drewnianą ścianę przepierzenia, nie dostającą w dodatku do sufitu na jakie pół metra, dla lepszej wentylacyi, usłyszałem nagle wzburzony głos de la Rochy i słowa, które mnie przykuły do miejsca.

— Tak! nie zapieram się tego — mówił młody gubernator — wiedziałem, że panią zastanę samą...

Widziałem na skrócie wózek z małą, dążący do miasta. Oddawna należała mi się ta sposobność.

Odpowiedzi pani Kariny dosłyszeć nie mogłem, obity mi się tylko o uszy jakieś drżące, niezrozumiałe dźwięki.

Zdziwienie moje i oburzenie były tak wielkie, iż, owładnięty niemi, nie zdawałem sobie wcale sprawy z tego że, stojąc tak pod temi drzwiami, popełniam bardzo brzydki czyn, który się nazywa: podsłuchiwaniami.

Instynktownie czułem, że nie mogę otworzyć tych drzwi i wejść tam teraz, bez wywołania jakiejś katastrofy, a nogi miałem jakby wrośnięte i cofnąć się nie byłem w stanie.

— Za co ja cię prześladowuję? — wykrzyknął tymczasem de la Rocha. — Pięć miesięcy piekielnych mąk... pięć miesięcy tłumionych pożądań namiętnej miłości, które musiałaś odgadywać, musiałaś czytać w każdym mojem spojrzeniu, w każdym dźwięku głosu, gdyż je tylko do ciebie samej skierować mogłem; pięć miesięcy milczenia i nadziei, że mnie

zrozumiesz w końcu... i ty to nazywasz prześladowaniem?... Przez Boga, pani! mierzysz mnie chyba skalą twego męża! Wyobrażasz sobie, że de la Rocha kocha, jak kochają w twojej lodowatej ojczyźnie, gdzie się na to bierze pozwolenie pastora!

Pani Karina musiała postąpić kilka kroków ku

miejscu, gdzie stałem, bo usłyszałem ja teraz bardzo wyraźnie.

— Milcz pan! — zawołała z uniesieniem. — Jak śmiesz wspominać tu, przedemną, człowieka, któremu w tej chwili najkrwawszą wyrządzasz obelgę, a który mi jest droższym nad życie własne?... Czem upoważniłam cię do tego, abyś mnie tak strasznie krzywdził? Odejdź stąd. odejdź natychmiast!

Nastąpiła chwila milczenia.

Słyszałem bicie własnego serca i zdawało mi się, że powietrze drży od przyspieszonych oddechów tych dwojga ludzi, których nie widziałem, ale których wyobrażałem sobie: jego, dyszącego ku niej nikczemną namiętnością, a ją w majestacie znieważonego anielstwa.

I znowu ozwał się stłumiony, urywany głos de la Rochy:

— Strzeż się pani!... Nie mów ty mnie o swojej miłości dla tamtego; nie patrz tak na mnie temi twymi oczami, w których się zaprzepaściłem na moją, czy na twoją zgubę... Zapominasz chyba, czy nie chcesz wiedzieć, kim jestem... zapominasz o wszystkim, słyszysz pani ? o wszystkim mówię, co ciebie w moc moją oddaje? Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, nie igraj ze mną, bo pożałujesz tego! Mogę cię wziąć... jam cię chciał zdobyć... ale tak, czy inaczej, będziesz... musisz być moją !... Było tyle szau, tyle wściekłej namiętności

w tych słowach, a zwłaszcza w tym głosie, który załamywał się chwilami, aby wnet tem silniej wybuchnąć, że zdrętwiałem. Ale ona nie ulękła się go widocznie, chociaż musiał być strasznym ze swą piekielnie piękną twarzą, drgającą i rozpaloną, z temi oczyma jak żuźle, których żar zdawał się mnie palić przez ścianę.

— Precz, nędzniku!... — wyrwało się z jej piersi wielkim okrzykiem najwyższej pogardy i najwyższego oburzenia. — Precz!

Musiała mu ręką wskazywać drzwi, a on musiał się mimowoli cofnąć o parę kroków, bo usłyszałem hałas potrąconego sprzętu, lecz wnet dziki, szyderski śmiech, nappełnił pokój.

— Ha! ha! — śmiał się zdławionym głosem de la Rocha — ha! ha! Per Dios! Dość już tych póz obrażonej królowej! Może kto inny dałby się na nie złapać, ale mnie one śmieszyć mogą... Pamiętaj, piękna pani, że sama zmuszasz mnie do tego, czego ci oszczędzić pragnąłem... Tak! pragnąłem cię mieć w ramionach moich, zwyciężoną ogromem mojej miłości, oddającą mi się przez upojenie i żądzę; ale skoro tak — będziesz w nich przez upokorzenie i bojaźń... Co się nie stało w Paryżu, stanie się tutaj, jakem de la Rocha i wszechwładny pan wyspy!... Przeznaczenie samo mi ciebie oddaje. Cóż to! piękna Kari, zapomniałaś już, żeś była "Gwiazdą Północy" i że szalał za tobą nieznany ci z nazwiska

markiz hiszpański, jak szalał każdy, kto cię ujrzał z temi rozpuszczonemi na obnażonych ramionach włosami, bujającą na cienkim drucie wysoko nad zbitym tłumem widzów, który ci bił oklaski!

— Boże! — jęknęła młoda kobieta, jakby trafiona w samo serce — Boże! Nastąpiła znowu chwila milczenia.

Mnie poprostu zamąciło się, w głowie. Co on mówił? Co to wszystko znaczyło?... Czy dostał nagle obłądu?...

Mściwy, szatański głos de la Rochy, rozległ się ponownie:

— I cóż ? nie wyrzucasz mnie za drzwi, sroga monarchini?... Ha! ha! ha!... milczysz? spuściłaś oczy? blada jesteś... bledsza niżbyś mi to pokazać chciała! Pamiętasz, wtedy w rządowym domu, drgnęłaś na mój widok... A tam ja twe podejrzenia rozproszyłem... płoszyć cię nie chciałem...

— Boże! — jęknęła znowu — więc się nie omyliłam! O, moje przecucie!... mój spokój utracony!...

— Nie, moja Gwiazdo! nie omyliłaś się... I widzisz teraz, że się na nic nie zdało ciskać promieni niedostępności... Jam cię poznał odrazu; nie miałem jednej chwili powątpiewania, pomimo wszystkiego, co się w tem nieprawdopodobnym zdawało... Ale nie dziw: drugiej tobie podobnej niema! Ty widziałaś mnie tylko razy parę, gdy ja, wmieszany w tłum, widywałem cię prawie każdego wieczora... poilem

się twoją pięknnością, którą matka twoja wystawiała na pokaz w hipo...
— Nie kończ pan! — przerwała mu z rozpaczą — przestań! ulituj się,
jeżeli masz Boga w sercu!

Usłyszałem szelest, jakby osuwającego się na krzesło ciała i kroki de la
Rochy w kierunku owego szelestu. Musiał stanąć tuż i pochylić się nad
nią" bo mówił teraz zniżonym głosem, szeptem prawie; ale ja miałem
nerwy słuchowe tak napięte, że łowiłem nimi każde najciszej wymówione
słowo.

— Tyle kobiet miałem w objęciach — szeptał de la Rocha, stopniowo w
coraz większą rzewność przechodząc — tyle kobiet od chwili, gdy mi
zniknęłaś z oczu, a przecież zapomnieć cię nie mogłem... Damy wielkiego
świata mdlały z rozkoszy pod moimi pocałunkami, honor i obowiązki
deптаły dla mnie, one, które byłyby sobie poczytały za ublżenie krajem
swych sukien o ciebie się obetrzeć, o ciebie coś jedna odwracała się
odemnie, gardząc moją miłością i mojem złotem. Bo ja ciebie kochałem...
słyszysz? i kocham cię w tej chwili całym mojem jestestwem!...
Poznałem, że upadł przed nią na kolana i ze łkaniem prawie, głosem tak
zmienionym, jakby z piersi innego de la Rochy wychodzącym mówił
dalej:

— O, przebacz mi! Zapomnij bluźniercze słowa. Szał mi zmysły
poplątał... Widzisz, u stóp się twoich włóczę, jak byłbym się włóczył
wtedy, gdy

byś mi była dozwoliła... Ale ty wolałaś znosić katowanie matki, niż miłość moją... O! uzał ty się dzisiaj nademną; toż warte tego uczucie, które tyle przetrwało. Patrz!... jednym słowem, jednym uśmiechem w ostatniego niewolnika przemienić mnie możesz... Tygrysem byłem przez chwilę, ale psem twoim będę na wieki, tylko mnie kochaj...

Ośmielony jej milczeniem, wyciągnął zapewne ramiona, aby ją objąć, bo zerwała się gwałtownie.

— Nie dotykaj mnie pan! — krzyknęła. — Wolę, gdy się znęcasz nademną, niż gdy przemawiasz do mnie w ten sposób. Wolałabym twoje uderzenie, niż twoją pieśczętę, bo uderzeniem mniebyś tylko sponiewierał, a pieśczętą hańbisz i jego!

Rozległ się trzask krzesła, ciśniętego z furją na podłogę.

— Piekło! — zawarczał de la Rocha — znów ten człowiek na twoich ustach, w twoich myślach!... Nie przypominaj ty mi jego! Nie przypominaj mi, że jest ktoś, co się wdziękami twemi poi... komu się oddałaś... dlatego, że po gospodarsku do ciebie trafić umiał, przed ołtarz cię zaprowadził i dyspozycje swoich obiadów i pieczę o swojej bieliźnie ci powierzył! Strzeż się, kobieto! bo szatan znów budzi się we mnie, szatan takiej zazdrości, że gryzłbym i szarpał tego płowego mięczaka, który teraz wstydzi się może tego, co uczynił, bo inaczej dlaczego by cię wywiózł w te dzikie puszcze, dlaczego by cię

trzymał zdala od świata i cywilizacji?... Kochanką moją być nie chciałaś, a zesłałaś na haremową odaliskę, ty... legalna żono!

Zaśmiał się znów przeszywająco.

— Nie! nie! — przerwała mu namiętnie — to nie prawda!... Ja sama tego chciałam, sama pragnęłam uciec gdzieś daleko, gdzieby nieszczęsna przeszłość moja dosięgnąć mnie nie mogła... lecz ona poszła za mną jak cień... jak cień!...

De la Rocha zaczął się przechadzać po pokoju, a raczej miotał się po nim, roztrącając sprzęty. Kroki jego porywcze rozlegały się w ciszy, jaka po ostatnich, rozdzierających słowach Kariny nastąpiła.

Nagle przystanął.

— Poszła za tobą, aby się stać moim sprzymierzeńcem! — zawołał. —

Wszak ci mówiłem, że jesteś w mojej mocy. Patrz!

Przeraźliwy krzyk Kariny był jedyną odpowiedzią.

Mnie tętna biły jak młoty. Co on jej takiego pokazał?... jaką nową katuszę i zniewagę wynalazł dla tej nieszczęsnej?

Po chwili usłyszałem znów jej głos, straszliwie zmieniony; dźwięczała w nim okropna trwoga i bezbrzeżne zdumienie.

— Skąd pan to masz?... Jakim sposobem... ?

— Skąd mam?... A skąd się miewa takie rzeczy?... Kochanka je daje w chwili upojenia, na

pamiętkę miłości swojej... Ha! ha! Jutro, gdyby mi się podobało, historyjkę tę mogłoby znać całe nasze miasto i ten... twój mąż!...

— Skąd pan to masz? — powtórzyła jak obłąkana.

De la Rocha kipiał; świszczący jego oddech aż do mnie dochodzi).

— Dość, że mam... i nie koniec na tem! Pamiętka miłości, to jeszcze pięknej kobiecie wybaczyć można... Ale ja ją kupiłem... słyszysz?

kupiłem! Słowem dżentelmana poręczyć mogę, że za to jedwabiste złoto

twej cudnej głowy bręczącym, francuskim złotem zapłacił. Widzisz, milczałem tak długo... a odemnie tylko zależało, aby biali i czarni palcami pokazywali sobie tego, o którego honor tak bardzo dbasz, i mówili: Patrzcie, oto mąż tej pięknej pani, która, nim tu przybyła, handlowała swymi włosami!

Błyskawiczne przypomnienie rozświetliło mi mózg.

To śniadanie na "Ambrizie", kiedy Jerry wylał salaterkę, ta paplanina Don Mariana o długim na półtora metra pasmie włosów jakiejś cyrkówki, za które de la Roche miał pięć tysięcy franków zapłacić... Więc to było prawdą?... więc rzeczywiście była tak zupełnie w mocy tego nędznika?... — To fałsz! przerwała z nadzwyczajną mocą. — Pan sam najlepiej wiesz o tem, że to fałsz!

— Tem gorzej dla ciebie!... — odpowiedział. — Gdyby było prawdą, mniejbyś o to dbała, a ja mniejbym ciebie pożądał. Tak, to fałsz; ale kto go dowiedzie? Tobie tylko powiem, że mi te włosy, wycięte ci podczas snu, sprzedała twoja matka.

— Moja matka! — jęknęła głucho młoda kobieta. — O, moja matka! Było coś nieopisanego, coś wstrząsającego zgrozą w dźwięku tych dwóch powtórzonych wyrazów.

I nagle rzuciła się przed nim na kolana.

. — Przez litość oddaj mi pan te włosy!... Już i tak zatrueś mi spokój, zburzyłeś moje szczęście... Poprzestań na tem. To kara, która mi się słusznie należy... Nie miałam prawa, napiętnowana jak byłam, zostawać żoną uczciwego człowieka, matką niewinnego dziecka... Ciebie na mnie leżał, choć winy nie było... ale kto w to uwierzy?... kto uwierzy?!...

Zaniosła się spazmatycznym łkaniem.

— Oddaj mi pan te włosy!... Zostaw mnie już!...

— Zostawić cię? Nigdy! Nie znasz mnie... Każda chwila bardziej mnie do ciebie przykuwa... O! jakaś ty piękna!... Wstań, przez Boga! Nie patrz tak na mnie... nie wyciągaj tych ramion w ten sposób... Zarzuć je raz na moją szyję miłośnie, a zobaczysz czego dla ciebie nie uczynię!...

— Milcz pan!...

Widocznie zerwała się z klęczek; głos jej dźwięczał znów pogardą i oburzeniem.

— Odwracasz się? Karino! Karino! strzeż się... Miłość, taka, jak moja, waży się na wszystko.

Nie odpowiedziała mu nic.

— Słuchaj... upór twój straszne może za sobą pociągnąć skutki, a rezultat będzie zawsze jednaki: musisz być moją!... A jeżeli naprawdę chodzi ci tak o tego człowieka, to pamiętaj, że losy jego trzymasz w swoich rękach...

— Nie ja je trzymam. Bóg je trzyma!

— To cała twoja odpowiedź?

— Jakaż może być inna? Zniżył znów głos.

— Gdy patrzę na ciebie — zaczął de la Rocha, dysząc ciężko — która jesteś pożądanym mojem od tylu lat, to pojąć nie mogę, skąd mi tyle mocy panowania nad sobą, że bawię się w słowa, kiedy to wszystko, co mówię, pocałunkami mógłbym na ustach twoich wypisać!... Urokiem mnie jakimś opętałaś... boś taka bezbronna w tej chwili, w tej puszczy, co nas otacza, że mnie aż lęk ogarnia... O! spróbuj mnie kochać... pójdz w

moje objęcia, zanim cię w nie porwę... życie moje weź za jedną chwilę dobrowolnej rozkoszy!... Kari! gwiazdo moja!...

Słowa płynęły mu z ust, jak namiętna, cichnąca muzyka. Jeżeli tak wyglądał, jak one dźwięczały, to musiał być porywająco piękny w tej chwili.

Zimny pot wystąpił mi na czoło. Gdyba ta kobieta uległa! Gdyby uległa! Jak Ciebie.

I znowu zapanowała cisza za temi drzwiami, które ich kryły. Dłoń moja kurczowo ścisnęła klamkę... Zdawało mi się, że nie wytrzymam i wejść. Ale w tym samym momencie ktoś szybko ku nim uskoczył. Po szeleście sukni poznałem, że to była ona. Oparła się o tę samą deskę, po za którą stałem.

— Ani kroku dalej! zabrzmiał jej głos. — Nie boję się już pogróżek i wstyd mnie pali, że się do prośby przed takim jak pan człowiekiem uniżyła. Rozgłoś o mnie wszystko, co wiesz... Nie możesz wiedzieć więcej, niż wie mój mąż; a przecież mam jego miłość i szacunek...

Mniejsza o resztę!... A tobą, panie de la Rocha, brzydzę się i gardzę, i w tej chwili mam dla ciebie tylko jedno słowo: precz!

Umilkła i on milczał także. Myślałem że rzuci się na nią, ale niespodziewana odwaga i hart tych słów obezwładniły go.

— Ha! — wykrzyknął wreszcie — ha! wyzywasz mnie?... Dobrze!

Zapłacisz mi naprzód za to, a potem... zobaczymy!

Dało się słyszeć gwałtowne trzaśnięcie drzwiami, wiodącymi na werandę, odgłos szybko zbiegających po schodach kroków — i wszystko umilkło.

A ona, jak stała za tą drewnianą zagrodą, co ją odemnie dzieliła, tak z głuchym łoskotem osunęła się na ziemię i zaczęła płakać... płakać...

Wtedy odstąpiłem zwolna od drzwi i krokiem lunatyka, niespostrzeżony i teraz przez nikogo, wyszedłem z tego domu, który już nieszczęście sobie zakarbowało.

Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Byłem jak człowiek, któremu nagle zabrakło gruntu pod nogami, i teraz dopiero poznałem w pełni, jak życie moje zespoliło się z tymi ludźmi, jak wszystko, co ich dotyczyło, obijało się o moje serce. Wysiłałem mózg nad tem, co mam uczynić i czy w ogóle coś uczynić mogę? Pragnąłem ich ratować i nie znajdowałem żadnej drogi. Jedno tylko rozumiałem dobrze: że dopóki jakiej takiej równowagi nie odzyskam, niepodobna mi będzie spotkać się z ufnym, pogodnym wzrokiem mego przyjaciela, ani spojrzeć w fatalnie piękne oblicze jego żony. Postanowiłem udać nagły interes i na dni kilka wyjechać do siebie na plantacye, i tam, w zupełnej samotności, wszystko dokładnie rozważyć i jakiś plan postępowania na przyszłość utworzyć.

Nazajutrz była niedziela. Ludzie z farmy przychodzili zawsze w ten dzień do miasta i białe ich togi rozpraszały się po garkuchniach i zaułkach, gdzie każdy miał swój mały, przygodny haremek i swoją klientelę, idącą na lep lagoskich osławionych guseł i lekarstw.

Przechodząc wypadkiem koło jednej z takich garkuchni, utrzymywanej przez deportowanego ku

bańczyka, zobaczyłem w niej Don Mariana, rozpartego za stołem nad kuflem piwa i talerzem pimentów.

Obecność jego w tem nędznem miejscu, gdzie nikt z białych nie uczęszczał, nie zdziwiła mnie, bo usłużny pan mekler de la Rochy wszędzie wcisnąć się musiał; ale inna okoliczność dała mi dużo do myślenia.

Oto — po drugiej stronie stołu siedział headman Lagosczyków Don Oskara, Adamassi. Przez czas trzechletniego blisko pobytu na FernandoPoo, nauczył on się jako tako po hiszpańsku; teraz zdawał się słuchać z wielkiem natężeniem paplaniny swego sąsiada.

Ten ostatni, z nietaktowną poufałością, jaką hiszpanie okazują czasem murzynom, gdy ich chcą sobie zjednać, pochylił się ku niemu, skubiąc fałdy jego białej togi. klepiąc go po rękę i wlepiając swe chytre, świdrujące oczki w jego ponurą, zwierzęcą twarz.

Adamassi milczał; Don Mariano trzepał bez wytchnienia, przerywając sobie tylko dla pociągnięcia z kufła i przegryzienia pimentem.

Widocznie ugaszczał on tu Adamassiego, bo podsuwał mu potężną sklanicę rumu. którego ten pić nie chciał i dymiącą miskę z mięsiwem na kubański sposób przyrządzonem, wykrzykując przytem, aż go na ulicy słychać było:

Come, hombro, Corne! Torna, hombre!... (Jedź, człowiecze, jedź!... Pij, człowiecze, pij!...).

I znów, zniżając głos, szeptał dalej tajemniczo.

Bardzo nieprzyjemne wrażenie zrobiła na mnie ta konfidencja, tem bardziej, iż nie było sposobu jej przeszkodzić. Przerwę im teraz, to się za godzinę znów w bezpieczniejszem miejscu spotkają, jeżeli istotnie coś knują.

Obaj tak byli sobą zajęci, że niespostrzegli mnie wcale, choć przystanąłem na środku pustego zaułka, wprost brudnej, zapadniętej werandki, w której kącie siedzieli, i przypatrywałem się im bacznie, pragnąc coś z gry ich fizyognomii wyczytać.

Ale srogie rysy Lagosczyka pozostawały nieruchome, tylko z pod sfaldowanego czoła, żółte jego białka błyskały płowo, jak u wietrzącego łup szakala; Don Mariano zaś, jak zawsze robił wrażenie człowieka, poddanego elektrycznym doświadczeniom.

Powłokłem się więc dalej, bardziej jeszcze wzburzony i pełen najprzykrzejszych myśli.

W kilka godzin potem odpłynąłem do siebie, zostawiwszy kilka słów objaśniających dla Don Oskara, — ale łódź nie przybiła jeszcze do brzegu, a już rosnący niepokój gnał mnie z powrotem, tak, że przemęczony się całe duże dwa dni, znalazłem się znowu w SantaIsabell.

Napróżno chwile chłodniejszej rozwagi mówiły

mi, że bądź co bądź, żyjemy pod jakimś prawem, i że de la Rocha musi się z nim liczyć; że co innego pogróżka, w szale namiętności rzucona zatrwożonej kobiecie, a co innego spełnienie jej w obliczu świata.

Gdy, wszedłszy do swojej faktoryi, zapytałem starszego służącego, — któremu w zastępstwie Jerry'ego, pomagał tymczasowo młody potoneger, — co słyhać?... nogi zatrzęsły się podemną. Zdawało mi się, że mi będzie zwiastował jakąś okropną wiadomość z Karinafleldu.

Ale na farmie cicho było zupełnie.

I znów parę dni minęło, nie przynosząc żadnej zmiany; tylko raz czy dwa, wieczorem, mignęła mi w ciemności jakaś lagoska toga, a obok niej skacząca sylwetka Don Mariana.

Zacząłem się trochę uspakajać i mówiłem sobie, że jednakże trzeba tam iść, bo dłuższa moja nieobecność mogłaby się wydać dziwną, gdy trzeciego dnia po moim powrocie, w sobotę, wpadł do mnie Don Oskar, blady i zmieniony.

Tysiące najsprzeczniejszych przypuszczeń przeleciało mi przez głowę, gdym go takim zobaczył.

Skoczyłem ku niemu i schwyciłem go za rękę.

— Co się stało?! — krzyknąłem, nie zastanawiając się, że zmiana, jaką w nim spostrzegłem, nie była dostateczną, aby tak wielkie przerażenie z mojej strony usprawiedliwić.

Na szczacie Don Oskar nie spostrzegł tego.

— Ludzie mi się zbuntowali! — odpowiedział. Dziś rano posłałem całą partię z workami kakao do miasta. Nie były jeszcze ważone i na oko wydawały mi się bardziej pękate niż zawsze... ale sami je ubijali onegdaj... Tymczasem w alei mangusowej jeden z "boyów" poślizgnął się i upadł. Powiada, że złamał nogę... ale to nieprawda! Widziałem.

— I cóż dalej ?

— Trzeba trafu, że właśnie w tej samej chwili przechodził tamtędy pomocnik Juanity (tak dla małego wzrostu zwano pospolicie sędziego municypalnego) z policyantem.

— Trafu! — pomyślałem, przypominając sobie niedzielne konszachty Don Mariana z Adamassim.

— Co tam zaszło — ciągnął Don Oskar — dokładnie niewiem, dość, że wszyscy pozrzucali! worki, zabrali tego co się przewrócił i uciekli do miasta. Ja tymczasem na farmie czekam... czekam... niecierpliwie się, bo to kakao tyle jeszcze leży, a parowiec spodziewany jest lada dzień... Idę. widzę worki na ziemi, w błocie ludzi ani śladu; pędzę do miasta i dowiaduję się wszystkiego. Wyobraź sobie, polecili do rządowego domu na skargę, że ja ich przepracowywam, że im każę dźwigać ciężary w dwójnasób przepisaną wagę wynoszące, że tamten z tego powodu złamał nogę, — jednym słowem.

cały szereg kłamstw. Ale, co najgorsze, że nie chcą wracać do roboty.

— Mówiłeś z nimi?

Memu przyjacielowi nagle zaiskrzyły się oczy.

— Mówiłem — odparł, przygryzając wargi — jeszcze wszystka krew kipi we mnie od tego mówienia!... Adamassi odpowiedział mi, jak równemu

sobie, podparty pod boki, z fajką w zębach... A ten Juanito, ta marnota, rozzuchwalał go jeszcze bardziej swoim zachowaniem się, mówiąc o mnie: "este señor" (ten pan). Bosy, wpół nagi murzyn, który u mnie tnie trawę, traktowany jest jak dżentelman! Nie! to się prosi do operetki! tylko że mnie ten komizm wcale nie pobudzał do śmiechu. Widząc, że z nimi do ładu nie trafię, wyszedłem, bo gdybym był dłużej został, z pewnością zrobiłbym awanturę... Umiem dosyć panować nad sobą, ale wszystko ma swoje granice.

— I cóż zamierzasz uczynić?

— Chcę iść do de la Rochy i prosić go, aby wejrzał w tę sprawę i tę hołotę rozumu nauczył. Zawsze okazywał mi dużo życzliwości, zresztą, tu prosta logika i sprawiedliwość za mną przemawiają. Albo jestem ich panem, albo niejestem!... Takiej samowoli płazem puszczać nie można.

— Do de la Rochy? powtórzyłem, mimowoli cofając się.

— Tak. I uczynisz mi wielką łaskę, jeżeli pój

dziesz ze mną. Twoje doświadczenie i wszechstronna znajomość tutejszych stosunków, mogą mi być ogromnie pomocne w wyświeceniu sprawy. De la Rocha jest jeszcze nowicyuszem i mógłby, przy najlepszych chęciach, nieświadomością pobłądzić, zwłaszcza, iż Juanito zdaje się być wyraźnie przekupionym przez tych łotrów i będzie starał się nakrecać sytuację na ich korzyść.

— Ja z tobą do de la Rochy?... — powtórzyłem znowu, nie mogąc pohamować mego wstrętu.

Myśl, że wiedząc, co wiedziałem, miałbym pójść z moim haniebnie skrzywdzonym przyjacielem i patrzeć, jak będzie ścisnął dłoń tamtego nikczemnika i do jego względów się odwoływał, wydała mi się potworną. Don Oskar spostrzegł moje pomieszenie i, naturalnie, mylnie je sobie wytłómaczył.

Przykre zdziwienie błysnęło w moich oczach.

— To jest, ja nie nalegam! zawołał pośpiesznie. — Jeżeli tylko robi ci to jaką różnicę!...

Widocznie pomyślał, że ja nie chcę narażać się Juanicie, biorąc jego stronę. Na to, bądź co bądź, pozwolić nie mogłem.

— Co znowu! — odparłem. — Chodźmy. Poszliśmy tedy.

Na łączce przed rządowym domem, zbici w gromadkę, stali Lagosczycy, rajcując zaciekle. Niezgrabiasz, który uległ wiadomemu wypadkowi, le

żał na trawie, z nogą spowitą przeróżnymi szmatami po same biodro. Spostrzegłszy nas, nie uciszyli się wcale, nie zeszli z drogi, żaden z nich nie skłonił się, jak gdyby to nie ich własny pan przechodził; tylko nienawistne ich spojrzenia przeprowadziły nas chmurnie, a leżący na ziemi zaczął głośno jęczeć.

De la Rocha przyjął nas w swoim prywatnym gabinecie z ujmującą grzecznością. Był tak spokojny, tak układny, iż ledwo własnym oczom wierzyć mogłem, że był to ten sam człowiek, w którego piersiach kipiał taki wulkan namiętności i zemsty. Wysłuchał opowiadania Don Oskara z wielką uwagą, jak gdyby to była dla niego rzecz całkiem nowa.

— Nic mi o tem jeszcze nie doniesiono! — zawołał de la Rocha. — Ależ to oburzające!... Każę natychmiast tu poprosić Don Juanita i rozpytam go

wobec panów. Nie rozumiem co mu się stało ? Powinien był kazać wsypać "headmanowi" dwadzieścia plag, a resztę przepędzić.

Wezwany Juanito, stawiał się po kilku minutach. Małeńki, z twarzą ospowatą, jakby pogryzioną przez mole, chuderławy, brudny, wyglądał bardziej na kieszonkowego złodzieja, niż na przedstawiciela sprawiedliwości.

— Senore Garcia! — zawołał de la Rocha porywczo — co to za historia z tymi ludźmi? Niechaj

niezwłocznie wracają do roboty! Podobne bunty demoralizują kolonię.

— To nie żaden bunt, panie gubernatorze — odpowiedział Juanito z miną niezłomnego Katona z operetki, jak trafnie określił mój przyjaciel parodyę sądownictwa na FernandoPoo — ci ludzie wnieśli skargę i stawili świadków. Niepodobna ich odprawić bez rozpatrzenia sprawy.

— Ach, tak! — rzekł de la Rocha — ach, tak!... I udał głęboko zamyślonego, przyglądając się swojej pięknej nodze. Można było myśleć, iż rozgrywa się w nim walka bezstronności wielkorządcy z uczuciami przyjaźni. Wreszcie podniósł głowę.

— W takim razie, zajmij się pan tem bez straty czasu. Senor Aderskielld nie powinien być poszkodowanym przez najmniejszą zwłokę ze strony sądu.

— Śledztwo w toku — odrzekł Juanito z namaszczeniem trybuna ludu. — Posłałem już komisarza municypalnego z wagą rządową, aby na miejscu zważył corpus delicti, worki z kakaem, których dźwiganie, jak ci ludzie utrzymują, groziło ich życiu.

— Jaki? — zawołałem, nie mogąc już wytrzymać — więc pan je tam każeś ważyć i dozwolisz, aby zostały w błocie i aby się wszystkie kakao zmarnowało?... Pan Aderskiel niema więcej ludzi... To już będzie pierwsze poszkodowanie go ze strony sądu.

De la Rocha i Juanito zamienili pomiędzy sobą błyskawiczne spojrzenie. — Sąd nie jest obowiązany wglądać w takie postronne okoliczności — wycedził Juanito przez zęby — jego rzeczą jest trzymać się ściśle litery prawa.

On mi mówił o prawie! Juanito, który nie wahał się od pierwszego lepszego potonegera brać po dolarze łapówki, by z nim na wspólkę jakiegoś biednego krumana lub bubisa oszukać. Tego już było za wiele! — Przepraszam pana — wybuchnąłem — piętnaście lat już tu jestem i aż za dużo dobrze wiem, w co tutejszy sąd wgląda, a w co nie wgląda!... Zresztą, FernandoPoo, to nie Europa i europejskie prawa tylko mutatis mutandis stosować się tu dają.

De la Rocha odchrząknął delikatnie.

— Senor Lino ma do pewnego stopnia słusność — rzekł. — Kakao tam zostać nie może, choćby dlatego, że trzeba je zważyć w obecności stron... Poślij pan po nie rządowych krumanów.

Po wyjściu Juanity, zwrócił się żywo do mego przyjaciela.

— Widzisz pan, że czynię wszystko, co jest w mojej mocy... Ale nie mogę iść wbrew przepisom... Ludzie są złośliwi... pan wiesz... posądzonoby mnie jeszcze o zbyt dużą stronność...

— Boże mnie broń, abym jej kiedy potrzebował, panie gubernatorze! — zawołał Don Oskar, prostując się dumnie. — Ja proszę tylko o poskromienie nadużycia...

— Bądź pan spokojnym... Ale doprawdy, tak bym serdecznie pragnął być ci pomocnym... Mam jeszcze myśl!... Zawołam tutaj capatace'a (headmana, dowódcę) tych ludzi i spróbuję z nim wobec panów pogadać! Może Don Juan nie umiał wziąć się do rzeczy. Jak ci się zdaje, senor Lino?

— Mnie się zdaje, że Don Juan zawsze aż nadto dobrze bierze się do rzeczy — odpowiedziałem z naciskiem.

Gubernator znowu bystro na mnie popatrzył.

— Istotnie, doskonały to i sumienny urzędnik! — przytaknął, udając, że bierze moje słowa za dobrą monetę. — Ale najlepszemu zdarzy się czasem pobłądzić. A no... zobaczymy!

Po chwili wszedł Adamassi, bijąc od progu pokłony, jak gdyby de la Rocha, zamiast złotego lampasa, miał na szyi zielony sznur wyznawców Mahometa. Na nas nawet nie spojrział.

— Dlaczego przestaliście pracować u waszego pana? — zapytał de la Kocha surowo. — Czy wiesz, że za taką sprawkę mogę was kazać wszystkich oćwiczyć, a ciebie jako naczelnika, zakuć w dyby?...

Wracajcie natychmiast do roboty!

— Wasza wielmożność wszystko może! — od

powiedział Adamassi z tak płaszczącą się pokorą, że aż zakrawało na urągowisko — może nas nawet pozabijać!... Ale my ludzie z Lagos wolimy śmierć, niż nie dobrą służbę. Śmierć jest raz, a służba jest ciągle. Mojemu przyjacielowi krew uderzyła do twarzy.

— Niedobrą służbę — powtórzył. — Dlaczegoż nigdy nie skarżyłeś się przedemną? Powiedz, pozwalam, czy cię kiedy skrzywdziłem?

Mówił po angielsku raz dlatego, że hiszpańszczyzną władał słabo, a powtórę z przyzwyczajenia, bo tak z nim zawsze rozmawiał. Ale dla Adamassiego nie istniał w tej chwili żaden inny język prócz urzędowego.

— Ja będę mówił w sądzie, senor — odrzekł po hiszpańsku. — My ludzie z Lagos umiemy długo milczeć.

— Wy ludzie z Lagos jesteście skończone łotry ! — krzyknął Don Oskar oburzony.

— Doucement, doucement cher monsieur Aderskiel — wtrącił de la Rocha.

Brakowało tylko, abym ja się po portugalsku odezwał, dla wskrzeszenia tradycji wieży Babel.

Tymczasem de la Rocha łagodząc swą uwagę, poczęstował nas świeżemi cygarami i zwrócił się znów do Lagosczyka.

— Więc czegoż ostatecznie chcecie ? — zapytał niby niecierpliwiąc się.

— My chcemy sądu, wasza wielmożność. Myśmy nie uwierzyli, co o Fernando Poo na całym brzegu mówią, że tu czarnym źle się dzieje, że czarny nigdy sprawiedliwości nie dostąpi, i zostaliśmy tutaj. Jak nas wasza wielmożność przyniewoli bez sądu, to my będziemy musieli opowiedzieć potem naszym braciom, że to prawda. Ale co sąd każe, to zrobimy i będziemy siedzieć cicho; bo my, ludzie z Lagos, wiemy co jest prawo.

— Odejdź — rzekł de la Kocha.

— Słyszeliście panowie — mówił dalej, gdy drzwi się za Adamassim zamknęły. — To zwierzę mówiło prawdę. Fernando Poo ma bardzo złą reputację na brzegu. Pojmujesz drogi panie Aderskiel, że pomimo całej mojej dla ciebie przyjaźni, nie mogę narażać interesów kolonii... Ale mam nadzieję, że się to wszystko jak najpomyślniej skończy.

Uściskał go z wylaniem za rękę.

— Proszę, bądź pan dobrej myśli. Jestem prawie pewien, że odeślemy ich panu złagodzonych jak baranki. Ale zachowanie formy jest konieczne.

Vous comprenez.

— Jak myślisz, na czym się to skończy? — zapytał Don Oskar niespokojnie, gdyśmy wyszli z rządowego domu. — De la Rocha ma niby słuszość i trudno przypuścić, aby trzymał stronę tych wisielców... Z tem wszystkim jest w tem coś, co mi się nie podoba...

Byłem tak oszołomiony potworną obłudą i szatańską przewrotnością de la Rochy, że nie mogłem zebrać myśli, ani nawet zdobyć się na kilka słów

otuchy dla mego przyjaciela. Miałem co do przyszłości jak najgorsze przeczucia.

Nazajutrz wezwano go do sądu. Towarzyszyłem mu tam — i nigdy natura ludzka nie wydała mi się bardziej wstrętą i pogardy godną, jak na tem posiedzeniu, gdzie fałsz, intryga i przedajność zasłoniły się literą prawa, aby zdeptać prawdę i poczucie sprawiedliwości.

Adamassi, wciąż tylko po hiszpańsku rozumiejący, wystąpił z całą litanią skarg. Zarzucał Don Oskarowi, że ich głodził, że ich pędził do roboty w święta, co było prawdą o tyle, iż rzeczywiście pracowali w uroczystości kościelne, które SantaIsabell, jako miasto urzędownie katolickie, obchodziło, ale do których on, jako protestant, mający robotników mahometan, nie był obowiązany stosować się na swojej farmie.

Po wysłuchaniu tych gołosłownych oskarżeń, sąd przystąpił uroczyście do zważenia worków. Liczyły po sto dziewięćdziesiąt do dwustu funtów! Wywarło to wielkie wrażenie; ja nawet byłem na chwilę zdumiony nieogłędnością mego przyjaciela.

— Jeżeli pan każesz dźwigać takie ciężary swoim ludziom — odezwał się zjadliwie Juanito — to można się dziwić tylko temu, że tak długo wy

trwali... Pozwól pan sobie powiedzieć: to poprostu nieludzkie!

Don Oskar osłupiał. Zaczął oglądać worki, jakby, nie dowierzając swoim własnym oczom.

— Ależ to nie moje worki! — wykrzyknął nagle. — Teraz dopiero poznaję... Moje worki miały przez środek linię ciemnoniebieską z czarnymi brzeżkami, a ta jest cała czarna...

— Nie pańskie worki! — powtórzył Juanito. — Jakimże to więc stałoby się sposobem?...

— Nie wiem! — odpowiedział z uniesieniem mój przyjaciel. — Ale to wiem, że to są worki zamienione. Na to przysiędz mogę. Wydałem je Adaniassiemu wieczorem, by je skoro świt, przed workowaniem, na słońcu wywietrzył. Sam mi o tem przypomniał i nawet zdziwiła mnie ta jego troskliwość. Teraz ją rozumiem.

— A ja nic a nic — rzekł Juanito. — Ale może zechcesz nam pan przedstawić swoje worki dla porównania.

— Nie mam ani jednego. Ostatnią partycję dałem Adamassiemu.

— To może faktorya, gdzie były kupowane, poświadczy pańskie zeznanie?

Don Oskar przygryzł wargi.

— Kupowałem je na parowcu "Kiusembo".

— Dziwny zbieg okoliczności! — mruknął Juanito.

Mój przyjaciel rzucił się gwałtownie.

— Co znaczą te słowa — zawołał, przystępując do niego. — Zażądam wytłómaczenia ich, ale po za obrębem tych ścian, panie Garcia y Garcia! Juanito szybko schował się za swój stół sędziowski.

— Ja tu nie jestem człowiekiem prywatnym — odrzekł majestatycznie, ale wszystkie znaki po ospie zbieleły mu nagle, przez co j ego żółta, zwiędła cera, zrobiła się zupełnie podobną do kawy ze zwarzoną śmietanką, bo tchórz to był sławny. — Niech się pan nie unosi. Osoba sędziego jest nietykalną, zwłaszcza też dla oskarżonego.

Don Oskar spojrział na niego z nietajoną pogardą.

— Powtarzam, że to nie są moje worki! — zawołał.

Głos jego brzmiał taką siłą przekonania, że Juanito zmieszał się trochę.

Ale wnet, odzyskując swoją rzymską powagę, zwrócił się do

Adamassiego, który stał nieporuszony, jak gdyby to wszystko nie miało związku z ich sprawą.

— Czy słyszycie, co powiada wasz pan? — rzekł sędzia. — Co macie do odpowiedzi na to?

Adamassi wystąpił na środek pokoju. W czystej todze, udrapowanej malowniczo na swych potężnych ramionach, w wielkim białym zawoju, przysłaniającym zwierzęce linie jego pofałdowanego czoła, z jedną ręką, okręconą różańcem, a drugą.

piastującą małą, pękatą książkę z modlitwami z Koranu, ze swemi ponuremi oczyma, których dzikie migotanie zadawało kłam sfinksowej nieruchomości jego rysów, — odcinał się on od tła tej izby sądowej, uzurpującej mizernie europejskie urządzenie, dziwnie artystyczną, coś byronowskiego w sobie mającą, charakterystyką swej białej postaci.

— Ja tego nie rozumiem, wasza wielmożność — odezwał się tak płynnie, jak gdyby powtarzał już z góry nauczoną odpowiedź. — Jestem biedny, kolorowy człowiek, a nasz dawny pan (wyraz "dawny" wymówił z naciskiem) jest biały i możny.

— To nic nie znaczy — przerwał łaskawie Juanito. — W obliczu sprawiedliwości jesteście sobie obaj równi.

— Słyszałeś? — syknął przez zaciśnięte zęby mój przyjaciel, ściskając mnie konwulsyjnie za rękę.

Tymczasem tak zachęcony Adamassi, rozpoczął przemowę, najdziwniejszą mieszaninę pochlebczej uniżoności, z umysłu szarżowanej ciemnoty, kłamstw i wykrętów. Powtarzał stale, że nic nie rozumie. Worki dał mu pan; patrzył potem jak workowano i nic nie mówił. Worki są te same, a jeżeli nie te same, to je czarami zamieniono. Przeciw czarom ludzie nic nie poradzą... To tylko wie, że gdyby nie nadzwyczajne lekarstwa, jakich tajemnice posiada, ludzie jego dawnoby już pomarli z przeciążenia pracą i znęcania się nad nimi. Pan

ich jest czarownikiem: on się tego domyślał i bał się go, — więc dlatego tak długo milczał i znosił wszystko; i teraz może byłoby tak samo, gdyby wypadkiem policyant i tamten senior nie byli nadeszli, kiedy jeden z jego ludzi padł pod ciężarem i złamał nogę, i pewno już nigdy prosto chodzić nie będzie. Domaga się więc sprawiedliwości, ale i teraz lęka się bardzo, czy pan sędzia, chociaż taki mądry i łaskawy, nie zostanie zaczarowany na ich krzywdę, bo czary wszystko mogą.

I raz wlaższy na owe czary, wojował nimi dalej, wiedząc doskonale, że jako murzyn i barbarzyńca, może się bredniami wywijać i zasłaniać tam, gdzie od cywilizowanego Europejczyka zażądano jasnej i ścisłej odpowiedzi.

Juanito słuchał go, nie przerywając. Następnie zamyślił się głęboko, wzniosł oczy do sufitu, jakby wzywając natchnienia jakiejś niewidzialnej Erynni i bardziej niż kiedykolwiek na ton Numy Pompiliusza nastrojony przemówił uroczyście:

— Senior Aderskiel! Twierdzisz pan, że worki są zamienione, nie możesz jednak tego udowodnić; strona przeciwna stanowczo temu przeczy, ale

także nie udawadnia swego przeczenia; pozostaje jeden fakt konkretny, namacalny: waga worków. Przykro mi to powiedzieć, ale takt ten potępia pana niezbitcie.

— Waga byłaby inną, gdyby worki nie były za

mienione — rzekł Don Oskar, siląc się na zimną krew. Moje worki nie ważyły nigdy więcej nad sto piętnaście do stu dwudziestu funtów. Mogę to udowodnić rachunkami mego agenta w Barcelonie.

— Oh! oh! toby nas zbyt daleko zaprowadziło — odpowiedział Juanito.

— Zważywszy jednak wszystkie okoliczności, sąd o tyle bierze w rachubę słowo pana, że nie czyni cię odpowiedzialnym za to nadużycie w takim stopniu, w jakimby mógł. Jest to pierwsza dopiero skarga jaką rozpatrujemy przeciw panu i uważamy za właściwe z tem się liczyć.

— O, źle! — pomyślałem. — Juanito zaczyna być uprzejmym. Coś bardzo niedobrego stąd wyniknie !

— I dlatego — ciągnął sędzia municypalny niemal z przymileniem — sąd poprzestaje jedynie na rozwiązaniu kontraktu, zawartego pomiędzy panem a tymi ludźmi, uchylając wszelkie inne ich pretensje, a mianowicie: o pieniężne wynagrodzenie dla indywiduum, które złamało nogę, o dwadzieścia worków ryżu za niedomierzane im — jak zeznają — w ciągu ubiegłych lat trzech racyę i o sto funtów solonego mięsa... Sądzę, że pan jesteś zadowolonym?

— O Ała! Ała! — zajęczał Adamassi. — Kolorowego człowieka wielki sąd nie pyta, czy jest zadowolonym? Kolorowym ludziom zawsze dzieje się krzywda na FernandoPoo!...

— Milczeć! — krzyknął z udaną surowością Juanito.

Mój przyjaciel zbladł bardzo.

— Jak to mam sobie tłómaczyć!... — zapytał.

— Poprostu tak: że wypłacisz pan tym ludziom tylko tyle, ile im się do dnia dzisiejszego należy, oraz pasaż powrotny, i możesz sobie choćby w tej chwili zakontraktować inną partycę. Będzie to dla pana nawet z korzyścią, bo niechętny sługa jest żadnym sługą.

Juanito mówił to w taki sposób, jak gdyby na FernandoPoo istniały kantory robotników, do których tylko należało się zgłosić, aby wnet dostać tyle rąk do pracy, ile się zapragnęło.

Don Oskar milczał przez chwilę, jak człowiek, którego nagły cios ogłuszył.

— To żarty chyba! — wybuchnął wreszcie. — Najbezczelniejszy bunt zdemoralizowanej hałastry znajduje u sądu poparcie? Mam ich wypłacać przed terminem i odprawiać w czasie zbioru, kiedy każdy dzień bez ludzi naraża mnie na nieobliczone straty?!... To być nie może! Protestuję przeciw takiemu wyrokowi!

Juanito uśmiechnął się nieznacznie. Małe jego oczki tkwiły w pięknej pobladłej twarzy mego przyjaciela, jakby rozkoszując się jego wzburzeniem.

— Owszem... protestuj pan na Kanaryjskie wyspy() — rzekł z ironią — służy panu prawo. Ale tymczasem ja ogłaszani wyrok. Możecie iść — dodał, wyciągając rękę w stronę Adamassiego — nie służycie już u waszego pana...

— Ała ho akbar! Ała ho akbar! (chwała Bogu !) — powtarzał Adamassi i bił pokłony, a ilekroć oderwał czoło od podłogi, rzucał na oniemiałego Don Oskara mściwe, uragliwego tryumfu pełne spojrzenia i wstrętne jego rysy wykrzywiały się tłumionym, wewnętrznym chichotem.

Nie było co robić więcej w sali sądowej. Wyszliśmy — i w milczeniu, którego żaden z nas jednym wyrazem nie przerwał, skierowaliśmy się do mojej faktoryi.

Dopiero, gdyśmy się znaleźli sam na sam, w zamkniętym na klucz pokoju, mój przyjaciel padł na krzesło, ścisnął obu dłońmi czoło i rzekł głucho:

— Zrujnowali mnie!...

Milczałem; a on po chwili mówił dalej tym samym bezdźwięcznym głosem:

— Ośmnastu ludziom wypłacić trzyletnią pensję w złocie angielskiem i pasaż! Wszystka gotówka, jaką jeszcze posiadam i posiadać mogę, nie

wystarczy na to!... I to, musiałbym ją ściągać dopiero z Europy i czekać na sprzedaż terazniejszego kakao... A ono tymczasem gnije mi na drzewach; worki leżą, parowiec za parę dni spodziewany... o ludziach, żeby ich skąd dostać, ani marzyć... Boże! w głowie mi się przewraca... Co ja zrobię ?...

A taka już miałem nadzieję, że za rok wybrnę przecież z tych ciężkich początków, w jakie mnie Garulla wpędził... Zbiór był taki pyszny... pola tak świetnie prosperowały... Zaczynałem oddychać.. a tu nagle... taka klęska! Zerwał się z krzesła.

— Ależ to podłe, nikczemne! To intryga jakaś... Ci ludzie z własnego natchnienia tego nie zrobili... Ktoś ich podszczuł!... Ale kto? W kim ja tu mam takiego wroga ?

Gwałtownymi kroki zaczął chodzić tam i na powrót po pokoju.

— Co czynić?... co czynić?... — powtarzał wciąż, dłońmi cisnąć czoło. — Pójść chyba jeszcze do de la Rochy?... Ale on był taki dziwny... Zresztą... Juanito nie narażałby mu się... Gdyby zaś wiedział, że gubernator przeciwny jest takiemu wyrokowi, nie wydałby go... A może chcą mnie upokorzyć, doprowadzić do tego, żebym się płaszczył, okupywał?... Nigdy! wszystko, byle nie to... Choćbym wiedział, że za kilkadziesiąt dolarów, wsuniętych w brudną łapę Juanity, umorzę całą tę spra

wę, nie uczyniłbym tego. Dla mnie, ten, który daje łapówkę, równa się temu, który ja bierze. I do de la Rochy także nie pójde... Dość mnie to już kosztowało!

— Masz słuszność — rzekłem skwapliwie. — Do de la Rochy niema po co chodzić. I ja tak myślę, że co się stało, stało się za jego wiedzą i zgodą.

— Ale dlaczego?... dlaczego?... — wykrzyknął Don Oskar. — Okazywał mi zawsze tyle przyjaźni!

— Przyjaźń hiszpana — rzekłem — to zawsze materyał z podszewką... Odwracać go nie można. A przytem, wiesz, że de la Rocha jest

uosobieniem fantazyi. Może napadła go teraz fantazyja negrofiliska i będzie się bawił w protektora murzynów naszym kosztem. To wszystko możliwe.

— Więc cóż czynić?... — zawołał gwałtownie.

— Przedewszystkiem zapłacić tych ludzi i skończyć z nimi.

— Zapłacić ? — powtórzył z goryczą — łatwo powiedzieć!... Gdyby to było w Europie, sprzedałbym lub zastawił tych parę kosztowniejszych rzeczy, jakie mam, ale tu!... Nie mogło mnie to zaskoczyć w gorszej chwili... Nie mam wcale gotówki.

— Ale ja ją mam! — rzekłem. — Wiesz przecie, iż w tych czasach przysłało mi z Europy kilkaset funtów. Cóż naturalniejszego, że weźmiesz je i oddasz, kiedy będziesz mógł.

Mówiłem to, co myślałem, i byłbym z całej

duszy oddał nietylko zbywające mi pieniądze, ale wszystko co posiadałem, aby zażegnać tę pierwszą burzę, której materyalne skutki wydawały mi się błahe, wobec życiowej konieczności, która ją wywołała. Z Don Oskarem jednak była ciężka sprawa. Na nieszczęście, wygadałem się był kiedyś przed nim, że mam zamiar za te pieniądze skupić znaczną partję kakao od drobnych plantatorów, nie posiadających własnych agentów w Europie, i wysłać je do Barcelony; na takiej operacji zarobić można czasem sto za sto. Przypomniał to sobie teraz i odrazu postawił kwestyę na fałszywym gruncie swojej przesadzonej drażliwości i dumy. — Pożyczkę przyjąłbym od ciebie — odpowiadał na wszystkie moje przełożenia — choć nigdy w życiu nie pożyczałem, ale darowizny... nie mogę.

— Słuchaj! — rzekłem, tracąc cierpliwość — mnie się zdaje, że te kłopoty odebrały ci zwykłą trzeźwość poglądów. O jakiej ty darowiźnie mówisz?...

— O takiej, że biorąc te pieniądze, wziąłbym nie czterysta funtów, jakie masz w biórku, ale ośmset, jakie z nich za trzy miesiące mieć będziesz; a ja ośmiuset oddać bym ci nie mógł i ty byś ich odemnie nie przyjął, więc niema o czym mówić.

Ja przecież mówiłem jeszcze bardzo długo i ostatecznie wymogłem na nim przynajmniej tyle, że je

śli na racjonalny procent od nikogo w mieście pieniędzy nie dostanie, zwróci się do mnie.

Po raz pierwszy w życiu byłem na niego rozżalony do głębi; a on, tak subtelny i uczuciowy zawsze, nie domyślał się nawet, jak boleśnie mnie dotknął swoją odmową. Przez te lata tak się z tą rodziną zespoliłem, że pozwalałem sobie na błogie dla takiego kołka w płocie, jakim byłem, złudzenie, iż jestem im blizkim, jak brat, jak ojciec; że mam względem nich obowiązki. Tymczasem Don Oskar, odmawiając mi prawa spełnienia ich, przywołał mnie do porządku, na moje właściwe miejsce, wydziedziczonego ze wszelkich na tej ziemi związków krwi samotnika...

IX.

Na drugi dzień dopiero, po południu, Don Oskar przyszedł znowu.

Od jednego spojrzenia na jego zmęczoną, jakby postarzałą nagle twarz, domyśliłem się, że starania jego co do pożyczki były daremne.
— Przeszedłem po pieniądze... — rzekł posepnie. — Udało mi się pożyczyć zaledwie ośmdziesiąt funtów i to... mam kilku wierzycieli na tę sumę... A! gdyby nie myśl o Karinie i o dziecku!...

Wydostałem z biórka okutą skrzyneczkę i postawiłem ją przed nim. Oparł na niej łokieć i zadumał się głęboko.

— Nie jestem nawet zdolny ci dziękować — przemówił wreszcie z ciężkiem westchnieniem. — Tak mnie ta ofiara twoja dławi, tak mnie ta ostateczność, do której mnie ci ludzie doprowadzili, zgnębiła...

Przyniosłem ci tymczasem czek na tę trochę grosza, jaką mam w Anglii. Ale kiedy ja ci oddam resztę?... Może nigdy, jeżeli tak dalej pójdzie...

— Oskarże! — rzekłem — co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię...

Przywykłem podziwiać twoją żelazną wytrwałość, z jaką szedłeś dotąd, a dziś...

— I ja siebie nie poznaję! — odparł z goryczą. — To nie sama ta historia z Lagoszczykami tak mnie złamała. Nie! Jest w tem jeszcze coś, z czego sobie sprawy zdać nie mogę; jakieś okropne przeczucie, jakiś zabobonny lęk przyszłości, którego nigdy nie doznawałem, a który podciął mnie i kamieniem leży na piersiach... Ciągle mi się zdaje, że to dopiero początek czegoś... czegoś...

— Co znowu! — rzekłem, czując, że blednę. — To zdenerwowanie klimatem. Nie powinieneś mu się poddawać.

— Zapewne, ale wszystko na to się składa, aby je potęgować... Ta farma, taka pusta... jakby wymarła... ani jednego człowieka w polu... a kakao,

jakby na urągowisko, czerwieni się gdzie spojrzeć... Rozpocząłem pertraktacje z bubisami, aby przyszli je zbierać, ale co znaczy taka dorywcza robota? I pytanie, czy zechcą przyjść?...

— A na domiar wszystkiego — ciągnął dalej zniżonym głosem — Karina mnie niepokoi... Biedactwo moje! ta katastrofa sprawiła na niej piorunujące wrażenie, chociaż starałem się przedstawić rzeczy w jak najłagodniejszych barwach... Była już trochę nieswoją, a teraz nie jada, nie sypia, płacze, usta ma zgorączkowane... zastałem ją parę razy chodzącą po pokoju z załamanymi rękami, z jakimś błędnym wzrokiem... Drzę, żeby się nie rozchorowała !

Wzdrygnął się cały i, chwytając mnie za rękę:

— Słuchaj! — wyszeptał z trudnością — ja o uczuciach moich mówić nie lubię... ale gdy pomyślę, że jej mogłoby się coś stać... że cos' mogłoby mnie jej pozbawić!...

Głos mu się złamał; w rozszerzonych źrenicach błysnął ogień jakiejś dzikiej niemal egzaltacji.

— Nie przeżyłbym tego! — zakończył chrapliwie — nie przeżyłbym!...

Zapukano do drzwi i wszedł policyjant z papierem w rękę.

— Usija!() — rzekł zwracając się do mego

przyjaciela — szukani was wszędzie. Byłem na farmie; wasza senora powiedziała mi, że tu was napewno zastanę. Oto wezwanie do sądu. Don Oskar w milczeniu odebrał papier, a murzyn, na mój znak, opuścił pokój.

— Zapewne o wypłatę ludzi?... — zagadnąłem.

— Nie inaczej. Juanito wzywa mnie na godzinę czwartą, dla "ostatecznego rozwiązania kontraktu" w jego obecności. Ha! oddałbym chętnie rok życia, aby mózgi sobie oszczędzić tego upokorzenia obrachunku z moimi własnymi ludźmi — pod dozorem... Co krok, to obelga... Wszystka krew kipi we mnie na myśl o tych łotrach, którzy mi tam, osłonięci protegującem ich bezprawiem, urągać będą! Był tak wzburzony, iż zaczynałem się lękać o mogące stąd wyniknąć przykre następstwa.

— Jeżeli chcesz — rzekłem — wyreczę cię w sądzie? Powiem, żeś chory i załatwię się z nimi...

Wstrząsnął głową przecząco.

— Nie! nie! dziękuję ci... Byłby to zbyt wielki tryumf dla całej tej szajki. Myśleliby, że mnie już zupełnie zmiażdżyli. Na tyle jeszcze siły woli mi zostało, abym im pokazał twarz taką, do jakiej na farmie przywykli... Dotrzymał słowa. Spokojny i surowy, górował nad dyszącą od chciwości gromadą Lagosczyków, która obstała go w sądowej izbie, pożerając wzro

kiem błyszczące w szkatułce złoto, czychając na jaką możliwość omyłki w obrachunku, aby ją wrzaskliwie sprostować i podnieść lament nad krzywdą, jaka się czarnym od białego dzieje.

Ale Don Oskar nie omylił się ani na pół pensa.

Ostatni po swoją należność przystąpił Adamassi. Hardo podparty pod bok, zgarnął wyliczone na stole suwereny, potrząsnął nimi na dłoni, patrząc wyzywająco w oczy swemu dawnemu panu, i z rodzajem obelżywego lekceważenia, jak gdyby ten pieniądz europejczyka był śmieciem, wrzucił je sobie na plecy, w głęboką, nakształt kaptura, fałdę togi, która pod tym ciężarem wyprężyła się jak struna.

Na bladą twarz mego przyjaciela buchnął przelotny płomień. Odczuł mściwą intencję Adamassiego, ale pod latającym spojrzeniem Juanity, który dziś był znowu uosobieniem uprzejmości, pozostał spokojnym i nieporuszonym.

— Za godzinę przyjdźcie na farmę — rzekł do Adamassiego — wydam wam wasze kuferki.

Gdy bowiem Lagoszczycy uciekli, Don Oskar wziął do siebie ich rzeczy i trzymał je pod kluczem.

— O... my tam jeszcze przyjdziemy, senor! — odpowiedział Adamassi wciąż po hiszpańsku i jakimś dziwnym głosem, który mnie uderzył.

Tego wieczoru wyjątkowo długo zasiedziałem

się przy robocie. Parowiec do Europy spodziewany był nazajutrz, a że z powodu sprawy z Lagoszczykami, przerwałem wszelkie moje zajęcia, pozostało mi sporo listów do wykończenia na ostatnią chwilę.

Było już dobrze po północy, gdy zaadresowałem ostatnią kopertę i znużony, wyszedłem na tylną werandę, aby ochłodzić się trochę. Noc była bezksiężycowa, chmurna; od gór chwilami zrywał się silny powiew i grzechotał palmowemi liśćmi w nieprzebitej czerności. Oparłem się o balustradę i machinalnie spojrzałem w stronę Karinafieldu. Ale w tej samej prawie chwili rzuciłem się w tył, zdjęty przerażeniem. W czeluści nocnych mroków, pochłaniających wszystkie kształty, wisiała wielka, różowa plama, pod którą dostrzedz można było wyraźnie strzępiastą, czarną ścianę lasu. Plama ta zdawała się rosnąć w oczach, nabierając od spodu coraz jaskrawszych, falujących jak rzeka, odbłyseków. Nie ulegało żadnej wątpliwości: był to pożar! Lecz pierwej, nim myśl moja zdążyła sformułować to pojęcie i rozwinąć je w szereg dalszych przypuszczeń, stanęła mi przed oczyma, rzucona na złowrogie tło tej łuny — fantastyczna, mściwa twarz Adamassiego, zadźwięczały mi w uszach

ostatnie jego słowa, powiedziane w sądzie do Don Oskara — i odrazu zrozumiałem wszystko.

Jak szalony zbiegłem z werandy, zbudziłem służących i ludzi, porwałem dwie ręczne sikawki, znajdujące się na szczęście na składzie i, co sił starczyło, popędziłem ku farmie.

Wiatr wzmógł się; duże latarnie, niesione przez krumanów, rzucały na czarną drogę drżące smugi światła, i co chwila zdawały się gasnąć; murzyni, podnieceni niezwykłością wypadku, wrzeszczeli jak opętani,

wymachując rękami i ukazując sobie przyświecającą nam zdala, jak fatalny drogowskaz — łunę...

Było coś dantejskiego w tem pędzeniu na oślepe gromady czarnych, zadyszanych postaci, po których ślizgały się konwulsyjne rzuty latarniowych płomieni, w tym strasznym chrzęście wichru, przelatującego górą i w głuchem burczeniu morza, podnoszącem się od dołu.

Tak biegnąc, wpadliśmy w aleję mangusową.

Sklepione mury roślinności zasłoniły nam łunę, czyniąc tem okropniejszemi chwilowe jej przebłyski w miejscach, gdzie przez wytrzebione wyrwy gąszczu ukazywał się nagle zakrwawiony nią szmat nieba.

Większa połowa drogi była już za nami, gdy nawprost, w odległości kilkudziesięciu kroków zamajaczyło czerwone, falujące światło, jak gdyby

od niesionej nisko przy ziemi pochodni. Światło to stanęło raptem; jakieś niewyraźne, białe kształty, poruszyły się w niem; z boku alei za chrzęściły gałęzie — i wszystko znikło, jakby się w gąszcze zapadło...

— Massa — szepnął mi jeden z krumanów, zbliżając się do mnie w biegu — to ludzie z Lagos... Oni tu się gdzieś w krzaki skryli... Jeszcze czary na nas rzuca, albo nas zabijają!..

Za całą odpowiedź przyśpieszyłem kroku, ściskając w ręku rewolwer, który nocą zawsze biorę ze sobą. Ludzie moi, zdjęci nagle zabobonna trwogą, uciekli — i tak, w milczeniu, przerywanem tylko świstem pomieszanych oddechów i tupotem bosych nóg, biegliśmy znowu dalej przez ciemną, jak grób, i jakąś tajemniczą grozą tchnącą aleję...

Jeszcze kilka minut — i wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń ananasowej drogi.

Teraz dopiero pożar, łyskający dotąd ukradkiem przez gęstwinę, zaświecił nam w oczy całą jaskrawością, oślepiając prawie... Zdawało się, że całe Karinafield stoi w płomieniach.

Mimowolny okrzyk wydarł mi się z piersi. Sam nie wiem jak, wyprzedzając pędzących za mną ludzi, znalazłem się na podwórzu i odetchnąłem trochę swobodniej. Dom mieszkalny był jeszcze nietknięty, ale z bambusowego domu robotników pozostało już tylko jedno olbrzymie ognisko.

Pośrodku, na gorejących wiązaniach dachu które, jako z mokrego i nader twardego drzewa zbudowane, opierały się jeszcze płomieniom, stał Don Oskar z siekierą w ręku, z rozwianymi dokoła trupiobladej twarzy włosami, straszny jakąś nadludzką zapamiętałością i rozpaczą, rąbiąc na prawo i na lewo, rozcinając latające na wszystkie strony kawały bambusowego podszycia, które wichurze zrywał i unosił w powietrze, jak ogniste, zniszczenie niosące ptaki.

Drzewo trzeszczało, wiatr szumiał, pobudzone ptactwo leśne ćwierkało; ale po za tymi odgłosami panowała zupełna cisza, żadnych nawoływań, żadnego gwaru i zamętu, jakie zwykle towarzyszą pożarowi, — a ten człowiek, sam jeden w strasznym milczeniu, walcząc}' z wściekłym żywiołem, wydzierający wichurze nasiona dalszej klęski, cały w krwawych blaskach, które z dołu wypełzły ku niemu, jak węże płomieniste, lada chwila w uściskach swych strawić go miały — wyglądał

jak fantastyczne zjawisko, jak duch, co na rozszalałą materię rzucił się tylko z bronią swej energii i rozpaczy.

Przystawiona do okopu drabina z cynkowych łąt, czerwieniła się w upalnym świetle. Lada chwila wiązania dachu mogły się zapaść i pograć śmiałka w morzu płomieni, pod stopami jego rozlanem.

— Oskarże! — krzyknąłem, nic nad ten jeden wyraz wymówić niezdolny. Zatrząsł się i spojrzał w dół błędnym wzrokiem.

— Tam!... tam!... — wykrztusił ochryplym głosem, ukazując siekierą w stronę źródła. — Karina tam... wody!

Krzyknąłem na ludzi, aby brali co było pod ręką naczyń i beczek, i pędzili do źródła; ale w tej samej chwili, na wąskiej ścieżce, która tam wiodła, w krwistym oświetleniu pożaru ukazała się Karina, dźwigająca na swojej głowie wielką, blaszaną stągiew wody.

Postać jej wątła, nawpół okryta narzuconą na bieliznę krótką spódniczką, gięła się pod ciężarem nad siły; woda z niesionego szybko naczynia bluzgała na jej obnażone ramiona i rozpuszczone włosy, a ona biegła prawie, migając bosemi stopkami po czarnej ziemi, wpół nieprzytomna, wpatrzona w górującą nad rozpasanym żywiołem heroiczną sylwetkę męża.

Głośny, urywany oddech do jęku podobny, wydobywał się z jej ust pół otwartych.

Skoczyłem ku niej.

— Na Boga, pani! — zawołałem, dostrzegłszy teraz wyprężone, jak sznury, żyły na jej delikatnej szyi i okropną siność twarzy — Zabijasz się!

Chciałem jej odebrać przydźwiganą od źródła stągiew, której ciężar rosły murzyn byłby dobrze

uczuł, ale nie dała mi, z nadzwyczajną siłą zacisnąwszy ręce dokoła uszaków naczynia. Z oczyma utkwionemi wciąż w jeden punkt, dopadła do płonącego domu i, przegiąwszy się w tył, gwałtownym rozmachem swych nagich ramion chlustnęła całą zawartość stągwi w płomienie. Ogień zasyczał; w czerwonych odmętach pożogi zrobiła się mała, czarna próżnia, jakby od padającego w topiel kamyka, i wnet nadpływająca nowa fala żaru, zalała ten nikły ślad ratunku; tak nikły, dziecięcy niemal wobec potęgi, naprzeciw której śpieszył, tak nikły wobec ogromu wysiłku, którego był dziełem, że łzy stanęły mi w oczach i już na zawsze wypaliły mi pod powiekami dantejski obraz tej nocy czarnej, tej szalejącej wichury i tych syczących płomieni, występujących jak tyłuż wrogów ślepych i nieubłaganych, przeciw tym dwojgu ludziom, tak samotnym, opuszczonym i broniącym się z bohaterstwem, bezsilności swojej świadomościem...

Nim zdążyłem chwycić Karinę za obie ręce i odciągnąć w bok, wołając jednocześnie na Don Oskara, że pomoc jest, żeby schodził z dachu i nie narażał się bez potrzeby, wielki szmat bambusowej łąty, porwany gwałtownym podmuchem wiatru, śmignął w powietrzu, zataczając nad naszymi głowami ognisty łuk w kierunku mieszkalnego domu, a w tym samym momencie drzwi od werandy otwarły się

i wypadła przez nie mała Hilda, za którą biegła jej piastunka, Sara, napróżno usiłując ją zatrzymać.

Dziecko było w koszulce, boso, prosto ze snu zbudzone. Ujrzawszy ojca na dachu, jak na stosie ofiarnym, matkę jakby w obłędzie, rwącą się ku płomieniom, i nadlatującą ku sobie ognistą smugę, — a dalej w głębi, na czerwonym tle łuny, czarne rozpedzone postacie moich krumanów, którzy swym dzikim wrzaskiem napełnili już niedawną ciszę — dziewczynka stanęła nieruchoma.

Ale natychmiast konwulsyjny skurcz rzucił całym jej ciałem; wyciągnęła przed siebie zaciśnięte piąstki, krzyknęła przeraźliwie i padła na ziemię, uderzając główkę o podłogę, zanim wystraszona Sara zdążyła ją pochwycić.

Wpierw nim ja, dostrzegła ją matka. Jednym szarpnięciem wyrwała się z moich rąk i skoczyła ku werandzie, nie widząc już jak jej mąż, osmolony, straszny, zbiegał szybko po chwiejącej się i skwierczącej pod jego stopami drabinie i z podniesioną siekierą pędził za nią, wpatrzony w dach, do którego, jak ognisty pióropusz, uczepił się bambusowy lont pożaru, i lizał filcowe, łatwo zapalne podszycie.

Jakże prędko i do jakiej podniesione potęgi sprawdziły się moje niedobre przeczucia, z jakimi skradając się jak złodziej, opuszczałem przed kilku dniami szczęśliwe progi Karinafieldu. w których

dotąd same jasne geniusze życia zdawały się przemieszkować. Jeden podmuch brudnej namiętności wypędził je i przygnał na ich miejsce klęskę, rozpacz, chorobę...

Zacisnąłem pięście. Ogarnęła mnie bezbrzeżna wściekłość do tego nikczemnika, który w tej chwili zasypiał zapewne spokojnie pod mustikierą swego gubernatorskiego łoża, kołysany lubieżnymi widzeniami wdzięków, jakie drogą przemocy i ucisku zdobyć zamierzał.

Myśli te błyskawicznie przelatywały mi po głowie, kiedym biegł także za nieszczęśliwą parą moich przyjaciół na spotkanie ich dziecka w konwulsjach i ich siedziby w płomieniach.

Ale ludzie moi nadciągali już z zapasami wody. Widok ten opamiętał Don Oskara, który po słupie werandy, ze zręcznością kota, wdrapywał się na dach. W jednej chwili, niepojętym dla mnie przewrotem, odzyskał swą zimną krew. Może zrozumiał iż teraz ratunek musi być nietylko heroicznym, ale i skutecznym — i to go przywróciło na grunt rzeczywistości.

Silnym, pewnym głosem objął komendę nad krumanami i nie upłynął kwadrans, a ogień był opanowany i tylko dogasające zgliszcza domu Lagosczyków rozlewały się na ziemi, jak zaskrzepła rana, wężykami żywej krwi przebłyskująca czerwono.

Co do mnie, nie miałem już myśli, ani oczu dla niczego innego, prócz maleńkiej Hildy.

Dziecko tarzało się po werandzie w drgawkach, wykręcających mu członki z okropną siłą. Przez zaciśnięte ząbki, sączyła się piana, osiadając na zsiniałych usteczkach; oczy były otwarte i wywrócone.

Z trudem zdołaliśmy podnieść biedactwo i zabrać do pokoju. A gdyśmy tak nieśli to cudne dziecięce ciało, bezprzytomne, straszne, nagle gromem nieuleczalnej choroby rażone, oczy nasze spotkały się na chwilę. I nie wiem, jak to się stało, ale bez jednego słowa zrozumieliśmy się i przeniknęli, lepiej niżby tego spowiedź całego życia dokonać mogła. Uczułem lodowe, zimne palce biednej kobiety, zaciskające się dokoła mojej ręki i pojąłem, że tym fizycznym ruchem dusza jej, znękana, strwożona i powiernictwa żadna, czepia się mojej duszy, jak dłoń tonącego lada kruchej deski; oczy jej wielkie, zapadłe, raptem spoczęły na mnie z nieopisanym wyrazem: drugą rękę, którą wraz ze mną podtrzymywała główkę Hildy, wysunęła na chwilę i wskazując nią w stronę pożaru, a potem na wstrząsane okropną czkawką dziecko, powtórzyła trzykrotnie, takim głosem, jakby każdy wyraz był częścią jej rwącego się na szmaty serca.

— To przezemnie!... przezemnie!... przezemnie!...

X.

Lagosczycy odpłynęli.

Los sprzyjał podpalaczom. Jeszcze przed wschodem słońca, "dziki" czyli nieregularny parowiec, którego nikt nie oczekiwał, wszedł do portu, nie sygnalizując się nawet; ci zaś, mając wszystkie powody do pośpiechu, musieli ze swymi manatkami czatować na brzegu i tak się uwinęli, że zanim wiadomość o pożarze rozeszła się po mieście, byli już na pokładzie i daleko od wyspy, zabezpieczeni przeciw sądowym dochodzeniom sprężystego Juanity.

Co prawda, gdyby nawet byli zostali, wątpię, czy byłaby ich spotkała zasłużona kara. Palenie domów, które opuszczali, należało niejako do ich tradycyi i kontraktujący ich Europejczycy byli na to do pewnego stopnia przygotowani.

Dawano im też zwykle nędzne, wpół rozwalone szopy, które oni doprowadzali do porządku, a które po czteroletnim w nich pobycie, sanie się do zrównania z ziemią kwalifikowały.

A i to całopalenie odbywało się inaczej: w biały dzień, za sankcyą właściciela, po przedsięwzięciu z góry wszelkich środków ostrożności przez nich samych. Stara buda szła z dymem — i na tem koniec.

Były to jednak subtelności, w jakie katoński

umysł Juanity nie byłby się zapewne zagłębiał. On byłby widział tylko sam fakt, na którego obronę winowajcy mogli przytoczyć szereg podobnych do tego na pozór faktów. Że — gdyby nie Opatrznościowe zrządzenie losu, które mi pozwoliło pośpieszyć na ratunek — całe Karinafield byłoby obrócone w perzynę, że życie trojga ludzi i mienie ich znalazło się w niebezpieczeństwie, z jakiego nikczemni sprawcy doskonale zdawali sobie sprawę — cóż stąd ?

Mogło się stać wielkie nieszczęście, ale się nie stało. A co się tyczy bolesnych poparzeń, którym uległ Don Oskar, cierpień krzyża, jakie groziły jego żonie wskutek zdźwignania się przy noszeniu wody, i konwulsyj, w jakie z przestachu wpadła Hilda — jakiegoż zadosyćuczynienia za to można było poszukiwać na tych ludziach? Z pewnością nie byłby go poszukiwał mój przyjaciel.

Kiedy po stłumieniu pożaru i zaprowadzeniu jakiego takiego ładu na poburzonej, jak po przejściu nawałnicy, farmie, opuszczałem ją nad ranem, zostawiając tymczasem moich ludzi do rozporządzenia Don Oskarowi, tak on, jak jego żona, nie mieli myśli dla niczego, co nie było ich biednym, chorem dzieckiem.

Siedzieli przy łóżeczku, w którym po minionym ataku leżała Hilda, bledziuchna, wyczerpana, oddy

chająca ciężko, w niespokojnym półśnie — siedzieli bez słowa, bez ruchu, trzymając się za ręce: on osmalony, zaduchem spalenizny przesiąkły; ona, w przemoczonej bluzie, z opadającymi w wilgotnych pasmach włosami, — wszystko troje w przyćmionym świetle lampy do własnych widm podobni... I tak ich zostawiłem, obiecując wrócić, jak mi tylko zatrudnienia moje pozwolą.

Nastąpiło to jednak dopiero około czwartej po południu. Przez ten czas, wiadomość o nocnej katastrofie na Karinafield obiegła całą SantaIsabellę, urastając do fantastycznych rozmiarów. W naszym sennem, kolonialnym życiu, każdy wypadek, przerywający jego zwykłą jednostajność, chwytany bywa łakomie, jak rzadki przysmak, którym aż do niestrawności opychają się wyprowadzone nagle z apatyi umysły.

Raz po raz wpadał ktoś do mnie, do faktoryi, po nocne szczegóły. Ten pytał, czy na prawdę Don Oskar ma oba oczy wypalone; tamten — czy pani Aderskiel w istocie dała dowody takiej nadzwyczajnej siły, że beczkami lała wodę na płomienie, i czy rzeczywiście pękła jej kość pacierzowa?... Ów słyszał na pewno, że mała Hilda umarła z przestachu; inny jeszcze, że ze wszystkich zabudowań na farmie pozostały tylko popioły...

Ale, na dnie tych bredni, które prostowałem jak mogłem, tkwiło jednomyślne oburzenie na

rząd; ogół pracodawców czuł się zagrożonym w swych prawach tolerancya, okazaną zbuntowanym robotnikom jednego z najbardziej szanowanych na wyspie plantatorów...

Oskarżano głośno Juanitę o przekupstwo, nie oszczędzając i de la Rochy. Bezkarne zniknięcie Lagosczyków dolewało oliwy do ognia. Chciałem skorzystać z tego prądu, aby jakiś wymowniejszy, nad puste słowa, objaw sympatyj dla niego przyjaciela uzyskać.

Wszyscy wiedzieli, że w najgorętszym czasie pozbawiono go rąk do pracy; niechby każdy z tych, co tak piorunowali na bezprawia rządu, odstąpili mu po dwóch, po trzech swoich ludzi, dopóki zamówiona przez niego partya nie przybędzie. Ale komu tylko napomknąłem o tem, udawał, że nie rozumie i wysuwał się czempredzej, dowodząc, nie po raz pierwszy, niestety, że poczucia solidarności europejczycy od czarnych uczyć się powinni.

Smutny też i z ciężkiem sercem powlokłem się na farmę.

Nie mogłem oddać moich ludzi Don Oskarowi, choćby dla tej prostej przyczyny, że nie byłby tego przyjął, a tych kilku, których mu zostawiłem bez wyraźnego dla siebie uszczerbku, znaczyło tyle prawie, co kropla w morzu.

Ale nadspodziewanie zastałem gorączkowy ruch na polach, a mój przyjaciel powitał mnie z wypo

godzoną już twarzą, tak starannie ubrany, jak zawsze. Tylko wielka czerwona pręga w poprzek czoła, odbijająca rażąco od wybladłych, zeszczipiałych raptownie policzków i okryte bąblami ręce, mówiły o przebytych w nocy wzruszeniach.

Hilda miała się znacznie lepiej. W południe wypła filiżankę ekstraktu Liebiga i zjadła parę biszkoptów, a teraz spała spokojnie pod okiem nie odstępującej jej ani na chwilę matki.

Powiedział mi to zaraz na wstępie, wybiegłszy na moje spotkanie z bocznej dróżki na pole wiodącej. Dozorował właśnie zbierania kakao. Bubisi, o których mi wczoraj wspominał, dali się jakoś namówić, znęceni obietnicą wysokiej zapłaty — i całą bandą przy dźwiękach bututu (piszczalki), tańcząc i śpiewając przyciągnęli rankiem na farmę.

Wszystko, co żyło: kobiety, dzieci, mężczyźni, rzuciło się na drzewa, jak gdyby chcąc ogołocić je nie tylko z owoców, ale z liści i z kory.

Poszliśmy do nich natychmiast. Byli jeszcze w pełni ferworu. Młode bubisiątka uczone na wiotkich wierzchołkach drzew, zrzucały stamtąd dojrzałe pinie (melony kakaowe), które kobiety siedzące na ziemi, łuskały do koszów; mężczyźni z kotłasami uwijali się dokoła pni, obciążonych owocami, inni dźwigali z ziemi napełnione już kosze i umieszczali je na

głowach kobiet, które chibocząc się lekko pod ciężarem, ociekając spływającym z dna

sokiem kakaowego miąższu, odnosiły je do przeznaczonej na fermentację cynkowej szopy.

Wszystko to odbywało się wśród śmiechów, żartów, nieustającej ani na chwilę paplaniny kobiet, których przenikliwe, cienkie głosy, zagłuszały dzwonięcie kotłasów i suchy szczełk rozbijanych, a twardych skorup pinii. Ci ludzie, nie nawykli do pracy, bawili się nią poprostu, jak dzieci którym nową grę pokazano. Robota, którą w ciągu tych kilku godzin wykonali, równała się trzydniowej pracy tej samej ilości zwykłych robotników.

Zdumiałem poprostu, ujrzawszy te stosy pustych czerepów i przygotowanych już do zafermentowania koszów.

— Bogu dzięki, że choć to ocalało — rzekł, wskazując mi je Don Oskar.

— Jeszcze ze dwa dni zwłoki, a wszystkoby na pniu pogniło. Coby to z tymi ludźmi dokazać było można, gdyby się pracy jać chcieli! Ale nie łudzę się co do tego... Już mi przez swego tłumacza zapowiedzieli, że jutro ani pojutrze nie przyjdą. Ach!... gdyby choć czternastu, gdyby choć dziesięciu ludzi stałych na te dwa tygodnie!... Inaczej ruina... ruina zupełna!...

Zwykłym sobie w chwilach przykrych ruchem potarł dłonią swe białe czoło i mimowolnie syknął, dotknąwszy się bolącej przęgi.

— No, a teraz chodźmy do domu i przybierzmy

wesołe miny! — zawołał nagle. — Biedna moja Karina, ledwo żyje! Za ciężkie to na nią przejścia!

Przy białym świetle dziennym młoda kobieta wydała mi się jeszcze bardziej zmienioną, niż w rubinowych blaskach pożaru. Ani jednej kropli krwi nie było w jej liliowej twarzy, którą nieopisany wyraz tłumionego udręczenia wydłużył i postarzał. Kiedy na powitania podawałem jej rękę, spojrzała znów na mnie głęboko, jak gdyby chcąc przypomnieć mi to wszystko, com w owej okropnej chwili najwyższej rozpaczycy w oczach jej wyczytał.

— Hilda śpi ciągle — wymówiła zniżonym głosem, chociaż znajdowaliśmy się na frontowej werandzie, zdaleka od pokoju dziecka. — Boję się, czy to jest naturalne?

— Nietylko naturalne, ale zbawienne! — odparłem. — A pani, czy spałaś też cokolwiek?...

— Ja?... — powtórzyła ze zdziwieniem, jak gdyby dopiero w tej chwili przypominając sobie własne istnienie. — Nie wiem... zdaje mi się, że nie mogłam.

Don Oskar przystąpił do niej i objął ją w pól.

— Kari moja ukochana! — rzekł poważnie i ze wzruszeniem. — O jedno cię tylko proszę: bądź sobą! Tak przywykłem patrzeć w twoje promienne oblicze i czerpać z niego otuchę i nadzieję!.. A jeśli kiedy, to dziś właśnie powinniśmy być ufni i wdzięczni, bo Bóg szczególną swą łaskę nad nami

okazał... Z tyłu strasznych ciosów, jakie nam tej nocy groziły, żaden nas naprawdę nie dosięgnął, a każdy mógł zdruzgotać... Śmierć, zniszczenie, kalectwo krążyły dokoła nas — i pierzchły...

— Choroba została — szepnęła młoda kobieta — choroba okropna!
— Nie, nie! To nagły atak, który minął bez śladów... zobaczysz, najdroższa! A co się tyczy pożaru... doprawdy, nie żał mi tego spalonego gniazda węzów. Zawdzięczam mu jedno z najśłodszych wzruszeń mego życia: przeświadczenie, na jaką przyjaźń możemy liczyć w potrzebie. Taka świadomość więcej chyba warta, niż garść zgniłych palów i trochę bambusu.

Jedną ręką wciąż obejmując kibić żony, drugą do mnie wyciągnął; pani Karina, nic nie mówiąc, w obie swoje pałające rączki dłoń moją ujęła i tak staliśmy przez chwilę w milczeniu, jakby w jedną zespoleni całość, w bicie własnego serca wsłuchani.

Wtem drgnęliśmy i odskoczyli od siebie, spłoszeni krzykliwym głosem, wołającym ku nam z pod werandy w urywanych zdaniach:

— Dobry wieczór, panowie!... Senora, do stóp się ścielę... Patrzę na państwa od kwadransa... Co za wzruszający obraz... Prawdziwa alegorya! Piękność. młodość, dojrzałość... Gdybym był malarzem!... Rzeźbiarz oddałby pół życia za taką grupę...

Spojrzałem... Na schodach, z kapeluszem w rę

ku, wdzięcząc się i wyginając, stał Don Mariano... Świdrujące jego oczki przelatowały po naszych twarzach, na podobieństwo haczyków, zagłębiających się w dusze, aby z nich na jaw to, co mu potrzebnem było, wyłowić.

Moja obecność była mu widocznie nie na rękę i zapewne dlatego przywitał się ze mną czulej niż kiedykolwiek.

— Senor Aderskiel! — począł młynkować, usiadłszy — widzę zdziwienie na pańskim zacnem obliczu... W istocie... byłoby to wielkie zuchwalstwo z mojej strony... bez upoważnienia... nie mając nigdy zaszczytu witać pana w progach mego domu... który zawsze jest domem pańskim... którym pan możesz rozporządzać, jak i moją osobą... Ale tym razem... nie nazwij mnie pan zarozumiałym... śmiem przypuszczać, że obecność moja będzie usprawiedliwioną... Przychodzę z misją od pana gubernatora...

Zatrzymał się dla nabrania oddechu.

Mimowolnie spojrzałem na panią Karinę. Siedziała nieco w głębi, w zaciemnionym kącie werandy. Jeżeli przed niedawną chwilą zdawało mi się, że nie mogłaby być już bledszą, to teraz przekonałem się, że się mylił.

Z zielonawe] pomroki drzew, w jaką się usunęła, twarz jej zabłysła jakąś srebrną, jakby od księżyca zapożyczoną białością; ręce jej, spoczywające

na kolanach, zacisnęły się mocno, i pochyłona naprzód, ze spuszczoneymi powiekami, od których drgający cień padał na jej marmurowe policzki, zdawała się oczekiwać jakiegoś nowego ciosu.

Don Mariano zerknął ku niej bokiem i poprawił się na krześle.

— Pan gubernator... — ciągnął dalej. — Ale cóż to za człowiek rzadki!...

Nie potrzebuję mówić!... Znamy go wszyscy... Kolonia ma w nim ojca...

Nic nie ujdzie jego baczenia... Oto dowód. Dziś przypadkiem dowiedział się, że pan, senor Aderskiel, jesteś chwilowo bez ludzi... i...

— Pan gubernator nie potrzebował dowiadywać się o tem przypadkiem — przerwał poważnie mój przyjaciel. — Fakt ten stał się z najzupełniejszą jego wiedzą i wolą. Śmiałe te słowa zmieszały widocznie zacnego posła. Zmienił znów pozycję na krześle i sięgnął po chustkę do nosa.

— Qui calor! (jakże gorąco!) Qui calor! — wyrzekł, uciekając się do tego sakramentalnego wykrzyknika, jakim hiszpan na brzegu zapełnia kłopotliwe pauzy. — Hm!... pan masz na myśli tę przykrą sprawę z ludźmi z Lagos... Por Dios! To zupełnie inna historia! Don Juan Garcia y Garcia był może trochę za bezwzględny w swem pojmowaniu obowiązujących przepisów... To jego rzecz. Ja nic nie wiem. Znam się na plantowaniu kakao, ale nie

na kodeksach prawach... Co się tyczy pana gubernatora... to człowiek zasad, senor Aderskiel, człowiek zasad... Może mi pan nie uwierzysz?... Cudzoziemcy są tak względem nas nieufni!... Niemniej prawdą jest, że był zmartwiony tym wyrokiem, równie jak pan... "Jako przyjaciel, zrobiłbym dla niego wszystko — rzekł do mnie — jako gubernator, nie mogę nic więcej, niż dla każdego mieszkańca kolonii". Tak mi powiedział. W

dotatku... może to plotka?... po mieście tyle zawsze dziwnych pogłosek krąży!... lękam się być niedyskretnym, zapytując, czy to prawda, że tej nocy zaszedł u państwa jakiś przykry wypadek... podobno mały pożar?...

— Tak! mały pożar — odpowiedział Don Oskar sztywno.

— Ave Maria purissima! — wykrzyknął Don Mariano, coraz bardziej zmieszany, lecz nadrabiający miną. Ale nic się nie spaliło? nieprawdaż?... To szczęśliwie!.. A w mieście mówiono...

Przełknął ślinę.

— Pan gubernator bardzo się o państwa zaniepokoił... Gdyby nie to, że niezdrów... mały atak febry... sam byłby przyszedł... Senora, kładę się u stóp pani w imieniu pana gubernatora... Senor Aderskiel. pozwól pan uścisnąć dłoń swoją...

W milczeniu przysłuchiwałem się tej paplaninie, nie pojmując jej celu. Pojmowałem tylko, że udrecza ona niewymownie tę nieszczęśliwą kobietę,

która siedziała w swoim kątku, jak zahypnotyzowana dojmującym oczekiwaniem, i byłbym chętnie przerzucił Don Mariana wraz z jego misya, za balustradę werandy.

— Czy to wszystko, co mi pan masz do powiedzenia od pana gubernatora? — zapytał Don Oskar.

Instynktowna odraza, jaką poczuł był do plenipotenty Garulli od pierwszego spotkania na polu. nie zmniejszyła się bynajmniej przez ubiegłe lata i ton, jakim teraz zadał mu to pytanie, starczył za niedomówione wyrazy: — "Bo jeżeliś już skończył, to się wynoś!" Ale Don Mariano wywrócił oczy w niebo i machnął rękami.

— Que barbaridae! nie! — zawołał z patosem. — Pan gubernator... powinienem był na wstępie powiedzieć... ale w tak miłym towarzystwie... wybacz pan... Otóż pan gubernator polecił mi... Co za serce u tego człowieka!... Pan w istocie jesteś zupełnie bez ludzi?...

Mój przyjaciel poruszył się niecierpliwie.

— Que barbaridae!... W takim razie pan gubernator odstępuje panu tylu rządowych krumanów, ilu pan zechcesz... na tydzień, dwa, trzy, miesiąc!... Nastąpiło chwilowe milczenie.

Don Mariano latał znów oczyma po nas, tryumfujący, pewien wrażenia, jakie sprawił. Tym

razem nie omylił się. Były to istotnie słowa niespodziewane: jeden więcej dowód szatańskiej zręczności de la Rochy; nowe przyczajenie się lamparta dla dalszego skoku...

Mój przyjaciel, który nie miał żadnych danych do tych wszystkich przypuszczeń, jakie mnie przebiegły przez głowę — pierwszy ochłonął. Znając jego jasną, skłoną do optymizmu duszę, wiedziałem, że de la Rocha postępkami tym odzyskuje znów w pełni jego zaufanie, że Don Oskar wdzięcznym mu jest w tej chwili podwójnie, bardziej może jeszcze za moralną ulgę, jakiej doznaje, przywracając temu człowiekowi swoją wiarę w jego życzliwość, niż za materialną pomoc, którą mu tamten ofiarowywał. Żem się nie omylił tak wnioskując, o tem wnet przekonała mnie odpowiedź Don Oskara, dana nędzemu meklerowi de la Rochy.

— Panie — zaczął mówić ze swą szlachetną prostotą, która w zestawieniu z intrygą, co się dokoła niego wiała, miała w sobie coś imponującego — pan gubernator daje mi dowód wielkiej delikatności uczuć. Nie potrzebuję

taić, iż dziesięciu ludzi dzisiaj znaczy dla mnie więcej, niż czterdziestu za miesiąc, i że uprzejma ofiara pana de la Rochy ratuje mnie z nader przykrego położenia. Przyjmuje ją wdzięcznym sercem i proszę, powiedz to panu gubernatorowi, nim ja sam pośpieszę mu podziękować.

Spojrzałem znowu na panią Karinę. Nie była już blada i nie siedziała w swoim zacienionym kątku, w postawie wyczekującej. Cios padł; innego się może lękała, ale i ten musiał sięgnąć do głębi i falę krwi gorącej na jej opłatkową twarz wypchnął.

Powstała żywo, postąpiła parę kroków ku nam i zatrzymała się z pochylonem czołem, z obwisłymi wzdłuż sukni rękoma, słuchając odpowiedzi męża. której każdy wyraz serdeczny i ciepły, zdawał się większym ciężarem upokorzenia i wstydu giąć jej głowę ku ziemi. Parę razy otworzyła drżące usta, jak gdyby chcąc coś powiedzieć — i umilkła; parę razy dłonie jej wyciągnęły się ruchem niemego protestu i opadły znowu.

Spotkawszy mój wzrok, odpowiedziała nań błagalnym, jakby pomocy wzywającym spojrzeniem.

Wstałem i zbliżyłem się do niej, stając tak, aby ją przed szpiegowskimi oczyma Don Mariana zasłonić.

— Spokoju! — szepnąłem — spokoju!

— Oh!... — jęknęła tylko, zaciskając dłonie kurczowo.

Tymczasem Don Mariano w podskokach i przegięciach zabierał się do odejścia.

— Senor Aderskiel! — trzepał — jeżelibym śmiał... zaproponować panu moje towarzystwo... Wracam do miasta... za godzinę krumani wracają z roboty... Pan gubernator polecił mi dodać... gdy

byś pan chciał sam ich sobie wybrać... dziś jeszcze służyłbym panu do rządowego domu...

— Bardzo dobrze!... — rzekł mój przyjaciel. — Mnie każda chwila droga. — A więc idziemy?

Don Oskar obejrzał się za kapeluszem, ale w tej samej chwili pani Karina położyła mu rączkę na ramieniu.

— Gabryelu! — szepnęła prosząco — nie chodź dzisiaj... nie zostawiaj mnie samą...

— Czemu, najdroższa?... — zapytał zdziwiony. — Wszak wiesz, że tu nie można czasu tracić. Wrócę niedługo... Tymczasem Lino zostanie z tobą. Nieprawdaż?

— Wiem... wiem... Ale zrób to dla mnie. Nie odchodź teraz!

Don Oskar pocałował ją w czoło z uśmiechem.

— Moje zdenerwowane biedactwo — wymówił łagodnie — pozwól mi w tym razie usłuchać głosu rozsądku. Kochany Lino, wytłómacz jej, że doprawdy iść muszę.

Rzuciła mi znów wymowne, błyskawiczne spojrzenie. Ale pozorna bezpodstawność jej żądania, i do pewnego stopnia mój osobisty punkt zapatrywania się na tę sprawę, nie pozwoliły mi stanąć po jej stronie. Odeszli więc, a ona i ja zostaliśmy na werandzie, przeprowadzając ich oczyma.

Jeszcze nie znikli wśród drzew, gdy pani Karina oderwała rękę od balustrady i, zaplatając je przed sobą, zwróciła ku mnie swą pałającą twarz.

— O! biegnij pan za nim... — wykrzyknęła — wymyśl cośkolwiek... przeszkódź... niech on nie przyjmuje nic... nic... od tego człowieka!

— Pani droga — rzekłem — Wierzaj mi: niema w tem nic uwłaczającego twemu mężowi... Sprawa Lagosczyków w połączeniu z dzisiejszą nocną katastrofą, wywołała zbyt wielkie wzburzenie umysłów w mieście.

Gubernator i Juanito zrozumieli, że się zagalopowali nadmiernie i jedynie ze względu na siebie samych — podkreślam te słowa — chcą w ten sposób ratować sytuację... Ten drobny akt zadosyćuczynienia w pełni się należy Oskarowi... Nie przyjąć go w obecnym jego położeniu, byłoby — daruj mi pani, że to powiem — poniekąd donkiszotyzmem.

— O... gdybyś pan wiedział wszystko... gdybyś pan wiedział wszystko!...

— zawołała gwałtownie — Gdybym ja wszystko powiedzieć mogła!

— Mów pani ze mną tak, jak gdybym wiedział wszystko — rzekłem poważnie. — Zbyt wiele w życiu cierpiałem, abym tego, co dopowiedzianem być nie może, intuicyą doświadczenia zapełnić nie umiał. Pani Karino, mógłbym być twoim ojcem...

Wzdrygnęła się.

— Ojcem?... — powtórzyła z goryczą. — Pan są

dzisz, że pomyślawszy o tem, nabiorę do pana większego zaufania, jako do tego, któryby mógł najlepiej mi życzyć, być moim przewodnikiem i doradcą... Tak być powinno, ale nie zawsze tak jest... Nie zawsze rodzice są opiekunami, Aniołami Stróżami swych dzieci... nie zawsze! Bywają i tacy, którzy są tylko właścicielami żywych przedmiotów handlu i wyzysku, a prawo pozwala im robić z nimi, co im się podoba... Nie wspominaj pan świętego imienia ojca i matki odnośnie do mnie, bo mi to duszę rozdziera!... bo ja nie miałam ojca, nie miałam matki... ja miałam... Urwała. Przerzuciła zaplecione ręce w tył i oparłszy na nich głowę, z której dwa ciężkie warkocze spływały ku ziemi, zaczęła chodzić tam i napowrót po werandzie, jak gdyby zapominając o mojej obecności. Nagle zatrzymała się przedemną.

— Powiedz mi pan — zaczęła szybkim gorączkowym głosem — czy zdarzają się ostateczności takie, w których upadek może się stać bohaterstwem?... hańba najwyższą ofiarą? grzech cnotą?... Powiedz mi pan. co ma czynić kobieta, która widzi, że ściąga nieszczęście na istoty droższe jej nad życie, nad wszystko; czem im da większy dowód miłości i poświęcenia, czy pogardą, zdeptaniem siebie okupując ich spokój; — czy ich byt, ich szczęście, ich zdrowie kładąc sobie za podnózek własnej nieskazitelności?...

Powiedz mi pan, co ona ma uczynić?... bo ja nie wiem... mnie się w głowie mąci... mnie nie nauczono tylu rzeczy !...

Spojrzałem na nią z głębokim współczuciem. Robiła na mnie wrażenie, pięknej, skalnej rośliny, którą przeznaczenie umieściło nad przepaścią, nie dawszy jej żadnej podpory... W istocie, tak mówić i o to pytać mogła tylko kobieta z sercem tak kochającym i ofiarnym, jak miała ona, a której nie nauczono wielu rzeczy...

— Co ma czynić? — odparłem. — Przedewszystkiem i zawsze to, co jej nakazuje honor i sumienie.

— Honor! sumienie! — powtórzyła z rodzajem obłąkania. — Tak... tak... ale czy i one zawsze ze sobą są w zgodzie?... Teraz, w tej chwili, on, mój mąż, kala się przyjaznym dotknięciem ręki tego człowieka, policzkuje samego siebie słowami podzięk i wdzięczności, do niego zwróconemi, a ja... ja to znoszę... ja temu zapobiedz nie mogę... O! czemuż raczej siebie sponiewierać nie dałam?... Czemuż żyję jeszcze?... Jedynym moim honorem i jedynym mojem marzeniem powinna być: śmierć !...

— Pani Karino!... — wykrzyknąłem niemal surowo.

Zdawała się mnie nie słyszeć. Chodziła znów po werandzie, przegięta w tył, z oczyma utkwionemi rozpacznie w sufit werandy, pod którym coraz głębsze zbierały się już cienie...

Od tych cieni padł na jej twarz, wzburzoną i pałającą, jakiś ton posepny, nadający tym rysom zmienionym, a cudownie pięknym zawsze, jakiś jeszcze bardziej tragiczny wyraz...

— Śmierć!... Śmierć!... — powtórzyła parę razy, jakby upajając się dźwiękiem tego słowa. — Nie!... i to nie dla mnie!... I tego zrobić nie mogę, bo bym jego zabiła... a moje dziecko... moje dziecko!... Więc, co począć?... Boże mój! co począć?...

Na progu werandy stanęła Sara, patrząc na nas trochę zdziwionym wzrokiem swych wielkich, czarnych, apatycznych oczu, murzynki.

— Missis — rzekła — mała miss obudziła się i płacze... Musi ją coś boleć, bo zawsze taka wesoła była.

Ująłem panią Karinę za rękę i w milczeniu poszliśmy oboje do pokoju Hildy. Otwierając drzwi przed nią, zatrzymałem się jeszcze chwilę.

— Myśl pani teraz tylko o twojem chorem dziecku, a resztę zostaw Bogu

— rzekłem zcicha. — A jeżeliby ci to jakąkolwiek ulgę przynieść mogło, że jest ktoś, co w obronie waszego szczęścia i twojej czci, na wszystko ważyć się gotów, to i o tem pomyśl także czasem...

— Dziękuję — wyszeptała pani Karina — dziękuję...

XI.

Zalecając spokój pani Karinie, sam byłem od niego bardzo daleki.

Położenie wikłało się coraz bardziej w kształt gordyjskiego węzła, którego skręty uciskały nieznośnie i moją duszę... Czemże dopiero musiały być dla tej nieszczęsnej kobiety?...

Znalezienie się de la Rochy z rządowymi robotnikami, mogło być — tak, jak ja to w pierwszej chwili sobie tłómaczyłem — zręcznym zwrotem, zasłaniającym własną jego osobę; wylaniem oliwy na wzburzone fale opinii publicznej; ale mogło być także — według przypuszczeń pani

Kariny — aktem "wyrafinowanej, cynicznej obelgi, dosięgającej ją w osobie jej męża.

W istocie — gdy Don Oskar wrócił na farmę z dwunastoma krumanami, których sobie wybrał; gdy, ożywiony tą nieoczekiwaną pomocą, zaczął nam opowiadać o serdeczności i subtelnych uczuciach de la Rochy, który, aczkolwiek słaby, zjawił się w rządowej sieni podczas owego wybierania i sam wskazywał mu najsilniejszych i najpracowitszych boyów, — mnie, słuchając tego, krew biła do głowy, i fałszywe, upokarzające stanowisko, jakie względem tego człowieka zajął bezwiednie mój szlachetny, biedny przyjaciel, teraz w całej swej jaskrawości rzucało mi się w oczy.

Zacząłem żałować, że nie usłuchałem rozpacznej prośby jego żony, że nie przeszkodziłem pod jakimkolwiek pozorem... Ale pod jakim? Fakt napozór przedstawiał się tak naturalnie, a chodziło o rzeczy tak ważne, jak zmarnowanie lub ocalenie całorocznej pracy plantacyjnej... Cóżbym mu był powiedział?...

A jednak — ona miała słuszość. Jej mąż nie powinien był przyjmować nic... nic od tego człowieka. O! gdybym mógł mu rzec: "Słuchaj, odeślij tych ludzi natychmiast, a bierz wszystkich moich" — byłbym to uczynił bez wahania.

Ale za tem musiałyby iść wyjaśnienia, które były niemożliwe, — więc milczałem i bezsilność moja, i męki Kariny, które odgadywałem z jej twarzy, mieniającej się podczas opowiadania Don Oskara, dławily mnie za gardło.

Nie wyszedłem, ale uciekłem od nich tego wieczora i przez całą drogę szukałem w myśli jakiegoś sposobu porzucenia tej roli biernego świadka,

którą, chwilami za uwłaczającą, sobie samemu poczytywałem. Budziło się we mnie coś z mego dawnego ja, i kiedy zastanawiałem się, w jakich rękach spoczywał honor, spokój, szczęście i życie moich przyjaciół, jak to wszystko wisiało prawdziwie na jednym promieniu srebrno płowych włosów, podstępnie zdobytych, robiło mi się czerwono przed oczyma i nie widziałem innej drogi ocalenia, tylko palnąć

de la Rochy w łeb, jak psu wściekłemu, a potem — niech sobie robią ze mną, co im się żywnie podoba...

Ale to były tylko momenta szału, który gasł we wspomnieniu widm ponurych, powstających z cieniów owych zamierzonych lat, skąd owe prądy krwawe wiały na mnie; i wtedy wzdrygałem się i czułem, że są czyny, których dwa razy w życiu się nie spełnia...

W takim nastroju ducha spędziłem trzy dni, nie zachodząc na Karinafield, bo mnie to tylko jeszcze bardziej rozdrażniało. Don Oskar, zapracowany, nie pokazywał się również w mieście; codzień przecież wymienialiśmy kartki pomiędzy sobą, a trzeciego dnia przed wieczorem, żona jego przyszła do mnie z Hildą w odwiedziny, podziękować mi raz jeszcze, jak się wyraziła — "za ocalenie", bo tak im się podobało mój prosty współudział w wypadkach owej pamiętnej nocy nazywać...

Ten objaw wdzięcznej delikatności jej serca wzruszył mnie do głębi, gdyż odgadywałem snadno, ile w obecnych okolicznościach kosztować ją musiało przyjscie do miasta z narażeniem się na możliwość spotkania de la Rochy po drodze.

Ale byłbym ich wolał nie widzieć, tak bolesne na mnie wrażenie zrobiły obie, gdy weszły, milczące i białe, w swych muślinowych budkach — bo dzień był bezsłoneczny i prawie chłodny — z których,

jak z obłoków, wychylały się ich twarze: Madonny i Cherubina, do podciętych kwiatów podobne...

Hilda zwłaszcza przeraziła mnie. Może rodzice, patrzący na nią ciągle, nie spostrzegli tak tego dziwnego przeobrażenia, jakie się w niej od chwili ataku dokonało, — ale mnie. Com ją tylko w łóżeczku i w półświecie widział, rzuciło się ono w oczy, jak objawienie fatalnego, a niecofnionego wyroku.

Potrzebowałem całej siły woli, ażeby nie zdradzić żalu. Jaki mną owładnął, gdyż bez dawnego promiennego uśmiechu, ale przytulniej jeszcze i tkliwiej wspięła mi się do szyi i objęła ją zeszczupłymi rączkami, opierając ze znużeniem główkę na moim ramieniu. Wydała mi się tak lekką! nie czułem prawie jej ciężaru!

Przycisnąłem biedactwo do piersi silniej niż chciałem, jakby broniąc je instynktownie przeciw tej potędze zaborczej, co ją nam wydrzeć miała... Bo że to dziecko było już skazane, tom czytał w jego głębokich źrenicach, które, zawsze poważne, miały w sobie teraz jakąś zaświatową zadumę. I zaświatowego coś było także w intuicyjnym odczuciu, z jakim moją pieśczętą przyjęła.

— Co ci jest, wujaszku Lino ? — zapytała patrząc mi w oczy badawczo.

— Ja cię przyszedłem przywitać, a ty mnie tak całujesz, jak gdybyś mnie żegnał?...

Pani Karina zadrżała i przysunęła się do nas z żywością.

— Co ty mówisz, Hildo? Skąd ci ta myśl o pożegnaniu, dziecinko?...

— Nie wiem, mamusiu... Ale to nietylko z wujaszkiem Lino... Mnie od paru dni z wielu rzeczami tak się zdaje. Teraz, kiedyśmy tu szły, widziałam na drodze te piękne, duże, białe kwiaty, co kwitły przeszłego roku, a teraz już przekwitają... I one tak wyglądały, jak gdyby mnie żegnały...

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Mała Hilda bajdurzy, bo jest zmęczona — rzekłem, siląc się na uśmiech. — Powinienbym wygderać mamusię, że cię tu przyprowadziła i sama przyszła... Czemuż mi pani nie dała znać, że mnie dziś ta przyjemność ma spotkać?... Byłbym posłał po was hamakarzy.

— O, nie! nie! wujaszku — odparła Hilda, zwolna chwiejąc główką. — Mamusia nie lubi hamakarzy, a mnie Vero byłby przyciągnął w wózek!, gdybym chciała, ale ja teraz tobym tak ciągle szła i szła... usiedzieć na miejscu nie mogę... Żeby to można dojść kiedy tam, gdzie się ziemia kończy, a niebo się zaczyna... Ale tutaj to trudno, bo z jednej strony morze, a z drugiej las... W Anglii łatwiej, prawda ?

Nie odpowiedziałem nic na ten jej szczebiot naiwny, który mi serce rozrywał. Wiedziałem aż nad

to dobrze, niestety, co znaczył ten objaw złowrogi, ten specjalnie tropikalny herold śmierci, zjawiający się pod postacią nurtującego niepokoju i żądy przestrzeni.

Było więc prawdą, że organizm tego dziecka, tak zadziwiająco wytrzymały do tej chwili, uległ wreszcie? Atak konwulsji zrobił w nim wyłom, przez który jad klimatu wlewał się teraz, zabójczy i niepowstrzymany...

— I cóż?... Co słyhać na farmie? — zapytałem nagle pani Kariny, czując, że muszę koniecznie myśleć i mówić o czym innym...

— Ludzie pracują — odpowiedziała, nie patrząc na mnie. — Gabryel od świtu do nocy na polach... Powiada że straty, poniesione przez tamtych, dadzą się pokryć wkrótce... Ale ja się domyślam, że mówi tak tylko, aby mnie uspokoić. On mniema, że mnie materyalne klęski tak zgnębiły i dziwi się... Mój Boże! czemu jest pieniądz dla mnie?... Nigdy! nigdy nie rozumiałam jego wartości; albo raczej dawano mi ją poznać w taki sposób, żeby mi go na zawsze zohydzić... Czy uwierzysz pan, iż Afryka i z tego względu dogadzała memu usposobieniu, że się tu ma tak mało do czynienia z pieniędzmi w codziennym życiu?... Nie cierpię, nienawidzę brzęku złota; mam wstręt do banknotów... a ten ruch liczenia i zgarniania pieniędzy, jest dla mnie czemś takim... czemś takim...

Nie dokończyła. Podeszła do okna i, odwrócona, patrzyła w nie czas jakiś. Jakieś wspomnienia wywołane, temi słowy, ukazywały jej się w perspektywie palm i omglonych gór podrównikowych, do których przed niemi uciekła, a one poszły za nią, — jak cień!...

Hilda zsunęła się z moich kolan.

— Mamusiu! — wymówiła, wtulając swoja przezroczystą twarzyczkę w fałdy nie bielszej od jej sukni materyalnej — Mamusiu, chodźmy już!...

Wyrwana z zadumy, młoda kobieta zwróciła szybko na dziecko swe smutne zaszklone oczy.

— Jakto, Hildo?... — rzekła zdziwiona — napierasz się odejść od wujaszka Lino? To ci się nigdy nie zdarzyło.

— Hilda mi się sprzeniewierza — zauważyłem, zdobywając się na uśmiech. — Hilda już nie kocha starego wujaszka...

Dziewczynka spojrzała na mnie z wyrzutem, dotknięta w swej przedwczesnej, głębokiej uczuciowości, którą, stan chorobliwy wysubtylizował jeszcze.

— To nieprawda — rzekła z powagą. Hildzie teraz przybyło serduszko, bo wszystkich więcej kocha, i mamusię, i tatusia, i ciebie wujaszku, i Ulle, chociaż ona daleko, i Vera, i dobrych ludzi, i złych, bo ich nikt nie kocha... i niebo, i słońce, i świat cały... Ale stąd iść chcę, bo...

Zawahała się i, przenosząc ze mnie na matkę, a z matki na mnie pytające spojrzenie:

— Czy dusza może mieć raczki? — spytała nagle.

— Bo mnie... — ciągnęła dalej po chwili, przykładając jakimś uroczystym ruchem drobną dłoń do swej dziecięcej piersi — bo mnie zdaje się ciągle, że ktoś, kogo nie widzę, ale który musi być bardzo dobry — bierze moją duszę za rączkę, tak zupełnie, jak mamusia, kiedy idziemy na spacer — i prowadzi ją gdzieś daleko... daleko... Jak długo siedzę, to mnie to zaczyna boleć...

Pani Karina porwała ją w objęcia namiętne.

— Nie mów tak, Hildo! Dziecino moja ukochana... nie mów tak!

— Czemu, mamusiu?... Czemu, wujaszku?... Ukośny promień zachodzącego słońca wpadł w tej chwili przez okno i ozłocił jej blado płową główkę, a ona stała tak, promienna i różowa nagle pomiędzy nami, usunięta w cień, i spoglądała po nas swymi anielskimi oczyma, rozumiejąc tak wiele, a tego tylko nie pojmując, że nam w tej chwili zakrwawia serca.

Odprowadziłem je do domu.

W drodze Hilda odzyskała coś z dawnej żywości i kilkakrotnie odbiegała naprzód, goniąc zapóznione motyle i bawiąc się z Verem.

Co do nas, szliśmy w milczeniu. Zdawało mi

się, iż pani Karina pragnie mnie o coś zapytać, ale że to pytanie przez usta jej przejść nie może. Chciałem więc zostawić ją w zupełnym spokoju; skoro jednak weszliśmy w aleję mangusową, spostrzegłem, że odwraca głowę za lada szelestem i spogląda w prawą i w lewą stronę gąszczy z wyraźną trwogą. Raz nawet zatrzymała się mimowoli, wstrząśnięta dreszczem.

Co pani jest? — zapytałem zdziwiony. — Wesprzyj się, proszę, na mojem ramieniu.... Drżysz pani cała?... Co to znaczy?... Przysunęła się do mnie.

— Nie wiem... — odpowiedziała szeptem — ale od paru dni... może to złudzenie tylko, ale zdaje mi się, że jestem śledzoną... Dwa razy dostrzegłam za krzakami, jak się idzie w stronę źródła... jakieś czarne postacie jakby znajome...

— Pewno pijanych bubisow, którzy w drodze do domu posnęli — przerwałem, nie dając poznać po sobie wrażenia, jakie na mnie uczyniły te jej, słowa.

— Nie, to nie byli bubisi... To byli krumani. Raz było ich dwóch; raz jeden tylko. Widząc, że ich dostrzegłam, przypadli do ziemi i znikli mi z oczu... A oprócz tego, wczoraj i dzisiaj zdarzyło mi się słyszeć w gąszczu jakieś dziwne szelesty, jakby skradających się kroków ludzkich... Nie mówiłam nic Gabryelowi... Ale to mnie tak rozstraja..

Czułem drżenie jej rączki, wsuniętej pod moje ramię i drżeniu temu odpowiadało przyspieszone bicie mego własnego serca.

— I cóż pani stąd wnosisz?...

— A pan?...

Podniosła nagle głowę, zwracając ku mnie swą dziewiczą twarz, do płątka zbielełej róży podobną.

W zielonawym półmroku alei, spojrzeliśmy sobie znowu w oczy głęboko, przeciągle, tak, jak wtedy, w oświetleniu pożarnej łuny — i, jak wtedy, wystarczyło to nam w zupełności za słowa.

Jej strwożone, cierpiące źrenice, zdawały się mówić: "Nie wiem, skąd znasz moją tajemnicę, ale to wiem, że ją znasz nie przez złość ludzką, bo byś mną pogardzał, tylko przez wolę Boga, bo czuję w tobie dla siebie tem większą przyjaźń i szacunek. Więc skoro tak jest, to musisz wiedzieć także, jak dalece bezbronną jestem i jak wszystkiego lękać się muszę... Ten, który jest moim jedynym opiekunem i obrońcą, jest zarazem tym, który nie powinien nigdy dowiedzieć się o grożącym mu niebezpieczeństwie. Zastąp go, jeżeli możesz... "

A mój wzrok, w który dusza przelała wszystko, co w niej było jeszcze z tych uczuć bezinteresownych, a czystych i tkliwych, jakie czasem, raz tylko w życiu poruszają piersią człowieka, a czasem wraz z nim idą do grobu, nie znalazłszy takiej

chwili, coby je zbudziła — mój wzrok odpowiedział jej:

"Nie omyliłaś się. Tem bielszą mi się wydajesz, odkąd wiem, z jakiego śmietnika lilią wyrosłaś. A jeżeli życia mego potrzeba na osłonę twojej nieskazitelności, możesz je wziąć bez wahania, jak bez wahania poświęca się rzecz marną dla ocalenia rzeczy wielkiej..."

Głośno zaś rzekłem:

— Może to być istotnie przywidzenie i najpewniej tak jest... Różnych szelestów nigdy w buszu nie brak. Ale skoro to panią rozstraja, radzę, nie wychodź pani nigdy z domu samą...

Wymówiłem te słowa z naciskiem i dodałem:

— Po co się napróżno denerwować?...

— Masz pan słuszość — odpowiedziała, nie spuszczając ze mnie oczu.

— Usłucham pańskiej rady...

Dochodziliśmy do skrzyżowania alei, gdy z bocznej dróżki, na przełaj do Karinafieldu wiodącej, wypadł Don Mariano.

Pędził, jak zwykle, zygzakiem, z głową na bok przekrzywioną, i był tak pogrążony w myślach, że spostrzegł nas dopiero, gdy się o mnie uderzył. — A pan tu co robisz? — zawołałem mimowolnie.

Skręcił się cały, wybuchając nieprzyjemnym, śmiechem.

— Ho! ho! ho! Co za pytanie! Dom Luiz, hombre! Alboż to nie widzisz?... Idę... idę od siebie.

Kłamał najbezczelniej, bo ścieżka, z której się na główną drogę dostał, prowadziła w kierunku wprost przeciwnym, i wiedział doskonale, że dla mnie to tajemnicą nie jest. To też, nie dając mi przyjść do słowa, zerwał z głowy kask i, mizdrząc się szkaradnie, poskoczył do pani Kariny.

— Senora proszę mi wybaczyć... W pierwszej chwili nie spostrzegłem... Dom Luiz wziął mnie na indagację... Do stóp pani się kładę... I mała seniorita tutaj?... Już zdrowa? Co za szczęście! Jestem zachwycony spotkaniem... Spieszę do miasta. Ważne interesa... Przyjemnego spaceru życzę państwu !...

I wymachując kaskiem, w ukłonach i podrygach, zniknął nam z oczu, przeprowadzany gniewnym ujadaniem Vera, który go znosić nie mógł. Pani Karina ujęła Hildę za rączkę i oparła się silniej na moim ramieniu.

— Chodźmy prędzej! — rzekła półgłosem. — Coraz częściej spotykam tego człowieka na mojej drodze... Boję się go... Jak pan myślisz?... czy on... czy on nie był u Gabryela?...

Odgadłem czego się lękała... Ten promień włosów, będący w posiadaniu de la Rochy, a mogący się stać narzędziem piekielnej zemsty, nie dawał jej ani na chwilę spokoju.

— Bądź pani spokojną — rzekłem. — Don Ma

riano jest skończonym tchórzem i nie podejmie się takiego łotrowstwa, któreby mu doraźną karą groziło... On działa milczeniem i ryje, jak kret w ciemności.

Zaledwie uszliśmy kilkanaście kroków, z pomiędzy krzaków i trzciny, kryjących ową boczną ścieżkę, wystąpiła czarna postać i zaczęła iść przed nami, nie śpiesząc się.

Na szelest, jaki czyniliśmy zbliżając się, postać ta odwróciła się, błysnęła niesionym na ramieniu kotłasem, uczyniła taki ruch, jak gdyby chciała skryć się w gąszcz, lecz wnet rozmyśliwszy się widać, poszła dalej tą samą drogą, tak szybko, że wkrótce zniknęła nam z oczu.

Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego, gdyby nie poprzednia rozmowa nasza, gdyby nie spotkanie Don Mariana i gdyby nie słowa pani Kariny.

— To headman tych rządowych krumanów, którzy teraz są na farmie — rzekła. — Poznałam go gdy się odwrócił... Co on tu robił?... W tej chwili powinien być na polu, przy robocie. Widzisz pan... ucieka przed nami! Drżącą ręką wskazywała przed siebie i, niezdolna hamować się dłużej, wybuchnęła stłumionym ze względu na obecność dziecka, głosem:

— Nie! to nie do zniesienia takie życie... to tortura nad wszelkie pojęcie... Drżeć za lada szelestem... truchleć na widok każdej obcej twarzy...

wyczekiwać każdej minuty, co przyniesie, i na to wszystko nie widzieć żadnej rady... żadnego końca! Spieszmy się, śpieszmy, przez Boga!... mnie straszny lęk zdejmuje o Gabryela... Może ten murzyn zamordował go gdzie w lesie z namowy tamtego?... Ten kotlas tak złowrogo mi zabłysnął...

I w paroksyzmie nerwowej trwogi przyśpieszała kroku, ciągnąc mnie, ciągnąc dziecko, które ledwo swymi drobnymi nóżkami nadażyć mogło, głucha na jego pytania, na moje perswazyje, cała pod damoklesową grozą przeczuwanej katastrofy.

Taka egzystencja była istotnie wyrafinowaną torturą; była ustawicznym przeżywaniem w wyobraźni tej rzeczywistości, która mogła się zdarzyć raz tylko, lub nie zdarzyć wcale.

Jakoż owego wieczora nic na pozór nie usprawiedliwiało jej obaw.

Na farmie zastaliśmy zupełny spokój i porządek. Don Oskar był w magazynie, zajęty wydawaniem kucharzowi krumanów ich zwykłej racji ryżu i powitał nas twarzą pogodną. Tylko przelotny błysk hamowanej męskiej boleści, jaki mignął mu w oczach, gdy brał na ręce zadyszana Hildę, przekonał mnie, iż ta pogoda była przybrana, iż lodowaty powiew skrzydeł tego anioła, który krążył w oddali, musnął już był jego ojcowskie serce.

Nazajutrz rano, posługujący mi murzynek, rozgarnięty, wesoły chłopak, wszedł do mego pokoju

z taką miną, iż odrazu poznałem, że ma mi coś do powiedzenia.
Staął naprzeciwko łóżka, skrzyżował ręce po napoleońsku i oblizywał się, lypając tajemniczo oczyma.
— A co tam takiego? — zapytałem od niechcienia.
Zwyczajem murzyńskim udał z początku, że nie rozumie.
— Nie wiem, massa.
— Więc czemu się wykrzywiasz ? Czyś co zbroił?...
Wywrócił znowu białka do sufitu.
— Ja, massa?... Nie. Ale na farmie jest znowu wielki palaver (wypadek).
Porwałem się z pościeli.
— Co takiego?... Mów prędzej!
— Rządowi boye uciekli w nocy.
— Uciekli? — powtórzyłem machinalnie.
— Tak, massa. Powiadają, że im się nudziło bez braci i nie chcą wracać...
Oni, massa, żadnej kary za to nie dostaną, bo nie od swego massy uciekli... Im massą był rząd, więc do rządu uciekli... A oprócz tego...
Przystąpił o krok i bardziej jeszcze tajemniczym głosem dodał:
— Tam podobno, na farmie, złe duchy są i boyów po nocach napastują...
Ludzie z Lagos ich

zostawili. Jeden z tych co uciekli, powiada, że go wczorajszej nocy coś chwyciło za nogi i włóczyło po macie w kółko, w kółko, ledwo nie umarł... Jakże oni mieli tam dłużej być?... Kruboe nie są takimi czarownikami, jak ludzie z Lagos, żeby sobie ze złemi duchami radzić umieli. Więc uciekli.

Słuchałem go, nie przerywając. Teraz wiedziałem już dokładnie, co robił Don Mariano wieczorem na bocznej ścieżce, z której potem wysunęła się czarna postać z kotłasem na ramieniu... Zachodził tu ten sam stosunek przyczyny i skutku, jaki istniał pomiędzy rozmową szanownego plenipotentą z Adamassim na werandzie gospody kubańczyka, a buntem Lagosczyków; z tą tylko różnicą, że obecny plan był jeszcze kunsztowniej pomyślany i zręczniejszy wykonany.

De la Rocha wychodził z niego w opinii czysty jak łąza. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, a że ludzie, zakontraktowani przez rząd, nie chcieli służyć innemu panu, na to już nie było rady. Ludzie ci byli wolni i nikt nie miał prawa rozporządzać się nimi, jak martwym towarem... Wprawdzie praktyka mówiła inaczej; zwyczaj wzajemnego wypożyczania sobie ludzi istniał zawsze na brzegu i nie pamiętam takiego wypadku, aby wypożyczonym przyszło na myśl zaprotestować przeciwko temu, — gdyby jednak się zdarzył podobny wypadek, byłby musiał być uwzględnionym.

Legalnie zatem i systematycznie obmyśloną była ruina majątkowa mego przyjaciela, a owa bajeczka o strachach i czarach, która komuś mniej

doświadczonemu wydałaby się nic nie znaczącym szczegółem, była dla mnie jednym z najwymowniejszych dowodów, jak piekielny spryt kierował całą tą nikczemną intrygą.

Czarni, zwłaszcza krumani, rzadko sami z siebie o sferę nadprzyrodzonych zjawisk myślą zahacza, ale nic łatwiejszego, jak ich na tę drogę wprowadzić, a wtedy trzeba widzieć, jak już po niej galopują... Tak modny dziś w Europie suggestyjonizm znalazłby tu niesłychanie wdzięczne pole zastosowania. Co do mnie, nie potrzebowałem w danym wypadku być tego świadkiem, aby wiedzieć niemal słowo w słowo, jak się to wszystko odbyło.

Oto, niby trafem, Don Mariano spotkał gdzieś w polu. czy na drodze, jednego z tymczasowych ludzi Don Oskara i zawiązał z nim taką, mniej więcej, rozmowę:

— I cóż, mój chłopcze, dobrze jadasz?

— Tak, sir.

— Dobrze sypiasz?

— Tak, sir,

— Hm... to dziwne!... Widać jeszcze nie przyszła na ciebie kolej.

— Jaka kolej, sir?

— O! nic nadzwyczajnego... Mówię ci tylko, żebyś wiedział, co to znaczy... Nie potrzebujesz się niczego lękać...

Kruman, rzecz prosta, był już dostatecznie przełknięty i prosił o bliższe wyjaśnienie. Don Mariano wówczas, swoim obrazowym stylem musiał mu opowiedzieć, że na farmie coś straszy, że to się jeszcze wtedy zdarzało, gdy on nad nią miał zarząd, że mu się boye często skarżyli, więc

ztałd wie o tem, iż ludzie z Lagos jeszcze bardziej rozzuchwalili złe duchy, wchodząc z nimi w konszachty i że one teraz nadzwyczajne rzeczy z murzynami innych plemion wyprawiać będą.

Boy, wysłuchawszy tego wszystkiego i zrozumiawszy piąte przez dziesiąte, przez resztę dnia

o niczem innem nie myślał; jego drzemiąca, a jak las dziewiczy płodna wyobraźnia, raz poruszona, wzbudziła się rojem najdziwaczniejszych wizyj i, gdy noc nadeszła, niewątpliwie stał się ofiarą sugestyi, o jakiej wspomniał mój chłopak.

Don Mariano musiał mu powiedzieć, że złe duchy włóczą boyów za nogi, w kółko, po macie, —

i on byłby przysiągł z całą dobrą wiarą, że tego na sobie doświadczył.

Samo się przez się rozumie, iż okropności takiej w tajemnicy nie zatrzymał. Zwierzył się z nią swemu headmanowi, headman polecił z tem natychmiast do headmana całej partyj i znowu "trafem"

natknął się na Don Mariana. Że ten był prawą ręką i echem gubernatora, o tem wiedzieli wszyscy, nawet tnący busz krumani. Jedno słowo, jeżeli nie wyraźnej zachęty, to pobłażliwej aprobaty z ust takiego człowieka, dostatecznem było, ażeby trwożny zamiar ucieczki, kielkujący w głowie wystraszonego murzyna, w śmiały czyn zamienić.

I oto — nieszczęsny mój przyjaciel został znów nietylko bez ludzi, ale bez nadziei otrzymania ich kiedykolwiek. Nedorzeczna baśń, przechodząc z ust do ust, urastać będzie w coraz fantastyczniejsze rozmiary, następnie przedostanie się na parowce, stamtąd na wybrzeża i uczyni z Karinafieldu

uroczysko, od którego stronić będą wszyscy krumani i tak zazwyczaj niezbyt skorzy do przybywania na Fernando Poo!

A choćby i udało mu się zatrzymać jaką partyę, to znajdzie się on niejako na ich łasce i niełasce; pod ciągłą grozą buntu lub ucieczki, do czego podwójny przykład bezkarnej samowoli szerokie otworzył wrota.

I cóż innego przez te wrota na ową, do tak niedawna wzorową farmę, wlewać się teraz może, jeżeli nie bezrząd, swawola rozzuchwalonej hałastry i ostateczny, nieuchronny upadek?

Siedziałem na łóżku, jak skamieniały... Wszystko to widząc, wszystko to odgadując, nim zdołałem zastanowić się, co mi wobec tej nowej klęski

przedsięwziąć wypada, huk armatniego strzału, potężnie o nadbrzeżne skały odbity, wstrząsnął lichemi szybkami mego okna.

— Skamer live for come () — krzyknął krumanik z wielkiem ożywieniem, w jakie wszystkich na wyspie widok parowca wprowadza i, wiedząc już, co mu w takim razie czynić należy, rzucił się do szafy, aby wydobyć dla mnie czysty garnitur i świeżą bieliznę,

Był to istotnie ważny i dawno oczekiwany parowiec z Europy, którym spodziewałem się znacznego dla siebie cargo. Trzeba było zatem, nie zwlekając, udać się na pokład. Pędziła mnie tam także i myśl, że może szczęśliwym wypadkiem uda mi się zwerbować choć kilku ludzi dla mego przyjaciela. Ale nadzieja ta zawiodła. Prócz kilku Akrajczyków, kucharzy i cieśli, udających się aż na Kongo, i wielkiej partyi Batangów, zamówionych do Ga

boonu, kapitan nie miał ani jednego czarnego pasażera.

Zgryziony, skłopotany, — bo, na dobitkę, spotkało mnie kilka niemiłych niespodzianek ze strony moich europejskich agentów, — miałem się już ku odwrotowi, gdy u burtowych schodków natknąłem się na de la Rochę. W towarzystwie Juanity i nieodstępного Don Mariana, mając za sobą dwóch małych krumaników, zgrabnych, jak czarne laseczki, i wystrojonych, jak papużki, w hiszpańskie barwy, z których jeden niósł biały, jedwabny parasol, a drugi eleganckie przybory do palenia, — piękny gubernator wstępował z gracyą po chybotliwych schodach, przypatrując się, jak zwykle, swojej wązkiej, małej nodze.

Spostrzegłszy mnie, żywo parę ostatnich stopni przebył i, uśmiechnięty, rękę do mnie wyciągnął.

— Voila du guignon, cher monsieur Lino! — zawołał po francusku, bo chętnie tym językiem z każdym, kto go posiadał, rozmawiał, jakby w obawie wyjścia z wprawy. — Słyszałeś pan, co znowu zaszło u naszego wspólnego przyjaciela, pana Aderskielida?... Ludzie, których mu niedawno odstąpiłem, uciekli! Przed chwilą dopiero doniesiono mi o tem...

Milczałem, jasnym mi było, że nie przypuszczałem nawet, abym cośkolwiek mógł wiedzieć, czegośkol

wiek się domyślać... W głosie jego dźwięczała taka szczerłość, taka pewność siebie, że oszołomił na chwilę mnie samego, który przecież przenikałem go na wskroś... Cóż dopiero mówić o innych?... Gdzieżby się znalazł na wyspie ktoś, coby ośmielił się podejrzewać tego wytwornego, wielkiego pana o brudne intrygi z czarnym motłochem. Nie! mógł broić bezkarnie i nie było na niego żadnego hamulca.

On tymczasem mówił dalej, z tą samą swobodą i tym ujmującym, kocim wdziękiem, który, gdybym miał nad nim władzę duchową, byłbym z niego przedewszystkiem wyrwał, jak się wyrzywa jadowite żądło szerszeniowi, aby go na zawsze nieszkodliwym uczynić.

— Pojmujesz pan, jak mi to jest przykrem... tem bardziej, że nic na to poradzić nie mogę... Zrobiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, ale... to nie niewolnicy, to ludzie najęci, przymuszają ich nie sposób. Vous comprenez, Dom Luiz! Pan Aderskielld widocznie nie umie z murzynami postępować... A skądinąd to taki inteligentny, zachwycający człowiek!

— Istotnie ! — rzekłem. — A przytem pełen jest najszlachetniejszych uczuć i w prawości swojej niezdolny przypuścić fałszu i obłudy...

Pokazuje się, że tacy ludzie, pod wszelkimi stopniami szerokości geograficznej, padają ofiarą podłości, intrygi lub ciemnoty...

Czarne, pałające spojrzenie de la Rochy, strzeliło ku mnie przeszywającym, jak stal, błyskiem; lecz wnet nieznacznie wzniosł ramiona w górę, jakby w odpowiedzi na własną myśl, która mu się niedorzeczną wydała, i czarujący uśmiech rozchylił jego zmysłowe, soczystą czerwonością wiśni zabarwione usta.

Czy pani czasem nie zauważyła, że bywają usta, jakby stworzone do pewnych przeznaczeń: jedne do łajań, inne do moralizowania. inne jeszcze do niesienia słów pociechy, a inne do siania kąkolu niezgody?... Usta de la Rochy zdawały się. być stworzone do pocałunków, ale takich, które upajając, dają śmierć...

— Niestety! jest to smutna prawda!... — rzekł, częstując mnie cygaretką.

— Ale trzeba się tem pocieszać — mówił dalej z ironiczną dobroduszością — że cnota zawsze w końcu tryumf odnosi, jeżeli nie na tym, to na tamtym świecie... Dzieckiem jeszcze będąc, kopiowałem ten aforyzm ze wzorów kaligraficznych, i pamiętam, że czynił na mnie wielkie wrażenie... Czy nie wybierzesz się pan dzisiaj na Karinafield?... Ja tam będę, wyrazić tym państwu moje szczere ubolewanie...

Podniosłem głowę.

— Nie wiem, czy będą mogli przyjąć pana, panie de la Rocha! — rzuciłem zwolna, patrząc mu prosto w oczy. — Pani Aderskiel jest ciężko cho

ra, a dziecko ich, wpadłszy z przestachu w konwulsje, znajduje się na progu śmierci...

Mówiłem z całą świadomością skutków, jakie ton mój i to nazwanie po nazwisku pysznego wielkorządcy, pociągnąć za sobą mogły. Ale zuchwałość jego i urągliwy cynizm doprowadziły mnie do ostateczności. Chciałem zagrać z nim w otwarte karty; chciałem, żeby mnie zelżył i dał mi sposobność do znalezienia się z nim na odległość dziesięciu kroków, a wtedy niechby już sprawiedliwość Boża mojem i jego rozrządziła życiem. On jednak zdawał się jedno tylko słyszeć i jedno rozumieć.

— Chora?... — powtórzył, blednąc i ręką oparł się o burt. — Ciężko chora? Jaki?... A wczoraj była w mieście..

Mimowoli zdradził się z tem, że ją śledził. Zmierzyłem go od stóp do głów.

— Nie ta choroba jest najcięższą, która o łóżko powala — rzekłem surowo — ale ta, która w duszę, szczęście i spokój ludzki godzi... i pan, sądzę, powinienes o tem wiedzieć... Żegnam pana.

Ukłoniłem mu się z lekka i zostawiłem go, opartego wciąż o burt, z głową pochyloną nieco i ściągniętymi brwiami. I znowu zdawał się mnie nie słyszeć, nie rozumieć, cały pod wpływem jednego tylko wrażenia.

Podczas tej rozmowy, Juanito i Don Mariano

stali za plecami gubernatora, jak dwa warujące pieski. Mieszać się do rozmowy nie mogli, bo toczyła się w obcym dla nich języku, ale z powtórnego parokrotnie nazwiska mego przyjaciela, domyślili się poniekąd ich treści. Zrazu złośliwa ciekawość malowała się na ich twarzach; ale gdy spostrzegli zmianę, zachodzącą w rysach de la Rochy i usłyszeli głos mój stanowczy i niemal wyzywający, zamienili pomiędzy sobą zdziwione spojrzenia i wyglądali znów jak pieski, które nie wiedzą, czy się mają łasić czy kąsać?

Zaledwie wróciłem z parowca, zastałem czekającą na mnie łódź z listem od jednego z plantatorów w zatoce SanCarlos. List był tej treści, że nie chcąc jego i siebie narażać na poważne materyalne straty, musiałem natychmiast siadać i jechać.

Wróciłem dopiero trzeciego dnia wieczorem. Przez ten czas, naturalnie, nie miałem żadnej wieści o mieszkańcach Karinafieldu i niepokój mój o

nich był taki, że, nie zważając na spóźnioną porę, na straszliwe znużenie, kazałem szykować hamak, żeby się do nich udać.

Kończyłem się przebierać, gdy drzwi otwarły się z trzaskiem i wpadł nagle Don Oskar.

W mdłym świetle zapalonej naprędce świecy, ujrzałem twarz bladą i wzrok obłąkany.

Musiał biedz bez pamięci, bo oddech ledwo do

bywał mu się z otwartych ust — i w pierwszej chwili nie był zdolny wymówić jednego słowa.

Byłem pewny, że Hilda umarła... Głos także zamarł mi w gardle, a nogi wrosły w ziemię.

Ale on wnet poskoczył ku mnie i chwycił mnie za rękę.

— Karina!.. — krzyknął, wstrząsając niemi bezprzytomnie. — Gdzie Karina?...

Zaćmiło mi się w oczach.

— Co mówisz, Oskarze? Co się stało? Potoczył dokoła błędnymi oczyma.

— Więc jej tu niema! niema?!... Powiedz... Nie skrywaj nic... Wolę wszystko, niż to piekło niepewności... Powiedz!...

Gruchotał mi ręce w konwulsyjnych uściskach, a oddech jego, świszczący, urywany, oblewał mi twarz, jak żarem.

— Człowieku! — zawołałem — zaklinam cię na nią i na twoje dziecko, upamiętaj się!... Powiedz mi, co to znaczy? Przed chwilą dopiero wróciłem. Nic nie wiem...

Zachwiał się i byłby upadł, gdybym go nie był powstrzymał.

— Oh!... oh!... — jęknął. — Więc jej niema!... niema!...

I runął na krzesło, chwytając się obu rękoma za głowę, w paroksyzmie najdzikszej rozpacz.

Porwałem karafkę z wodą i chlusnąłem mu nią, w twarz, sam trzęsąc się jak w febrze. To go oprzytomniło.

— Oskarże — rzekłem — zbierz myśli... Jakie nieszczęście się stało?

Błagam... powiedz!

Dotknął ręką zlanego wodą czoła.

— Nieszczęście! — powtórzył. — Tak, nieszczęście!... Mówiłem ci już...

Niema... niema jej!

— Jakto?

— Zniknęła!... Zniknęła od kilku godzin... Poszła do miasta, po lekarstwo dla Hildy... Atak był znowu wczoraj... Doktor miał przysłać lekarstwo...

Nie przysłał... Poszła sama i niema jej... niema!...

Zerwał się z krzesła.

— Na Boga! chodź... prędzej! prędzej!... Weź ludzi... światło... Ona tam może w buszu leży bez pomocy... ukąszona przez węża! Chodźmy... szukajmy!...

Biegł ku drzwiom, lecz wstrzymałem go za rękę. I mnie na myśl przyszło ukąszenie węża, tylko innego niż przypuszczał nieszczęsny mój przyjaciel... O, gdybym się mylił!... Bodajby raczej dławiły ją w tej chwili pierścienie constrictora, mogące tylko zgnieść jej piękne ciało, niżby się miała dostać w ohydne uściski gwałciciela, które bezpowrotnie zdruzgotałyby jej cześć, jej anielstwo i honor jej męża! Bądź co bądź, obowiązkiem moim było ratować jeszcze pozory, o ile się dało...

— Słuchaj! — rzekłem przez szczękające zęby — słuchaj, Oskarze...

Przedewszystkiem wracajmy natychmiast na farmę... Możecie się zminęli... Może doktor nie miał gotowego lekarstwa i zatrzymał twoją żonę tak długo... Jesteś wyprowadzony z równowagi ostatnimi przejściami i nerwy wzięły nad tobą górę... Mam w Bogu nadzieję, że się mylisz... że nie stało się żadne nieszczęście...

Uczepił się tej iskierki otuchy całą siłą, swej optymistycznej, ufnej natury.

— Wracasz mi życie! — wyszeptał. — To prawda. Mogliśmy się rozminąć... Szalony byłem!... Chodźmy więc... chodźmy bez straty chwili! W kilka minut potem byliśmy już w alei mangusowej.

Noc była cudna, księżycowa i tak jasna, że ziemia wyglądała jakby oblana słońcem. Każdy, najsubtelniejszy kształt, odcinał się wyraźnie na tle tej srebrzystej, wszystko przepajającej białości. Wyjątkowa rzeźwość i chłód podnosiły się z głębi roślinnych murów, przewianych całodziennym, silnym wietrzykiem, który ucichł, zostawiając po sobie bezbrzeżny spokój. Żaden listek nie drgał w powietrzu.

Biegliśmy co sił starczyło, rozglądając się na wszystkie strony. Raz po raz przyjaciel mój zbaczał w gąszcz, rozgarniając splątane krzewy, ale wszędzie pustka panowała zupełna.

Tak dopadliśmy do domu. Już z werandy wionęła ku nam złowroga cisza i pustka. Na szybach nieoświetlonych pokoiw łamały się księżycowe blaski; w jednym tylko oknie, przez spuszczoną roletę migotał mętny, żółty punkcik przyćmionej, lampy.

— Niema jej! — jęknął Don Oskar. Gdyby była, czekałaby tutaj... Sara byłaby jej powiedziała, w jakim stanie wybiegłem ją szukać...

Cicho i szybko przebiegliśmy schody werandy. W tej samej chwili drzwi skrzypnęły i na progu pojawiła się Sara,

Pod barwistym turbanem, okalającym jej głowę, czarna twarz młodej murzynki miała odcień popielatawy; oczy patrzyły z wyrazem głupowatego przestachu.

— Niema pani?... — wykrztusił Don Oskar.

— Niema, sir!

— Boże! — krzyknął stłumionym głosem i rzucił się z powrotem.

Nie pamiętał w tej chwili o niczem, nawet o tem, że tam, przez ścianę, leży jego chore, pozbawione opieki dziecko... Był tylko mężem.

Ale ja zatrzymałem się jeszcze.

— A Hilda?... — spytałem dziewczyn.

— Śpi teraz! — odszepnęła. — Ale, o sir! — mówiła dalej, czepiając się mego rękawa — nie zostawiajcie mnie panowie samej w tym pustym, strasznym domu... Mała miss tak długo płakała za swoją ma

mą, jak się obudzi i nie zobaczy jej, gotowa dostać tej okropnej choroby, co wczoraj... A wtedy sir, ja nie wytrzymam... Ucieknę!

— Luizie! — wyrwało się z piersi stojącego na dole Don Oskara. —

Czego zwlekasz?... Czy chcesz, abym oszalał?...

Miałem przy sobie kilkanaście suwerenów w złocie.

— Patrz, Saro! — rzekłem, wydając je z kieszeni. — To wszystko złoto będzie twoje, tylko przysięgnij mi, że nie odstąpisz tego dziecka ani na krok, dopóki nie powrócimy.

Oczy murzynki błysnęły chciwością.

— Dobrze, sir; ale proszę, daj mi pan choć kilka teraz... Będzie mi cokolwiek różniej...

Rzuciłem jej na dłoń cztery suwereny.

— Prędej! prędej!... — wołał ochryply, rwący się głos Oskara. —

Biegnijmy!

Nagle stanął, z dłonią złożoną w moją rękę, patrząc w rozciągającą się przed nami perspektywę niebieskawych cieniów i smug srebrzystych.

— Gdzie jej szukać?... Gdybym miał ludzi, rozesłałbym ich na wszystkie strony... Dlaczego mi pożalowałeś ludzi?... — wykrzyknął z namiętnym wyrzutem. — Gdzie się teraz zwrócić?... Co się z nią stać mogło?!... Na Boga! Na Boga!

Co do mnie miałem swoje domysły... Że de la Rocha porwał Karinę, nie ulegało wątpliwości.

Moja ostatnia z nim rozmowa musiała, niestety, wyrzucić wprost przeciwny moim zamiarom skutek. Ten depreczający wszystko despota, zamiast zadrzeć przed majestatem choroby i śmierci, postanowił tylko działać tem szybciej, by mu nie wydarły upatrzonej zdobyczy.

Wszak pani zna Basileh, tę gubernatorską willę w górach, o dwie godziny drogi za miastem, samotną zupełnie, otoczoną ze wszech stron dziewiczym lasem, który po stromem zboczcu stacza się na nią, jak zielona powódź, rozstępując się prawie tyle tylko, aby się z niego jej dach cynkowy wynurzył — i spada jej dalej od stóp, aż do morza?

Tam musiała się znajdować Karina.

Ale ja tego powiedzieć jej mężowi nie mogłem! Byłbym uczynił wszystko pierwiej, nim pierwszy uderzyłbym go maczugą tego straszliwego podejrzenia... On był od niego w tej chwili jeszcze tak daleki, tak tragicznie daleki...

— Gdzie iść?... Gdzie iść?... — powtarzał, miotając się wśród kłębów, z których, jak z kadzielnic, buchały narkotyczne wonie datur, frandżipani i pomarańczowego kwiecia, i mąciły do reszty jego wstrząśnięte zmysły. — Luizie, prowadź!

Vero, który był został przy Hildzie, usłyszawszy teraz rozpaczliwy głos swego pana, wybiegł z domu i kręcił się pomiędzy nami, spoglądając ku

nam pytającym i mądrym wzrokiem. Widok jego nasunął mi pewną myśl...

Zawołałem na Sarę, ażeby mi przyniosła coś z rzeczy noszonych często przez jej panią.

Murzynka zniknęła i, wróciwszy za chwilę, rzuciła mi z werandy długi, biały szal, którym pani Karina otulała się zwykle w dni chłodniejsze. Podsunąłem go psu do powąchania.

— Szukaj Vero! — zawołałem, wskazując przed siebie. — Szukaj pani! Zmyślne zwierzę popatrzyło mi w oczy... zniżyło łeb, pobiegło w tę i ową stronę — i po chwili, puściło się pędem w kierunku miasta.

Ująłem Oskara pod rękę i podążyliśmy za niem w milczeniu.

Na skrócie z farmy w aleję mangusową, w tym miejscu, gdzie rozpoczynała się droga, wycięta przez mego przyjaciela, szła pod kątem prostym jedna jeszcze ścieżyna, którą bubisi, mieszkający po nad Basdeh, spuszczali się do miasta, dla oszczędzenia sobie czasu. Oprócz tych czarnych górali, nikt nigdy tamtędy nie chodził, bo ścieżyna ta była stromą bardzo i wyboistą, a w porze deszczowej, dla trzęsawisk i wzbierających tam szeroko żył wodnych, prawie niemożliwą do przebycia. Ale bubis nie zważa na takie rzeczy. Byle bliżej do miasta, to faktorya, a faktorya — to tytoń i rum.

Na początku tej ścieżki Vero wstrzymał się na

gle, zanurzył pysk w wysoką, trawę i wietrzył, pomrukując zcicha, a przeciągle.

Przystanęliśmy także. Przestrzeń tu była bardziej odsłonięta i pełna smuga księżycowa padała na nią. Porastająca ją trawa była silnie zmięta, jak gdyby ją świeżo kilka bosych stóp zdeptało; na niższych krzewach wisiały połamane gałązki, a pod wtłoczonym w gąszcz, jakby od nacisku opierającego się na nim ciała, bananem, coś błyszczącego ściągnęło naszą uwagę.

Pochyliliśmy się żywo... Była to rozbita flaszka z lekarstwem. Tuż nad nią na kolczastym krzaku, wisiał strzępek białej sukni Kariny.

Mój przyjaciel ze zgrozą wskazał na te ślady.

— Co to znaczy? — wymówił głucho. — Co się tu działo?...

Nie odpowiedziałem mu.

Tymczasem Vero pobiegł znów kilka kroków naprzód, — wrócił się, wpadł w aleję mangusową, wrócił znowu, nurkował chwilę w buszu, poczem stanął na ścieżce, podniósł łeb w górę i wietrzył w powietrzu, skomląc żałośnie...

Jasnym było, że stracił ślad.

Ale dla mnie była to jedna więcej przekonywająca wskazówka:

Czatowano tu na nią, wracającą, z lekarstwem, porwano, po krótkiej walce, której ślady były aż nadto widoczne dla oka, nawykłego

do czytania życia z jego żywej księgi przyrody — i uniesiono dalej w hamaku.

— W Imię Boże. chodźmy tędy !... — zawołałem pociągając za sobą Oskara. — Znajdziemy ją!

— Tędy?... — powtórzył. — Tędy?... Cóżby ona tam robić mogła ?...

Chybaby zbłądziła... Ale to niemożliwe!

— Wszystko jest możliwe! — odparłem, widząc z rozpaczą, że jeszcze żaden błysk okropnej prawdy nie przedarł się do jego zmaconego umysłu, i drżąc na myśl, co się stanie, gdy go nagle cała oślepi. — Wszystko jest możliwe, Oskarze, i na wszystko przygotowanym być trzeba. Chodź! Uczułem, że palce jego wpijają mi się w ramię.

— Jak ty to dziwnie mówisz!... Luizie! — krzyknął nagle głosem, który rozbrzmiał szeroko i zapanował nad grającym swój nocny koncert buszem. — Ty się domyślasz czegoś... Nie zabijaj mnie... Mów!

— Domyślam się tylko tego, co widzę... — odpowiedziałem. — Szła do tego miejsca, gdzie leży rozbite lekarstwo, bo Vero odnalazł jej ślady, a dalej ich niema, i jej niema; więc to znaczy, że musiała oddalić się stąd jakimś innym sposobem... Ten inny sposób, to... porwanie!

Co się ze mną stało, żem mu to powiedział, sam dotąd niewiem; bo przed kilku minutami zdawało mi się, że żadna siła ludzka słów tych mi z gardła

nie wydrze. Ale on i teraz jeszcze nie zrozumiał mnie.

— Porwanie?... — wymówił z bezwiednym niedowierzaniem. — Któżby ją mógł porwać?... Gdyby jeszcze Lagosczycy byli na wyspie... Oni jedni byliby zdolni do tak piekielnego czynu... Nie! nie! Na to ważyłby się tylko wróg śmiertelny... Ja tu takiego nie mam przecież... A ona?... Któż jej mógłby być wrogiem ?!

— Wszystko jest możliwe! — wymówiłem po raz trzeci.

Wymienialiśmy te zdania nie przestając biedz...

Dróżyna, szeroka na tyle, że dwóch ludzi obok siebie iść nią mogło, pięła się i zapadała wskroś dziewiczego lasu, porytego wąwozami i pełnego moczarów.

Raz po raz grzęźliśmy w głębokim, lepkiem błocie, lub musieliśmy się wdzierać po stromym brzegu baranca. Osypane grubą rosą gałęzie, uderzały nas po rozpalonych twarzach; wiewające luźno ljanya, plątały nam się koło rąk i nóg, a tu i ówdzie szybki szelest w gąszczu oznajmiał nam ucieczkę wystraszonego naszymi krokami węża.

Księżyc świecił wciąż jasno, ale miejscami zbite sklepienie zieleni przesłaniało go zupełnie. Zanurzaliśmy się w głębokie mroki, gdzieniegdzie tylko śrubą srebrzystą przewiercone, a wówczas wszy

stkie odgłosy, jakimi wrzała puszcza, nabierały jakichś tajemniczych, groźnych dźwięków i zdawały się wołać na nas:

" Zapóźno! Zapóźno!"

— Boże wszechmogący! — powtarzał mój przyjaciel, ściskając mnie silniej za ramię. — Boże wszechmogący!...

Raz zapytał mnie szeptem:

— Masz broń ?

— Mam rewolwer.

— To dobrze.

Nie śmiałem go zapytać nawzajem, lecz w tej samej chwili usłyszałem stuk odwodzonego kurka i dreszcz mnie przeszedł od stóp do głów, bom wiedział, że ta czynność przygotowawcza, którą przyjaciel mój spełnił instynktownie raczej, sam jeszcze nie zdając sobie sprawy z jej celu, to było podpisanie strasznego wyroku śmierci na jedno życie ludzkie.

De la Rocha był skończonym nikczemnikiem — i to, co go według wszelkiego prawdopodobieństwa spotkać mogło, spotkać go było powinno; a przecież myśl, że ten odwiedziony kurek rewolweru za chwilę może rozstrzygnąć o życiu ludzkim, przejęła mnie mimowolną zgrozą i boleścią dla tej młodej, tak bogato uposażonej od natury, a tak zmarnowanej egzystencji.

Może godzinę, może dłużej biegliśmy tak, nie

dając sobie chwili odpoczynku, aż ścieżyna, stając się coraz bystrzejszą i uciążliwszą, wywiodła nas na główną drogę, idącą do miasta — do Basileh.

Drogę tę wytknął i przeprowadził poprzedni gubernator, okopał rowami i zamienił w europejski niemal gościniec, o tyle piękniejszy, że po obu jego stronach ciągnęły się wspaniałe ściany tropikalnej roślinności; ale de la Rocha, rzadko kiedy w swej górskiej willi goszczący, zaniedbał ją był i zapuścił zupełnie.

Przed kilku tygodniami, mając w tamtych stronach interes, szedłem nią kawałek i z przykrością patrzyłem, w co się to obraca praca ludzka, jeżeli nad nią bez przerwy nie czuwać. To dzieło długiego mozołu, — którem tak pysznił się zacny gubernator, bo dowodził, że dobre i wygodne drogi są arteriami cywilizacyi, — ginęło teraz pod chwastami!

Dziś przecież była ona oczyszczoną na tyle, że gdybym jeszcze był miał jakie wątpliwości co do miejsca porwania Kariny, widok tego świeżego przejścia krumańskich kotłasów, musiałyby je rozproszyć, a nadto utwierdzić w mniemaniu, że plan był powzięty i przygotowany od dłuższego czasu.

Wyszędłszy na środek drogi, zatrzymaliśmy się chwilę, dla nabrania oddechu.

Po duszącej atmosferze parującego wilgocią lasu — świeży, górski powiew, płynący szerokim

korytem wolnej przestrzeni, orzeźwił nas i uprzytomnił, bo byliśmy obaj jak pijani forsownem darciem się pod górę, zmęczeniem i niepokojem. Po raz pierwszy odkąd puściliśmy się w tę pogoń nieszczęsną, odważyłem się spojrzeć na mego przyjaciela.

Twarz jego nie miała już wyrazu tej błędnej rozpacz, z jaką, miotał się przed swoim, pustym domem, wołając: "Gdzie iść? gdzie iść?" — przeciwnie: była w nich jakaś dziwna stężłość i skupienie wszystkich władz ducha i ciała w jakimś jednym, uświadamiającym się coraz bardziej kierunku; a od tej stężłości rysów w rażący sposób odbijało chwilowe drganie nozdrzy i w pół otwartych ust, któremi chwycił powietrze.

Nie umiem pani wypowiedzieć, jakie fantastyczne wprost wrażenie, sprawiała ta głowa upiorowo blada, uperlona rześnistym potem i pławiąca się w księżycowej kąpieli. — ta głowa, taka skamieniała i nieruchoma, a osadzona na tej falującej gwałtownie, jakby rozpeknięcia blizkiej piersi. Jedną rękę opierał silnie na mojem ramieniu, w drugiej ścisnął rewolwer i patrzył przed siebie wytężonym, a zdającym się nic nie widzieć wzrokiem. Od miejsca, na którem staliśmy, do gubernatorskiej willi było już jakie kilkaset kroków najwyżej; ale widzieć jej nie mogliśmy, bo znajdowała się po drugiej stronie wzgórza i droga rzucała się tu

w bok raptownie, byстрыm półkregiem obejmując pochyłość.

Dokoła nas busz piętrzył się wysoko, podobny do olbrzymiej kopuły, którą księżyc przeświecał od szczytu, a leciuchna mgła, czepiająca się wierzchołków, tworzyła nad nią płową opalowemi oblaskami migocącą aureolę. Im niżej, tem płowość ta i migotliwość stawała się bardziej liliową i matową, aż zniknęła, pochłonięta głęboką pomroką leśnego dna... Były to jakby trzy stopnie tego wielkiego, tajemniczego tronu, na którym rozsiadła się noc — tak piękna i tak pełna zmysłowego czaru, że zdawała się wołać wielkim głosem na całą, tulącą się pod jej płaszcz przyrodę:
"Kochaj! kochaj! kochaj!"

I zaiste, wszystko dokoła tchnęło miłością. Jakiś prąd namiętnej żądzzy zdawał się biedz od osrebrzonych koron drzewnych, aż w głębie czarnych jarów, i przepajać sobą każdy atom zwierzęcego i roślinnego życia...

Kochać się musiały w tej chwili płochy antylopy nad zrębami przepaści, i ponure nebyda, w rozpadlinach pni uczajone, i senne motyle na warkoczach lianów wiszące, i węże, na pościeli zgniłych liści zwinięte... kochać się musiały pękające kielichy orchidei, i mchy gromadne, i palmy samotne... kochać się musiały gwiazdy w obłokach, ocean w nieskończoności... ach! i — o! piekło tej myśli! — kochać się musiał w tej chwili de la

Rocha w swej nieszczęsnej ofierze, z całym rozpętaniem zmysłów, jakiego mu ta noc, jakby stworzona dla uwieńczenia jego szału, użyczyła.

Don Oskar oderwał z wolna oczy od drogi, która, gładka, zalana księżycem, miała na sobie, niby wstęga białej mory, delikatne arabeski cieniów od zwieszających się nad nią girland lianowych i obrócił ku mnie swą zastygłą twarz.

— Gdzie jesteśmy?... — wymówił bezdźwięcznym głosem. — Zdaje mi się, że poznaję tę miejscowość...

— Na drodze do Basileh — odrzekłem.

— Do Basileh?

Zachwiał się i cofnął, jak człowiek rażony obuchem.

Stało się! Zasłona spadła wreszcie z jego oczu. Może zdarła mu ją nazwa gubernatorskiego tusculum i za nią idące skojarzenie wyobrażeń, lub może ta potęga sensualizmu w imię której ów czyn haniebny spełniony został, a która pulsowała dokoła przemówiła teraz do niego i, jak płomienna błyskawica, oświetliła wszystko, na co dotychczas był ślepym.

Krew szkarłatną falą buchnęła mu do kredowobladej przed chwilą twarzy; żyły na skroniach wezbrały, oczy wybiegły z pod powiek, a stężale rysy skurczyły się i rozciągnęły raptownie tak, iż mnie, com na to z przerażeniem patrzył, wydało się, jak

gdyby ten nieszczęśliwy zolbrzymiał cały wściekłością i bólem.

— De la Rocha! — wykrzyknął, przykładając rozwartą dłoń do czoła. — De la Rocha!

Dźwięk tego nazwiska poszedł w busz daleko, odbił się przeciągle o wydetą pierś puszcy i zapadł w nią na wieczną pamiątkę wzgardy, nienawiści i przekleństwa, z jakim ono wymówione zostało.

Schyliłem głowę w milczeniu.

Mój przyjaciel porwał się z miejsca, jak tygrys raniony, i począł biedz przodem. Już nie potrzebował, żebym ja go prowadził; już nie pytał, co ma czynić.

W podniesionej jego ręce stal rewolweru świeciła niebieskawo, złowrogo...

Nie ubiegliśmy jeszcze kilkudziesięciu kroków, gdy Vero, który już nam tylko towarzyszył, zziajany bezskutecznym szukaniem śladów, przystanął, zaszczekał krótko i puścił się cwałem w górę, a jednocześnie w kotłowninie oszałamiających gwarów leśnych, o uszy nasze odbiło się coś jakby stłumione wołanie.

— Słyszysz?... — wyszeptał Don Oskar. — Słyszysz... to jego głos! Nadmierne wzruszenie obezwładniło go na chwilę. Cały trzęsący się, instynktownie wyciągnął

przed siebie rękę, którą pochwyciłem, podtrzymując go.

— Oskarze! — zawołałem, myśląc, że traci przytomność.

— Nic! nic!... odpowiedział, odpychając mnie zlekka. — O! jak mnie w skroniach wali... a widzę czerwono!... Ha!

I znowu rozległ się głos z góry. Tym razem i ja go poznałem. Urywany był i świszczący, widocznie od szybkiego biegu. Słów jeszcze rozróżnić nie mogłem, ale dźwięki ich przypominały warkot rozjuszonego brytana.

Skoczyliśmy obaj. Droga w tym miejscu miała znowu skręt nagły, zasłaniający zupełnie dalszą perspektywę. Słysząc już było wyraźnie odgłos szybko zbiegających z góry kroków, szczekanie Vera, urywane okrzyki de la Rochy, a jednak jeszcze nie widzieliśmy nic.

Dopiero po za tym skrętem ukazał nam się obraz, który nigdy nie wyjdzie mi z pamięci. Środkiem drogi, mającej tu bardzo bystry spadek, biegła Karina.

Cudne jej włosy, rozpuszczone w największym nieładzie, falowały za nią, unoszone wiatrem, ciężarem swoim przechylając w tył jej głowę. Ten mimowolny ruch nadawał jej rysom wyraz bohaterskiej dumy, górujący nawet nad dojmującym fizycznym cierpieniem i bezmierną trwogą, jakie się

w nich malowały. Usta jej były zaciśnięte i nieme; oczy, w górę wzniesione, błyszczały ogniem jakiejś męczeńskiej ekstazy, jak gdyby nie spodziewając się żadnego ratunku od ziemi, po której biegła, wzywała go od wiszącego sklepienia niebios.

Na jej białej sukni, zgniecionej i porozdzieranej, z jednego boku, od ramienia, które zwieszało się bezwładnie, szła aż do dołu wielka, szeroka plama wilgotnej ziemi, jak gdyby odcisnięta przy upadku z jakiejś wysokości.

Szybciej niż to wypowiedzieć zdołam, widok tej plamy i tej ręki zwichniętej czy złamanej, chwiejącej się za każdym poruszeniem ciała, przywiódł mi na pamięć wysokie, piętrowe niemal podpalowanie willi — i zrozumiałem, że pani Karina, doprowadzona do ostateczności, musiała zapewne wyskoczyć oknem.

I z tą samą błyskawicznością uprzytomniłem sobie ohydny scenę, jaka tam, w bezgranicznej samotności górskiej puszczy, pod osłoną, tej ekwatorialnej nocy, poprzedzić musiała ów akt rozpaczliwej nieszczęśliwej kobiety.

Wszystka krew zawrzała mi w żyłach... Chwyciłem rewolwer, spoczywający dotychczas w kieszeni, i odwiódłem go.

Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło nas od Kariny, a ona nie spostrzegła nas jeszcze. Biegła, ale widocznie traciła siły z każdą chwilą.
Drobne

jej stopki, migając z pod strzępów sukni, plątały się. a wtedy dla odzyskania równowagi, wyciągała przed siebie swą zdrową rękę i męczeńska jej twarz chyliła się w tył jeszcze bardziej i srebrzyste kaskady włosów sunęły po drodze, nieledwie tak srebrnej, jak one...

Tuż, tuż nad nią, doganiając ją prawie, w rozchełstanej na piersiach odzieży, straszny a piękny, jak demon tej bachicznej nocy, pędził de la Rocha.

Pianę miał na ustach, w oczach szął.

Spostrzegłszy, że się potknęła i zwalnia biegu, wybuchnął śmiechem szatańskiego tryumfu.

— Nie ujdiesz! — bełkotał ochryple — nie ujdiesz!... Zabić się chciałaś... skoczyłaś!... Wołałaś śmierć niż moją miłość... Będiesz ją miała, ale ci ją miłość moja da... Słyszysz?... W uściskach cię zaduszę... pocałunkami zakąsam... słyszysz?... tyś moja!... moja!...

Jeszcze minuta, dwie, a byłby ją dosięgnął, ale nim te dzikie słowa przebrzmiały, Karina zetknęła się z nadbiegającym z dołu Don Oskarem i

wpadła w otwarte jego objęcia. Teraz dopiero spostrzegła, jaką pomoc Opatrzność jej zsyła.

— Gabryelu!. — krzyknęła przeraźliwie, i głowa jej zwisnęła martwo na ramieniu męża.

I de la Rocha także dopiero w owej chwili nas zobaczył.

Zdumienie jego i wściekłość były tak wielkie,

że w rozpędzie, w jakim był osadził się raptem na miejscu, cofając zaciśnięte pięści w tył, stał tak przez kilka sekund nieruchomy, ze swym wspaniałym torsem, naprzód podanym, z chmurą czarnych, rozwichrzonych włosów nad czołem i z podciągniętą, kurczowo górną wargą, z pod której olśniewająco białe zęby co chwila błyskały drapieźnie...

Jak on był pięknym, a zarazem jak nieludzkim jakimś w tej swojej piękności, dyszącej okrucieństwem i chucią! Taką postać śnił chyba Byron, gdy tworzył Lucifera!...

Widzę go dotąd, występującego z potężnych ram buszu, na spadku tej pustej, księżycem zalanej drogi, z głową w blaskach, z roziskrzonemi oczyma i z głębokim cieniem, ścielącym mu się z pod stóp po białym szlaku, aż na ścianę gałęzi i lianów. na których się białymi konturami rozpląwał...

Dziwną bywa dokładność pewnych błyskawicznych wrażeń! Być może, iż napięcie ich w ten sposób, do tego stopnia zaostrza zmysły nasze, że na krótką chwilę dosięgają one takiego stopnia doskonałości, który pozwala im odbierać i zatrzymywać bez porównania większą sumę uczuć i spostrzeżeń, aniżeli w zwykłym stanie naszego organizmu...

Ogarnąłem de la Roche jednym rzutem oka; w chwilę potem już inne, gwałtowniejsze jeszcze wrażenie, szarpnęło moją jestestwem, a przecież każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, składający

się na całość jego wizerunku w owym momencie, tak mi pozostał w pamięci, jak gdybym mu się był godzinami przypatrywał.

I nie wstydzę się przyznać przed panią do tego, że, jak dziecko, — nastraszone przez niańkę baśniami, lęka się ciemnego pokoju — tak ja, stary i zahartowany na stal w kuźni życia, mam swój ciemny pokój, którego się lękam, a jest nim ta samotna, górską drogą do Basileh, kiedy się nad nią srebrem księżycowa noc rozepnie.

I zdaje mi się czasem, że okropna scena, która się na niej wówczas rozegrała, powtarza się tam w takie księżycowe noce; i nie poszedłbym tam teraz naprzykład za nic na świecie, bo by mi ją napewno moja zasuggestywowana fantazja stworzyła.

Zobaczył tedy de la Rocha, że kobieta, którą piekło oddało w jego ręce, której pożądał tak wściekle, jak tylko jemu podobne natury pożądać mogą, z której życia usta jego za chwilę w rozkoszy wypić miały, że ta kobieta tuż pod jego wzrokiem, wpada w objęcia ukochanego przez nią mężczyzny, i że jest dla niego straconą.

Okrzyk krótki, jęśliwy a rozżarty, do skowytu wilka podobny, wyrwał się z jego piersi... Podniósł zaciśniętą pięść do góry, sięgnął nią w zanadrze i, nim zdążyłem pomyśleć, co uczynić zamierzał, błysnęło podwójnie i padł — nie strzał jeden, któ

remu sądono było w Bożej sprawiedliwości paść — lecz dwa strzały. Były one tak równoczesne, jak gdyby ci dwaj ludzie mierzyli do siebie na komendę w najprawidłowszym pojedynku.

Uczułem się silnie w bok odrzuconym, — świst powietrza oszołomił mnie na chwilę, a opałowy obłok dymu, który nas wszystkich otoczył, zaćmił mi do reszty w oczach, mgłą wzruszenia przesłoniętych.

Więcej instynktem niż świadomością pojąłem, że de la Rocha chybił, że kula jego, przeznaczona Karinie, przelatując kontuzjonowała mnie w ramię i że ocalenie moje zawdzięczam owemu odrzuceniu mnie w bok, którego sprawcą musiał być Don Oskar, który szybszy niż myśl, przed strzałem przeciwnika na skraj drogi ze swoim ubóstwianym ciężarem uskoczył.

Jakoż, skoro dym trochę opadł, ujrzałem go, jak klęczał pod ljanami i, podtrzymując zemdloną Karinę jednym ramieniem, drugą ręką odgarniał splątane włosy, opływające jej plecy.

— Nie trafił jej!... — wołał urywanym głosem — nie trafił jej!... Kari moja... Kari... to ja... twój mąż!... Nie słyszysz mnie?... O, Boże!...

Widząc, że żyją oboje, spojrzałem wyżej.

Osrebrzona przestrzeń, na której tak imponująco górowała przed chwilą, postać de la Rochy,

była pustą, — natomiast, na białym szlaku, tam gdzie przedtem kładł się cień jego, leżał on sam...

W kilku skokach znalazłem się przy nim. Kim był, tym był, ale ta iskra życia, która w nim jeszcze tleć mogła, miała prawo do mojej pomocy i obowiązkiem moim było pamiętać o tem prawie.

Pochyliłem się nad nim.

Padł był na wznak, z rozkrzyżowanemi rękoma, z których jedna ścisnęła dymiący jeszcze rewolwer. Zielonawa bladość śmierci powlokła już jego obrócone ku księżycowi rysy; oczy miał na wpół przymknięte, a zaszkłone, ciche charkanie dobywało się po przez odsłonięte okropnym jakimś skurczem zęby.

Konał.

Cienki sznurek krwi sączył się zwolna przez otwór, wypalony po lewej stronie jego białego żakietu.

Podźwignąłem mu jedną ręką głowę, a drugą rozerwałem szybko wpół otwartą, zburzoną na piersiach koszulę, i zobaczyłem ranę niewielką, okrągłą, do czerwonej pieczętki podobną, z której sterczał i migotał bladawo, zwinięty promień srebrnopłowych włosów.

Końce jego, kilku kroplami krwi obciążone, spływały po apollinowym torsie pięknego hiszpana.

Poznałem włosy Kariny...

Musiał je mieć w bocznej kieszeni żakietu; mo

że posługiwał się nimi, jako jedną więcej bronią do zwalczania oporu nieszczęśliwej i kula znieważonego męża wepchnęła mu je w samo serce, posłała go wraz z nimi przed sąd Boga, aby przeciwko niemu świadczyły. Było coś tak okropnego, tak potwornego w widoku tej rany, zatkanej tymi włosami, które zdawały się wciskać tedy na samo dno sumienia tego półtrupca i palić je żywym ogniem nieopisanego wyrzutu chwili ostatniej, że, nie wiedząc prawie co czynię, z mętą jakąś myślą ulżenia mu w konaniu, chwyciłem je drżącymi palcami i — wyciągnąłem z rany. Ciepły strumień krwi buchnął z oswobodzonego otworu i obryzgał mi rękę. De la Rocha otworzył oczy szeroko, wpatrzył się we mnie niemal przytomnie i westchnął; różowa piana wystąpiła mu na zsiniałe wargi. Wyprężył się i nagle opadł sztywno, tylko stopy jego, te wązkie, arystokratyczne stopy, w których się tak lubował, drgały jeszcze przez chwilę automatycznym odruchem uleciałego życia. Odmówiłem nad nim krótką modlitwę — i podniosłem się. Nie miałem już przy nim co czynić. Duszę poleciłem miłosierdziu Bożemu; ciało zostawiłem opiece puszczy i nocy. Tak być musiało. Don Oskar wzywał mnie już wielkim głosem...

Nie mógł się docucić Kariny i dławilo go, że mu w tem nie pomagam. Jestem pewny, że w owej chwili nie pamiętał nawet, iż zabił człowieka. Karina spoczywała w jego objęciach, tak prawie zimna i sztywna, jak tamten.

W pobliżu nie było nigdzie wody... Na szczęście, miałem przy sobie płaską, podróżną, flaszkę z trochę koniaku.

Wlałem jej w usta kilka kropel. Don Oskar pochwycił jej dłonie, aby je natrzeć rozgrzewającym płynem.

— Ostrożnie ! — zawołałem — ostrożnie z tą ręką!...

Teraz dopiero spostrzegłem anormalny układ jej lewego ramienia, które już mocno opuchło i zsiniało. Płomień mściwej nienawiści przeleciał mu po bladej twarzy.

— Przekleństwo mu!... — syknął — przekleństwo jego...

Nie dałem mu dokończyć.

— Przestań, Oskarze!... — rzekłem prawie surowo. — Rachunki jego ze światem zamknięte...

Wzdrygnął się i spojrzał na mnie pytająco.

Skinałem głową w milczeniu.

Zrozumiał mnie. Ręce jego, cucące zemdloną Karinę, opadły na chwilę i plecy pochyliły się, jakby pod niewidzialnym ciężarem, jaki się skądś na niego zsunął.

Ach, pani! Nie daj Boże, być zmuszonym samemu sobie wymierzać sprawiedliwość!... Może to być czasem rzeczą zupełnie godziwą... czasem, jak naprzykład w tym razie, nawet konieczną, a przecież taki sędzia własnej krzywdy, gdy wyrok krwią napisał, nigdy już, nigdy nie będzie się czuł w sumieniu swoim tem, czem dawniej!

Życie ludzkie ma w sobie dziwny majestat nietykalności. W obronie własnego wzięte, na szalę zbezczeszczonego honoru rzucone, stanie

zawsze widmem krwawem i gnębiącym przed duszą sprawiedliwego i powie jej: "Zabiłaś!"

Tymczasem Karina zaczęła wychodzić nieco z martwoty. Powieki jej zadrgały kilkakrotnie; pierś poruszyła się słabym oddechem i po chwili jęknęła zcicha. Wracała do życia z cierpieniem.

— Żyje! żyje! — wykrzyknął Don Oskar, zapominając znów o wszystkim.

Pocałunkami okrywał jej chłodne czoło i włosy, własnym tchnieniem starając się wlać ciepło w jej zeszywniałe członki. Ale nie dałem mu cucić jej zupełnie.

— Zostawmy ją, jak jest... — szepnąłem. — Im większa przytomność, tem większy ból będzie, a drogę mamy daleką i we dwóch wygodnie jej nieść nie możemy.... Lepiej, niech tego nie czuje...

— Masz słuszność — odszepnął — Moje bohaterskie biedactwo! — Ile chwil tragicznych prze

żyło już to czyste, tkliwe serce... I zawsze nieskazitelne, zawsze... O, Kari moja! Kari!..

Z nadzwyczajną ostrożnością układał jej chore ramię, szukając najwygodniejszej pozycji do podnoszenia jej.

Nagle uczynił taki ruch, jak gdyby chciał się obejrzeć po za siebie — i wzdrygnął się znowu.

— Oddalmy się stąd, Luizie! — wymówił dziwnym jakimś głosem. — Oddalmy się coprędzej!

Wciąż klęcząc, przysłonił dłonią oczy — i widziałem, że usta jego poruszyły się przez chwilę. Potem odrzucił głowę w tył i utopił wzrok

smutny, surowy, a jednocześnie jakby korny, w nieskończoności nocnego błękitu.

— Stało się! — rzekł. — Bóg widział i... widzi!... Idźmy!

Dźwigaliśmy obaj wespół nieprzytomną Karinę. Jęknęła znowu głucho, ale nie otworzyła oczu.

Ułożyliśmy ją tak, że spoczywała prawie w poprzek na naszych piersiach i zaczęliśmy bardzo powoli spuszczać się z góry.

O tamtej, bocznej drodze, nie było co myśleć. I tu, choć szlak był szeroki i wygładzony, niesienie chorej utrudniało nam pochód niezmiernie, nie pozwalając przyśpieszać kroku i wyczerpując do reszty siły, zszarpane poprzednim, forsownym marszem i przebytymi wzruszeniami.

Sądzę też, że gdyby nie stan wyjątkowego, ner

wowego podniecenia, w jakim znajdowaliśmy się obaj, bylibyśmy padli wraz z naszym ciężarem w połowie drogi.

W każdym razie musieliśmy stanowić dziwną, i fantastyczną, grupę, kiedy sunęliśmy tak, wolno, równo, jak dwa widma milczące i wybladłe, z tem trzecim nieruchomem widmem na naszych piersiach, którego rozpuszczone włosy omotywały się dokoła naszych rąk. Vero postępował obok, ze zwieszonym łbem, chowając ogon pod siebie, a ciemna jego sylwetka wydawała się prawie czarną., przy tej wielkiej, szarej plamie, którą tworzyły nasze białe, skupione ze sobą postacie....

Po obu stronach cichej, osrebrzonej smugi drożnej, dziewicza puszcza, w zielonawych cieniach spławiona, wzdęta i pulsująca, jak pierś hetery, staczała się w dół nieprzebitą, gwałtowną lawiną.

Raz po raz wybiegały z niej pojedyncze odgłosy, do chichotów lub do łkań podobne; chrzęstom w dole odpowiadało łopotanie w górze, sapanie, świsty, brzęki, kotłowały się w gąszczu, jak wezbrana rzeka, w kamiennych łomach uwięziona, a het, z najdalszej głębi, szła rozzierająca, przenikliwa skarga zebry i kładła w tę orgię dźwięków swą nutę żalobną i tęskną...

Tam zaś, na górze, z zastygłą, twarzą, ku wieczystemu ruchowi eterów obróconą, sam na sam

z rozwiązana już zagadką bytu, pozostał de la Rocha.

Księżyc przeglądał się w jego szklanych źrenicach, a nadmiar żywotności, rozpierający otaczającą go naturę, lał się na jego pierś martwą i spływał z niej, jak woda z marmuru, bez śladu, nic już wspólnego z tym spokojem śmierci nie mając.

W miarę, jak zbliżaliśmy się ku miastu, spadzistość drogi stawała się coraz łagodniejszą, wreszcie wyrównała się w prosty zupełnie gościniec. Pomimo ogromnego zmęczenia, mogliśmy iść trochę prędzej, bez obawy zaszkodzenia tem Karinie, która kilkakrotnie w ciągu tego marszu, który nam się nieskończonym wydawał, odzyskiwała przytomność i zaczynała jęczeć.

Wtedy zatrzymywaliśmy się i, przysiadając na skraju drogi, czekaliśmy, dopóki nie wpadnie znów w stan odrętwienia, z którego każde silniejsze wstrząśnienie wyrywało ją boleśnie...

Było już może koło piątej, gdy pierwsze domki SantaIsabelli ze swymi opłotkami z bielonych kalaborów, ukazały się przed nami. Stanęliśmy obaj, jedną powodowani myślą. Widok ludzkich zabudowań przypomni

nam, że dźwigamy na naszych rękach nie tylko życie, ale honor tej nieszczęśliwej — i całą tę okropną tajemnicę, która powinna była zostać wyłącznie pomiędzy Bogiem a nami...

— Mam nadzieję, że nie spotkamy nikogo — rzekł ponuro mój przyjaciel.

— Mam nadzieję że kielich mój już pełen!

Niestety, nie był on pełen, ale tej kropli los mu przynajmniej oszczędził.

Miasto spoczywało w tym najgłębszym śnie, jaki poprzedza zwykle godzinę świtu. Żaden szmer nie przedostawał się poprzez zamknięte okiennice domów, około których przechodziliśmy, tak samo milczący, jak one. Nawet głosy stróżów nocnych, odzywające się zwykle przeciągłym nawoływaniem: " Waatchmaan!" pomilkły już, zmęczone; nawet psy, te najszcześliwsze psy na świecie, z jakich, w braku innych osobliwości, słynie SantaIsabella, spały teraz mocno po swoich norach.

Ta jałowa cisza ludzkiego siedliska, po nieustających potężnych rozhovorach puszczy, te niskie domki, z rzadka rozsiane, w których legło ciężko życie ich mieszkańców, zawsze drzemiące i leniwe, po owych tytanicznych ścianach buszu, wibrujących rozkoszą, siłą i wieczną młodością, — ta nędza i pospolitość lichej miejsciny, po romantycznych wspaniałościach natury, — nawet ta noc, taka piękna i wysrebrzona tam, na górze, a tu już dogorywająca, bezbarwna po zajściu księżyca i matowa, w swych zapowiedziach brzasku, — wszystko to sprawiało takie wrażenie, jak gdyby ze

świata olbrzymów przeniesiono nas raptem w świat karłów...

I my sami skarleliśmy także wśród tego otoczenia.

Tam, wskroś dziewiczego państwa przyrody, szliśmy z bólem i trudem, jak przystoi nieszczęściu, które Boga sobie wezwało na świadka i w obliczu Jego czystem się czuje; tu krok nasz stał się skradającym i niepewnym, jak u ludzi, dźwigających na sobie zbrodnię i hańbę, lub ich pozory, co u świata tak często na jedno wychodzi; a nędzna, ułomna obawa ludzkiej opinii, wkradła się do serc naszych, które tam, na wyżynach Basileh, były szerokiem tętnem tragicznych namiętności...

W ten sposób minęliśmy miasto, nie spostrzeżeni przez nikogo.

W alei mangusowej odetchnęliśmy swobodniej. Głęboki mrok, jaki w niej panował, był czemś nad wszelki wyraz kojącem i dobroczynnem dla naszych rozprężonych nerwów.

Nie widzieliśmy się wzajemnie, a przynajmniej bardzo niewyraźnie: nie widzieliśmy wyrazu okrutnego cierpienia, który zastygł na nieruchomych rysach Kariny, — a i to coś znaczyło.

Ciemność nam nie przeszkadzała. Znaliśmy przecie każdy krzak, a poczucie bezpieczeństwa i bliskość domu dodawały nam sił nadzwyczajnych. Posuwaliśmy się szybko i lekko, jak gdyby nie ci

sami ludzie, pod którymi u wejścia do miasta gięły się kolana...
Może ten nich przyśpieszony, a może inne tajemnicze wpływy,
wydzielające się z tych miejsc znanych; może instynkt macierzyński,
szarpnięty przeczuciem — sprawiły, iż w chwili, kiedy już tylko
kilkanaście kroków dzieliło nas od wrót Karinafieldu, żona Oskara
odzyskała nagle przytomność.

Uniosła nieco głowę, spoczywającą na ramieniu męża i opuściła ją wnet
bezsilnie, ale usta jej wyszeptały wyraźnie:

— Gabryelu!...

— Co, Kari moja?...

Pochylił się nad nią tak blisko, że włosy ich mieszały się ze sobą. Było
znowu widno, bo wyszliśmy na przestrzeń wytrzebioną. Po cudnej jak
marzenie nocy, poranek wstawał chmurny i mglisty — i w sinawem jego
świecie obie ich głowy, jasne i piękne, przytulone do siebie, miały jakiś
wygląd woskowy, nienaturalny.

— Gdzie jestem?... — przemówiła znowu Karina słabo, dotykając siebie
swą zdrową ręką. — Co się ze mną dzieje?...

— Jesteś w moich objęciach, najdroższa... Patrz! i Dom Luiz przy tobie...
Za chwilę będziemy w domu...

— W domu!... — powtórzyła — w domu!... A gdzie Hilda?...

Dźwignęła znowu głowę i oczy jej pobiegły przed siebie z wyrazem budzącego się w nich niepokoju.

Wnosiliśmy ją właśnie na podwórze. Uczułem, że ręka Don Oskara, dotykająca mojej, zadrżała i dreszcz ten mnie się także udzielił...

Dom stał przed nami, bardziej jeszcze milczący i grobowy teraz, w białym świetle bezsłonecznego dnia który przyszedł nagle, zupełnie, jak gdyby czekał nas na tem podwórzu — niż był przed kilkoma godzinami, kiedy po jego zamkniętych oknach ślizgały się księżycowe smugi, nadając mu pozór tajemniczego życia...

— Hilda śpi... — odpowiedział niepewnym głosem mój przyjaciel. — Zobaczysz ją zaraz...

Ale Karina zdawała się go nie słyszeć... Jakby cudem odzyskując siły, próbowała wydostać się z naszych objęć, z gorączkowym ogniem w zamglonych źrenicach, z dwoma krwistymi plamami, co wytrysnęły nagle na jej kredowych policzkach, szukając czegoś w fałdach swej poszarpanej sukni.

— Flaszka... gdzie flaszka ?!... — zawołała przerażona. — Przypominam sobie... poszłam po lekarstwo dla mego chorego dziecka... Ale to tak dawno!... Czemu mnie dotąd niema przy mojem chorem dziecku?... Gdzie lekarstwo?... Gdzie ja byłam?... Puśćcie mnie!...

Wyrywała się nam, pomimo widocznego bólu, jaki wykrzywił jej rysy.

— Uspokój się, Kari, uspokój... — powtarzał Don Oskar, drżący jak liść. Byliśmy już na werandzie. Połowa frontowych drzwi stała otworem, dając ujście najgłębszej ciszy, jaką tchnęło wewnątrz domu.

— Saro! — zawołałem półgłosem — Saro! Chciałem, aby nam otworzyła drugą połowę drzwi, dziwiąc się jednocześnie, dlaczego ta jedna była otwartą o tak wczesnej porze.

Nikt nie odpowiedział.

Ale wtem stała się rzecz okropna.

Z nieczłowieckim okrzykiem, jednym szarpnięciem się Karina skoczyła, a raczej stoczyła się na ziemię i ze swym wiewającym bezwładnie ramieniem, rozbijając się okrutnie o uszak drzwi, wbiegła do wnętrza i runęła na podłogę u progu przeciwległego pokoju.

To, czego nie spostrzegły jeszcze nasze przytomne oczy, to ujrzało w pół omdleniem zasnutę oko matki.

Na tym progu, skręcona w kurczach konania, w koszulce nawpół okrywającej zsiniałe członki, z zakrzepłą krwawą pręgą na skroni — leżała mała Hilda...

Musiała długo tarzać się po ziemi, rzucana atakiem okropnej choroby, w którym nie było jej komu ratować, bo anielska jej twarzyczka była ohydnie zeszpecona sińcami i kurzem, pianą i krwią, po

dobnie, jak i to całe wypieszczone ciało, które dotąd znało tylko same miękkie, aksamitne dotknięcia kochających je rąk.

Sara dotrzymała swej pierwszej zapowiedzi — uciekła. Strach przewyciężył w niej nawet pragnienie złota. Hoże, gdybym jej nie był dał tych czterech suwerenów, byłaby została! Może za ciężko byłoby jej wyrzec się całej nagrody.

O, aniołku mój mały! O, Hildo! Czy był kiedy zgon dziecka boleśniejszy nad śmierć twoją?!... Tak kochane, a tak opuszczenie w ostatniej chwili!...

O! jakież okrutne zdziwienie, jaka rozpacz niepojęta napęlić musiała twoje małe serduszko, kiedy rączyny twe, wyciągając się po ratunek, napotykały tylko próżnię, a targana konwulsyjnymi rzutami główka twoja, rozbijała się o twarde kanty sprzętów, nie znajdując oparcia na łonie matki, w ramionach ojca!... O! chcę wierzyć, że cię dobił ten ostry sztyft żelazny, w progu sterczący, na którym ślady twojej krwi zostały; żeś nie umarła z nadmiaru zwątpienia w serce najbliższych, z nadmiaru uczuć tragicznych, z nazwy ci nawet jeszcze nieznanach; że to nie one wystraszyły tak duszyczkę twoją, iż pierzchnęła do nieba...

O, aniołku mój mały! O, Hildo.

.....

Pozwól mi pani zarzucić zasłonę na te chwile czarne, pozwól mi przemilczeć o tem, co się działo

w tym domu nieszczęścia, gdzie obok trupa dziecka, leżała pomiędzy życiem a śmiercią matka i snuło się widmo męża i ojca, — widmo, które ze wszystkich władz człowieczych zdawało się posiadać jedną już tylko władzę cierpienia.

Następnego dnia odbyły się dwa pogrzeby. Jeden z rana, cichy, żadnych świadków nie mający, prócz nas dwóch, cośmy trumienkę nad morze zanieśli i pod samotną palmą na małym wzgórku, jakby do przygotowanego na ten cel kurhanu podobnym, w wykopany własnymi rękoma dół złożyli, i grudkę ziemi szwedzkiej z usypanym nad nim ekwatoryalnym piaskiem zmieszali; drugi po południu, prowizoryczny pogrzeb de la Rochy, na który wyległo całe miasto, bo odbył się z przepychem, na jaki tylko stać było SantaIsabellę.

Na pontonie strzelano z armat; wszyscy europejczycy stawili się z krepowemi opaskami na rękawach swych białych żakietów; załoga "Izabelli II" odbyła defiladę przed trumną, a misye męska i żeńska wystąpiły w komplecie, chłopcy ze świecami w rękach, a dziewczęta w białych i sztywnych welonikach, — wzruszające obrazy potonegerskiej niewinności, z których każda miała już po paru kochanków. De la Rochę znaleźli na drodze rządowi ludzie, śpieszący wczesnym rankiem do Basileh, po rozkazy pana.

Ponieważ znaleziono go z wystrzelonym rewolwerem w zaciśniętej dłoni, a dziwnym trafem wydobyta z rany kula odpowiadała jego kalibrowi, a sądowa ekspertyza pod przewodnictwem światłego Juanity, uznała to za wystarczające do orzeczenia faktu samobójstwa.

Wszystkim zresztą wniosok ten trafił do przekonania.

De la Rocha znanym był ze swych fantastycznych porywów, a w ostatnich dniach anormalne jego zachowanie się, wybuchy wścieklej jakiejś wesołości, wśród których dopuszczał się nieprawdopodobnych wybryków, aby po nich godzinami zatapiać się w ponurej melancholii, były przedmiotem ogólnych pogadanek i domniemywań.

Myślę, że Juanito i Don Mariano mieli swoje własne poglądy na tę sprawę i upatrywali pewien związek pomiędzy raptowną chorobą pani Aderskiel, jej zwichniętem ramieniem, które ze zręcznością konowała zestawiał miejscowy doktor, a tragiczną śmiercią pięknego gubernatora w puszczy Basileh; ale jeżeli tak było, to mieli oni także dość poważne osobiste powody, aby się z rzucaniem światła na tę tajemniczą sprawę nie kwapić.

Myślę również, iż wspomnienie zachowania się de la Rochy podczas ostatniej rozmowy ze mną na pokładzie, jego pomieszanie i mój ton surowy, kazały im przypuszczać, jakoby wiedział więcej,

niż to dla ich bezpieczeństwa potrzebnym była i umiał w danym razie zrobić z tego użytek.

Utrzymała się zatem w swej powadze wersja samobójstwa i poszła w oficjalnym raporcie do ministerium de ultramar, opatrzona poświadczeniem wszelkich formalności, dokonanych na papierze.

Gubernatorstwo wyspy ad interim objął komendant portu; zwłoki zaś miały być przewiezione z honorami wojskowymi na "Izabelli II" do Europy, po otrzymaniu stamtąd odpowiednich informacji.

Takim był epilog tego krwawego dramatu dla jednego z jego aktorów.

Po kilku tygodniach ciężkiej, niebezpiecznej choroby, Karina podźwignęła się z niej, ale tylko ciałem — i to jakże wynędzniałem, jakże zmienionem ciałem!

Umysł jej pozostał zmaconym. Od chwili, gdy padła przy sinym trupku Hildy, świadomość terażniejszości nie powróciła jej wcale. Jeżeli poznawała męża, to tylko jako owego szlachetnego, obcego młodzieńca, który pierwszy z pomiędzy tych, co jej ofiarowywali hańbę i złoto i torturowali ją ubliżającymi zabiegami, przyszedł do niej ze słowem zacnej, szczerzej miłości i wyciągnął dłoń uczciwą, aby jasną perłę jej duszy unieść ze śmietnika, na którym ją ironia losu złożyła.

Biedna Karina! Tu, pod równikiem, w opusto

szalym rajem domowym, przeżywała po raz drugi swą przeszłość okrutną, co poszła za nią jak cień i zabiła jej szczęście. Była znów "Gwiazdą północy", piękną tancerką na linie, obwożoną po wszystkich główniejszych miastach Europy w trupie cyrkowej, której właścicielką była jej matka, dopuszczająca do udziału w zyskach swego kochanka en chef, słynnego strzelca i akrobatę, Ernesta Franka.

Ten Ernest Frank nie był bynajmniej gentlemanem. Pił, grał w karty i łajał swoją współpracowniczkę, jeżeli mu nie dawała tyle pieniędzy, ile chciał; a ona mściła się na córce, że jej ich nie dostarcza! Mieć taką kopalnię złota w swych srebrzystych włosach i lazurkowych oczach i niechcieć jej eksploatować!... Była to istotnie oburzająca głupota z punktu widzenia cyrkowej etyki. A w dodatku, ta mała idiotka nie lubiła nawet występować; płakała przed każdym przedstawieniem, nie flirtowała oczami z parterem, nie posyłała wyzywających uśmiechów galeryi, a ofiarowane jej kwiaty i wieńce rzucała w ogień!

Wszystkie te wspomnienia i mnóstwo innych wracały teraz w bezładnych słowach Kariny — i była to niewypowiedziana tortura dla mego przyjaciela, ta piękna tajemnica, odsłaniająca się szczególnie po szczególe przed memi oczyma przez usta jego obłąkanej żony...

Nie próbował jednak zapobiegać temu, bo było to zresztą niepodobieństwem. Przychodziłem tam teraz codziennie, a czasem parę razy na dzień, pomagając mu to w dozorowaniu chorej, to w zajęciach gospodarskich. Jeden z parowców przywiózł wreszcie ludzi; trzeba było o nich myśleć; praca na farmie musiała iść swoim trybem, pomimo wszystkiego. Żałoba, nieszczęście i rozpacz swoją drogą, a kakao, pola tytoniowe i ryż dla krumanów — także swoją drogą. Takim jest życie! Don Oskar postąpił ze mną w powyższym wypadku ze zwykłą mu prostotą i prawością. Za pierwszym razem, gdy pani Karina w mojej obecności zaczęła mówić o matce, o występach — a choć mówiła najczęściej po szwedzku, to przez lat kilka obcując z nimi, poznałem na tyle ten język, że ją rozumiał — wziął mnie za rękę i w kilku słowach wytłómaczył mi znaczenie tych aberacyi, nie domyślając się, że to, co miał za tak głęboko ukryte, było mi już dawniej wiadomem, i nie tylko mnie, ale jeszcze dwom ludziom na wyspie...

Ha! gdyby był na jedną chwilę przypuścił, że Don Mariano i Juanito... zdaje mi się, że zadławiłaby go ta świadomość, lub popchnęła do jakiego szalonego czynu.

Ale Bóg okazał się miłosiernym dla niego, dając jakiś cudowny instynkt obłąkanej, że, odnawiając wszystkie rany przeszłości, tę jedną najkrwaw

szą, pozostawiała nietkniętą: usta jej nie wymówiły nigdy nazwiska de la Rochy, i mój przyjaciel nie dowiedział się nigdy, że człowiek ten, porywając mu żonę, dokonywał tylko zaczętego dawniej dzieła hańby. Zaprawdę! należało mu się choć to jedno; zaprawdę i tak było już tego za wiele!

Ach! pani!... Nie moich słów niedołącznych trzebaby na to. żeby opisać tych kilka miesięcy piekielnych katuszy, jakie przeżył, patrząc — z mogiły dziecka na tę drugą, ukochaną nad wszystko istotę, żywą jeszcze, a już umarłą dla niego, zstępującą zwolna w nieunikniony, fizyczny grób po ponurej ścieżce umysłowej śmierci!

Najokropniejszemi bywały te chwile, kiedy Karina, wyobrażając sobie, że godzina występu się zbliża, zaczynała się do niego przygotowywać, jak gdyby się przygotowywała na męczeństwo.

Serce pękało, patrząc na nią, jak z gorączkowymi rumieńcami na wychudłych policzkach, łamiąc rozpaczliwie ręce i zanosząc się od płaczu, lub z martwą rezygnacją ofiary, co jeszcze boleśniesz sprawiało wrażenie — rozpuszczała włosy, szukała białych pantofelków, trykotów, krótkiej gazowej sukienki i sztucznych kwiatów.

Trzeba było dostarczyć tego wszystkiego, — a jak pani wiadomo, w faktoryach afrykańskich, poszukawszy dobrze, znajduje się najniespodziewań

sze rzeczy, — trzeba było, gdyż wpadała w istny szal trwogi na myśl, że się spóźni, że się przedstawienie nie uda i że później bić ją za to i głodem morzyć będą...

Obawy te sięgać musiały wspomnień jej lat najmłodszych, bo pod ich wpływem stawała się sama jakby dzieckiem, kurczyła w sobie i rzewnym małym głosikiem wypraszała się od kary.

Ze sztuczki bladuróżowej, delikatnej tkaniny, z rodzaju tych, jakie tu używają na mustikiery, uszyła sobie powiewną, spódniczkę i stroiła się w nią, przypinała pęki sztywnych, robionych róż do gorsu, próbowała przed lustrem stereotypowego uśmiechu dziękującej za oklaski wołyżerki.

Czasem, wśród tych przygotowań, buntowała się nagle i wówczas, zrywając obwieszające ją świecidełka, deptając kwiaty, padała na kolana i wyciągała ręce błagalnie, jakby do stojącej nad nią niewidzialnej jakiejś osoby.

— O, zlituj się! — wołała — zlituj się!... Ja nie mogę dzisiaj... Oh, te światła!... ta muzyka... te tłumy... te śmiechy kłownów... ci ludzie!... Ci ludzie co na mnie patrzą, jak na rzecz swoją, za którą zapłacili, aby się nią bawić.. O! matko... bądź dobrą dla mnie ten raz jeden... Pozwól mi zostać samej w moim pokoiku!... Nie chcę kolacy, nie chcę już nic... Zostawcie mnie tylko w spokoju!...

Milkła na chwilę, wpatrzona w przestrzeń z rozdzierającym wyrazem prośby i mówiła znowu:

— O! czemuś mnie nie kazała uczyć... czemu ja nic nie umiem z tego, co daje uczciwy kawałek chleba, szacunek u ludzi!?... Pracowałabym od świtu do nocy, zarabiałabym dużo pieniędzy... i oddawałabym ci je, matko, wszystkie... wszystkie!... Dziś rano na ulicy spotkałam młodą dziewczynę z teką w rękę. Spieszyła się; szła pewno na lekcje... Może ma także matkę, na której utrzymanie pracuje w ten sposób. O, jak to błogo i

jaka ona szczęśliwa... O! matko, nie śmieję się tak okropnie!... nie szydź ze mnie tak strasznie!...

Innym razem znowu, wyprostowana, z namarszczoną brwią, z oczyma, ciskającymi błyskawice, przeobrażona nagle z pokornej, bojaźliwej niewolnicy, w dumną królowę, zdawała się odpychać coś wyciągniętą nakazująco ręką.

— Nigdy!... — mówiła silnie wibrującym głosem — nigdy! wolę umrzeć!... Nie wyjdę do tego człowieka, nie będę słuchała słów jego ohydnych... Jego spojrzenia policzkują mnie... Zabierz to, matko; oddaj mu... Brylanty? O, nędzo moja!... Czemuż nie mogę skonać w tej chwili!... Wizye te wyczerpywały ją straszliwie; umierała z nich — to było widoczne. W początkach, kiedy wyszła z gwałtownego zapalenia mózgu, co ją powaliło na łożo. wyjazd do Europy, odpowiednia opieka lekarska byłyby ją może uratowały... Ale

na to, niestety, nie było środków. Taka podróż we dwoje, z potrzebnymi dla chorej wygodami, pobyt w tej Europie, gdzie nieszczęsny mój przyjaciel nie miał już nic, coby mógł nazwać swoją własnością, długa, kosztowna kuracja — wszystko to przedstawiało trudności nie do zwalczenia.

Don Oskar chciał sprzedać farmę, dom, meble za byle co, ale kupca nie było. W pertraktacjach, obietnicach, zrywanych w ostatniej chwili układach, schodziły dni i tygodnie; odpływały parowce, zabierając ze sobą tę faktyczną możliwość powrotu, zdarzającą się tu tylko raz na miesiąc, a czasami rzadziej — i nie pozostawało nic innego, jak z rozpaczą bezsilności w sercu czekać, co przyszłość przyniesie.

Co do mnie, oddawszy Don Oskarowi paręset swoich funtów na wypłatę Lagosczyków, byłem na razie bez żadnej gotówki i dopiero za trzy, cztery miesiące spodziewać się jej mogłem. Po raz pierwszy w życiu żałowałem gorzko mojej mierności, z którą było mi dotychczas tak dobrze! Kredytem moim zdołałem jednak zgromadzić niewielką sumkę, wystarczającą zaledwie na jeden pasaż pierwszej klasy i tę wręczyłem Don Oskarowi, w nadziei, że się jakoś przewlecze do czasu, kiedy będzie można zrobić coś więcej. Ale robota złego była przerażająco szybką. Zbawienne dla organizmu epoki odrętwienia, pod

czas których Karina żyła życiem czysto fizyologicznym, jadła, spała i godziny całe trawiła w hamaku, leżąc beczynnym, nieruchomą, milczącą, nieczuła na wszystko, co się dokoła niej działo, stawały się coraz krótsze, natomiast zabijające powroty w przeszłość coraz częstsze, coraz jaskrawsze.

Doszło do tego, że nie wystarczały jej same przygotowania. Żądała koniecznie liny; przychodziła na nią jakaś niepojęta, fantastyczna tęsknota za tem, co było niegdyś jej torturą, ale zarazem jej sztuką.

Gdy pierwszy raz objawiła to żądanie, Don Oskar oparł mu się stanowczo, z pewnem wzdrygnięciem się swej rozranionej duszy, nową, wyrafinowaną męką zagrożonej; ale w końcu musiał ustąpić. Karina dostawała takich histerycznych ataków, — ona, to wcielenie łagodności i słodyczy: wpadała w taką furję, że dalsze sprzeciwianie się mogło tylko przyśpieszyć koniec.

Wybraliśmy więc na nietrzebionych gruntach farmy miejsce nieco otwarte a zaciszne, kędy żaden niepotrzebny świadek zapędzić się nie mógł — i tam, między dwoma różowawymi pniami smukłych ceib, związaliśmy luźno grubą, okrętową linę, w takiej wysokości, żeby przypadkowe spadnięcie na rozścielające się pod nią miękkie posłanie paproci nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa. Tam to, od czasu do czasu, odgrywała się dziw

na scena: Młoda, piękna jeszcze, pomimo wyniszczenia i błędnego wyrazu oczu, kobieta, w krótkiej sukience, z rozpuszczonymi włosami, z pękami szklanych błyskotek na obnażonej szyi, z girlandą sztucznych kwiatów, wężem opasującą jej kibić, dostawała się po ramionach dwóch milczących, bezdennie smutnych mężczyzn na lekko drżącą od leśnego powiewu linę.

A jak Anteusz, za dotknięciem ziemi, nowych sił nabierał, tak ona, wyczerpana, słaniająca się na nogach, raz znalazłszy się na tej linie, odzyskiwała dawną sprężystość i gibkość. Z japońskim parasolikiem w rękę, z bladym, pełnym słodkiej melancholii uśmiechem na rozchylonych ustach, kołysała się w powietrzu, jak motyl, na rozbujałej słonce zawieszony, — lekka i śmiała, biegła od końca do końca liny, zdumiewając cudowną harmonią i swobodą ruchów i póż, z których każda była jakby gotowem dla rzeźbiarza studyum.

I było to prawdziwe przedstawienie: sztuka akrobatyczna, doprowadzona do artyzmu, wyidealizowana w swej bezduszości odrębnym, dziewiczym wdziękiem, który tę tancerkę na linie, wystawiającą na pokaz swe gnące

się w zuchwałych, drażniących liniach kształty, przeobrażał w mistyczną westalkę, niedostępne dla tłumu obrzędki swego kapłaństwa sprawującą. Tak, to było przedstawienie; tylko zamiast

dusznej sali cyrkowej, służyły mu za tło zielone schody palm; zamiast światła żyrandoli, kapało na nie przez liście złoto podróżnikowego słońca, a zamiast hałaśliwej publiczności, przyglądało mu się dwóch milczących, bezdennie smutnych mężczyzn, posuwających się po obu stronach liny, w kierunku poruszeń tancerki i gotowych za lada chybnieniem się jej, pochwycić ją w swoje ramiona.

Ale ona nie chybnęła się nigdy. Tylko bywało, że w chwilach wykonywania najtrudniejszych ewolucji, po których niegdyś musiano jej frenetyczne bić oklaski, coś, jakby ich echo budziło ją i przywoływało do rzeczywistości. Wtedy wzdrygała się; spazm obrzydzenia i bólu przebiegał jej skupione rysy, wystraszonym wzrokiem toczyła dokoła i z przeciągłym jękiem zsuwała się na otwartą pierś męża.

Tuliła się do niego, szepcząc: "Nie daj mnie. nie daj!" Opasywała jego szyję rękoma i, nim ją doniósł do domu — tak lekką z każdym dniem lżejszą — zasypiała mu na ramieniu, jak ptak zmęczony...

Zresztą obłąkanie Kariny, a zwłaszcza jego objawy, utrzymane były przez nas w najgłębszej tajemnicy.

Rzecz taka, niewykonalna w Europie — tu, w tej puszczy, przy odpowiednich środkach ostrożności, była zupełnie możliwą.

Dla mieszkańców SantaIsabelli, którzy i dawniej nie spotykali się często z piękną panią Aderskield, była ona złamana śmiercią ukochanej córeczki, chora ficzycznie i potrzebująca koniecznie zmiany miejsca. Służba domowa, złożona teraz tylko z dwóch krumaników, widywała ją rzadko i to jedynie w chwilach spokojnych.

Zarządem domu i wszelką koło Kariny posługą zajmował się Don Oskar. Ubierał ją i rozbierał jak dziecko, układał do snu, pamiętał o jej najdrobniejszych potrzebach z kobiecą subtelnością. Urządziliśmy się więc tak, że zawsze jeden z nas znajdował się w pobliżu, a Vere był jej nieodstępnym stróżem.

Pocziwe zwierzę zdawało się odczuwać nieszczęście domu. Smutne i ciche siadywało po całych dniach u stóp Kariny, jak gdyby rozumiejąc, że w ten sposób najlepiej przywiązanie swe panu okaże.

Raz jednak — a było to już w czasie, kiedy lada tydzień mogłem się spodziewać pieniędzy z Europy i oczekiwałem ich jak zbawienia — nagły interes powołał Don Oskara do miasta.

Wpadł do mnie. chcąc, abym na tych parę godzin udał się na farmę i zastąpił go przy Karinie; ale nie zastał mnie w domu. Spotkaliśmy się dopiero gdy wracał i poszliśmy razem, nie tracąc chwili.

Nie mieliśmy jednak żadnych szczególnych obaw. W wigilię dnia tego był atak — i to jeden z najgwałtowniejszych. Karina domagała się koniecznie, aby lina była uwiązana wyżej; płakała, wołając, że matka katować ją będzie, zobaczywszy ją, tańczącą tak nisko...

Zwykle po takim napadzie następowały trzy, cztery dni zupełnego spokoju i można ją było bezpiecznie zostawiać samą.

Ale kiedyśmy przyszli, nie zastaliśmy jej w hamaku na werandzie gdzie Don Oskar, odchodząc, ułożył ją był śpiącą. Chłopak, który wybiegł na nasze spotkanie, miał minę zakłopotaną.

— Gdzie mami? — zapytał go Don Oskar, zdobywając się na pozorny spokój.

— Mami poszła w busz... odpowiedział krumanik. — Mami ubrała się zanadto pięknie, spotkała dwóch boyów, co szli po ryż, i oni z nią poszli tam!

Ręką wskazał w kierunku, gdzie była uwiązana lina.

— Uaro (drugi krumanik) poszedł także i ja chciałem iść, ale bałem się massy... Massa przykazał nie ruszać się z domu, więc zostałem...

Nie daliśmy mu dokończyć. Tknięci fatalnem przeczuciem, pośpieszyliśmy na wskazane miejsce.

Już zdaleka doleciał nas gwar zmieszanych głosów. Iluż ich tam być mogło?... Chyba nie tych

dwóch tylko?... Chyba cała partya krumanów, zwabiona przez towarzyszy... A i bubisi tam być musieli; poznawaliśmy ich charakterystyczne dyszkanty... może jeszcze kto z miasta?...
Boże!., ta bolesna tajemnica, z takim trudem strzeżona, wydana na zabawkę gromady czarnych, obnoszona jutro po całej SantaIsabelli!... O, wstydzie! o, goryczy! o, nieprzepełniona nigdy czaro nieszczęścia!...
Ale wszystkie te, miotające nami uczucia pierzchły wobec widoku, jaki się przedstawił oczom naszym.
Wiedzieliśmy że Karina tańczy na linie: ale nie wiedzieliśmy i nawet na myśl nam nie przyszło, że ta lina podciągniętą będzie w górę na wysokość jakich dwóch piętr!... Zapewne kazała ją tak uwiązać tym, co poszli za nią, a oni, zaciekawieni, co z tego wyniknie, ohotnie spełnili żądanie.
Przystawiona do pnia jednej ceiby plantacyjna drabina, wskazywała, jaką drogą nieszczęśliwa kobieta dostała się tak wysoko.
Krew ścięła nam się w żyłach. Zdrętwieli, stanęliśmy jak wryci.
Nikt zresztą nie zauważył naszego przyjścia.
Gromada czarnych stała z pozadzieranemi głowami, otwierając szeroko oczy i usta. Byli u szczytu uciechy i humoru. Klaskali w ręce, głaskali się po piersiach, śmieli się i wykrzywiali jeden przez

drugiego, pokazując sobie wzajemnie niezwykle widowisko.
A Karina, podniecona tym gwarem, upojona przestrzenią, w jakiej zawisała, z błyszczącemi oczyma, wyciągała obnażone ramiona jak gdyby wyżej jeszcze pragnęła wzlecieć...
Delikatne liście ceib tkwały nad nią przezroczyсты, jak z zielonej koronki baldachim, zachodzące promienie słońca rozpryskiwały się na tysiące

iskier w osypujących jej sukienkę szklanych świecidłach... Japoński parasolik migał w jej dłoni; sztuczne, czerwone róże, świeciły na jej piersiach, jak krwawe plamy.

Dochodziła właśnie do środka drgającej pod jej białymi stopkami liny. Ruchem powolnym i miękkim, uśmiechnięta smętnie, rozkołysała ją, poczem osunęła się niżej, podkładając jedną rękę pod głowę, z której, jak wodospad srebrzysty, spłynęły w dół jej rozpuszczone włosy; drugą ręką, podniesioną nieco, chwiała nad sobą japońskim parasolikiem i leżała tak, niby w błękitnej kolebce powietrza, rozmarzona, uśmiechająca się ciągle, z dwiema grubemi łzami, błyszczącymi na jej spuszczonej rzesach. — Kołder!... — wyksztusił Don Oskar, gruchocząc mi rękę w swej rozpalonej dłoni. — Na miłość Boską! kołder jak najwięcej... ja... stąd... nie mogę!...

Zrozumiałem go. Był to jedyny środek zapobieżenia wypadkowi. Nieszczęśliwa, lada chwila mogła chcieć wykonać końcowe salto mortale, a wtedy...

Porywałem się już biedz, ale działało się ze mną coś nieopisanego... Jakaś dziwna bezwładność trzymała mnie na miejscu. Byłem jakby zahypnotyzowany tą postacią kobiecą, bujającą się nademną wysoko... Oczu od niej oderwać, nóg wrosłych w ziemię poruszyć nie mogłem. Szarpnąłem się wreszcie, ale już Karina uniosła swą wiotką kibić i przyklękła na jedno kolano. Z zaokrąglonemi nad głową ramionami nieco przegięta w tył, oderwała wzrok łzawy jeszcze i rozmarzony od powietrznych fresków, przez las i niebo, i słońce malowanych — i powiodła nim po skupionych pod jej stopami postaciach.

Nagle wyraz bezgranicznego przestachu i wstrętu wypiętnował się na jej twarzy.

— To on! to on!... — krzyknęła, wyciągając przed siebie rękę.

Zachwiała się, wypuściła z dłoni parasolik i spadła głową naprzód w paprocie...

Nie zabiła się. Nie poniosła nawet żadnych zewnętrznych obrażeń. Tylko — był to już koniec wszelkiej nadziei.

Silne wstrząśnienie mózgu sprowadziło gorączkę gwałtowną i w niespełna dwa tygodnie potem,

na wzgórkach pod palmą samotną przybył nowy kopczyk ekwatorialnego piasku, zmieszanego z grudką szwedzkiej ziemi...

Natychmiast po pogrzebie, prosto z tych dwóch mogił, przyjaciel mój wrócił do tamtego trzeciego grobu, który był jego osieroconym domem; wrócił sam, powiedziawszy mi tak stanowczo: "Zostaw mnie, proszę... nie mogę wieść życia obok ciebie..." — żem mu się nie śmiał sprzeciwić.

Postawiłem więc tylko chłopaka na czatach, aby krążył nieznacznie koło domu i doniósł mi bezzwłocznie, gdyby się co stało — i powlokłem się do siebie.

Nazajutrz i dni następnych Don Oskar był również niewidzialnym.

Zamknął się na klucz w sypialnym pokoju i nie wychodził z niego, przez drzwi wydając rozkazy i biorąc trochę jedzenia, jakie mu przyrzadzano.

Ze mną również w ten sposób rozmawiał, a głos jego był tak cichy i zmieniony, jak gdyby nie do niego należący, lecz łąz w nim czuć nie było.

Raz tylko — a stało się to szóstego dnia wieczorem — uchylił drzwi trochę, wziął moją rękę i trzymał ją czas jakiś, nie pokazując się i słuchając w milczeniu, com mu mówił. Nagle rzekł:
— Wiem... wiem... Tyś je kochał obie... Ty nie zapomnisz...
I, nim się opamiętać mogłem, wciągnął szybko

rękę moją do wnętrza i usta swoje, gorące a suche, do niej przyłożył. Poczem jeszcze szybciej drzwi zamknął i nie odezwał się więcej. Byłem już u siebie, od kilku godzin przewracałem się bezsennie po łóżku, a wciąż jeszcze czułem na rękę dotknięcie tych ust niewidzialnych i płomień ich wżerał mi się w serce, paląc je ogniem niewysłowionego bólu...

Tej samej nocy dostałem febry i przez kilka dni dźwignąć się z pościeli nie mogłem, złamany wreszcie temi wszystkimi przejściami.

Przykazałem surowo, aby o tem na farmę nie donoszono, stamtąd zaś miewałem zawsze jednakie przez mego chłopaka wieści. Don Oskar nie pokazywał się wcale; w domu drzwi i okna były pozamykane; czasem dawały się wewnątrz słyszeć jakieś stukania.

W takim stanie rzeczy przyszedł z południa niemiecki parowiec, płynący do Hamburga. Naturalnie, na pokładzie nie byłem; nie słyszałem nawet jego odjazdowej gwizdawki, pogrążony w półśnie febrycznym, z którego zbudził mnie wchodzący do mojej sypialni kruman z Karinafieldu.

Kruman ten trzymał w ręku list i prowadził za sobą wyrywającego się i szczekającego Vera.

Chwyciły mnie nagle takie dreszcze, iż przez długą chwilę nie mogłem rozerwać koperty.

List był taki:

"Ukochany przyjacielu!

Odjeżdżam i żegnam cię na zawsze. Nie miej do mnie żalu, że czynię to w ten sposób. Inaczej nie mogłem. Było to nad moje siły...

Odjeżdżam, bo czuję, iż gdybym tu dłużej pozostał, skończyłbym samobójstwem... a tego nie chcę. Zostawiam ci Vera, bo pragnę zostawić za sobą wszystko, co mi jeszcze drogiem jest na świecie; bo pies ten wierny zdechnie kiedyś, a ja nie chcę już... nie mogę mieć żadnej więcej straty w moim życiu...

Przecignięta struna pęka za lada dotknięciem, choć pierwiej walenie pięścią wytrzymała. I moje serce, co się nie rozpadło tam, u tych dwóch mogił, mogłoby pęknąć w chwili, kiedy ta ostatnia pamiątka przeszłości rozciągnęłaby się martwa u stóp moich... Taki koniec wydawałby mi się ubliżeniem dla tamtych bólów moich... nie mogę do niego dopuścić!

Nie chcę już przywiązywać się do niczego, co umiera, co ginie; idę szukać tego, co wieczne: nędzy i cierpień ludzkich; te ukocham, tym służyć będę! Dlatego nie usłyszysz już więcej o mnie, dlatego po raz ostatni mówię ci o mojej niewygasłej nigdy wdzięczności; po raz ostatni błogosławię cię z głębi mej rozdartej duszy za złane na nią balsamy przyjaźni i pociechy... Niech ci Bóg nagrodzi!

Dom zastaniesz ogołocony ze wszystkiego, co ma jakąś większą wartość; zabierani to ze sobą, aby sprzedać w Europie. Jestem ci dłużny jeszcze sporo pieniędzy, ale czuję, że ostatnim znakiem życia, przesłanym ci odemnie, nie powinien być czek na bankiera. Wiem, że dotknąłbym tem duszę twoją... Pieniądze oddam z czasem, takim, co ich więcej niż ty i ja potrzebować będą.

Pamiętaj o grobach moich, Luizie; pogłaskaj czasem mego biednego Vera... O dom i farmę się nie troszcz... Kakao, które teraz dojrzewa, wystarczy na zapłatę ludzi; dalszych obsiewów zaniechaj. Niech wszystko, co tam jest jeszcze, zostanie na miejscu, jak było i niech czas z tem zrobi, co zechce.

Gdy będę umierał, ostatnia myśl moja dla świata będzie o tobie...

Oskar. "

I to było wszystko.

Nieszczęsny mój przyjaciel pozostał wiernym swemu postanowieniu. Nie usłyszałem już o nim więcej; nie wiem nawet, czy żyje jeszcze... Ale myślę, że skoro wtedy nie umarł, to żyć musi — i żyć pożytecznie i pięknie, bo inaczejby nie umiał.

O Jerrym i Ulli miewam czasem wiadomości. Mieszkają w Szwecyi, gdzie on założył handel towarów kolonialnych i doskonale mu się powodzi. Ulla przyszła zupełnie do zdrowia; mają dwoje dzieci i są bardzo szczęśliwi — a przynajmniej mój

dawny służący nim jest. Wierne serce Ulli nie może się nigdy pocieszyć po stracie swoich państwa. Dzieciom dała ich imiona i opłakuje ich ciągle, jak mi pisze Jerry.

Przypadek pokazał dziś pani. w co się obróciło tyle szczęścia, tyle nadziei, tyle pracy... Oprócz tych ruin smutnych, tego zdziczałego psa. tych dwóch mogił nad morzem, gdzie jeżeli pani zechcesz, pójdziemy kiedy razem — i oprócz leżących na dnie mego serca wspomnień, które, ulegając życzeniu pani, po raz pierwszy na jaw wywiódłem. — z całej tej tragedii ludzkiej nie pozostał tu żaden więcej ślad, żadne echo...

Dom Luiz przerwał sobie nagle. Z głębi wysrebrzonego światłem księżycowem buszu podniosło się przeciągłe, żałośnie wycie — i szło ku nam, panując nad innymi odgłosami nocy, jak sieroca nieprzetęsknioną nigdy tęsknotą skarga...

Dom Luiz wstał, blady bardzo, oparł się o balustradę werandy i rękę w kierunku wycia tego wyciągnął.

— Oto echo!... — rzekł krótko, posepnym głosem.

Twarz obu dłońmi zakrył i słuchał dalej z rodzajem religijnego skupienia tej pieśni żałobnej, płynącej z mieszkania jego pamiętek...

Opowiadanie Dom Luiza głębokie wrażenie na mnie wywarło. Budzona znów w nocy wyciem Vera, nie irytowałam się już na nie, tylko leżałam z otwartymi oczyma i zdawało mi się, że postacie Don Oskara, Kariny, De la Rochy, Hildy, występują z mroków i przechodzą obok, każda z legendą swego życiowego dramatu nad czołem, pozdrawiając mnie w imię powszedniego braterstwa cierpień, uczuć i namiętności ludzkich, a nadewszystko — ich znikomego trwania...

Ruiny Karinafieldu bywały teraz najczęściej celem moich wieczornych, samotnych przechadzek. Nieprzeparty urok poezyi nieszczęścia ciągnął mnie do nich.

Podchodziłam tam. opierałam się o odłam bambusowego płotu — i zadumana, patrzyłam długo na czarne otwory okien, pajęczyną zasnute, na wywrócony kołami do góry wózeczek Hildy, na filcowe łachmany dachu, powiewające nad rozpaczliwą pustką wnętrza, jak żałobne sztandary. Vero był zawsze na swoim stanowisku. Usłyszawszy kroki, wychodził na trzęsącą się werandę, stawał na niej rozkraczonemi nogami, chudy, straszny, poraniony i wlepiął we mnie zaczerwienione oczy starego, głodnego psa.

Przynosiłam mu kawałki chleba i resztki mięsa, i rzucałam mu zdaleka, a on zabierał je na weran

dę i zjadał łapczywie, lub chował gdzieś w kącie z przezornym instynktem włóczęgi.

Nie warczał już na mnie, ale nigdy nie dał mi się zbliżyć.

Pewnego razu idąc tam, usłyszałam zdaleka szybkie, chrapliwe ujadania i głuchy stuk jakby rąbanego drzewa. Zdziwiona, przyśpieszyłam kroku i,

wydostawszy się na polankę, ujrzałam tam kucharza naszych krumanów, który z pękiem suchych gałęzi na ramieniu stał pod werandą, próbując siekierą odłupać sterczącą ze spodu belkę, przedstawiającą widocznie dobry jeszcze na paliwo materiał.

W robocie tej przeszkadzał mu Vero. Ledwo trzymając się na swych wynędzniałych nogach, doskakiwał do murzyna, odpędzany za każdym zbliżeniem się jednym szturchnięciem jego silnego łokcia

Biedne psisko! Był tak osłabiony, że zataczał się i mógł tylko ujadać coraz szybciej, coraz chrapliwiej.

Ale gdy kruman, odłupawszy belkę miał ją wyciągnąć, Vero ostatnim wysiłkiem rzucił się i chwycił go bezzębną swą paszczą za rękę.

— Stój! — krzyknęłam na murzyna, który zaklął i podniósł w górę siekierę.

Ale już było za późno. Stał błysnęła i ugodziła szlachetne zwierzę w sam środek jego szerokiego łba... Ciemna posoka zalała jego smutne oczy, zaiskrzone ogniem ostatniego protestu, przeciw

ostatniemu aktowi bezprawia i zniszczenia, dokonanego na tych ruinach. Zaskowyczał raz i rozciągnął się martwy na spróchniałych deskach werandy, kładąc życie w obronie tego, o co już nikt na świecie nie dbał, wierny do końca temu wszystkiemu, co było już... cieniem tylko.

KONIEC.

